

Nie zawsze brak winy oznacza czyste sumienie.

Zło często kryje się tam, gdzie go nie widać...



Z
A
ŻYWO
PŁÓTEM

Maria

Biernacka-Drabik

Maria
Biernacka-Drabik

**ZA
ŻYWO
PŁOTEM**



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*
Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Beata Kozieł*

Zdjęcie wykorzystane na okładce:

© Osman Rana/Unsplash

© by Maria Biernacka-Drabik

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2553-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

tel:691962519

Wydanie I

Warszawa 2023

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

PROLOG

EPILOG

Podziękowania

Przypisy

Moim najbliższym
– kim byłabym bez Was...

Nie chodzi o to, kto jest winny. Chodzi o niewinnego.

– Agata Christie

Próba niewinności

PROLOG



Usłyszał za sobą łoskot masywnych metalowych drzwi i szcęk przekręcanego klucza. Drgnął, jednak tym razem te znajome dźwięki nie brzmiały złowrogo. Popatrzył w pogodne wrześnie niebo. Zamknął oczy i pozwolił, by słońce przypomniało mu, jak przyjemny jest ten ciepły dotyk wolności. Uśmiechnął się, ale na zmęczonej, smutnej, już nieco pomarszczonej twarzy uśmiech był niemal niezauważalny. Wciągnął głęboko powietrze, które tu, za bramą, wydawało się takie świeże. Niewielki plecak zarzucił na ramię i ruszył w kierunku dworca.

Po drodze napawał się widokiem codzienności. Dzieci biegły do szkoły, dorośli spieszyli się do pracy, stary, gruby kot obserwował gołębie spacerujące przy miejskiej fontannie. Ot, zwykłe, nudne życie, ale Miłosz poznawał je teraz od podstaw niczym obcokrajowiec przybyły do egzotycznego kraju. Na nowo odkrywał dźwięki miasta, słuchał rozmów mijanych ludzi, chłonał zapachy.

Droga minęła mu niepostrzeżenie. Autobus do Krakowa stał już na stanowisku. On – Miłosz Zdebski – od dziś wolny człowiek, wsiadł, zajął miejsce przy oknie i zatopił się we wspomnieniach.

Jest 8 września 1996 roku – jego urodziny. Ma trzydzieści lat. Siedzą we trzech – on, Wojtek i Jakub – w Szarej przy Rynku Głównym. Piją dobre wino i wspominają studenckie lata na AGH.

– Panowie inżynierowie od szeroko pojętej fizyki medycznej, co dalej? Czyż możemy pozwolić, żeby zmarnowały się takie talenty badawcze i techniczne? – zaczyna z udawaną powagą. – Skończyliśmy dobre studia, mamy za sobą zagraniczne staże, więc możemy zawojować świat, a nie tylko pracować na innych!

– Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic... – wylicza ze śmiechem Jakub.

– *Jakie nic! Mamy doświadczenie, wykształcenie i energię!* – dodaje Miłosz z entuzjazmem.

– *Czyli rozkręcamy biznes!* – podsumowuje Wojtek.

Słoneczne światło przenika przez wzniesione w górę kieliszki. Brzęk szkła przypieczętowuje zawiązanie spółki.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. To był jeden z ważniejszych momentów w ich życiu. Pomysł, który wydawał się na początku żartem, jeszcze tego samego wieczoru nabrał realnych kształtów. Powstał wstępny biznesplan i zaczęło się. Mieli szczęście. Pieniądze odziedziczone przez Wojtkę po jakiejś bezdzietnej, ale za to obrotnej ciotce, o której istnieniu niemal zapomniał, spadły im niczym manna z nieba. W ciągu kilku lat stworzyli liczącą się w kraju firmę specjalizującą się w produkcji części do ultrasonografów.

Zainwestowali też w powstający wtedy sektor eHealth. Postawili na innowacyjność, zatrudnili najlepszych informatyków i zaczęli tworzyć oprogramowania dla szpitali. Bezennym kapitałem okazały się kontakty nawiązane podczas zagranicznych stażów, które dawały im możliwość udziału w międzynarodowych projektach. I tak spontaniczny urodzinowy pomysł stał się pierwszym krokiem do ogromnego sukcesu.

Niestety. W czerwcu 2001 Wojtek zginął tragicznie. Okoliczności wypadku do końca nie wyjaśniono. Mówiło się, że nie dostosował prędkości do warunków jazdy. Miłosz i Jakub mieli wątpliwości, ale śmierć przyjaciela zbyt mocno bolała, by to roztrząsać. Trzeba było pomóc rodzinie, szczególnie ciężarnej żonie, załatwić sprawy udziałów w spółce i jakoś dalej żyć. Kolejny dramat wydarzył się dwa miesiące później. Dwudziestego sierpnia wieczorem został zamordowany Jakub. Strzał oddano z bliskiej odległości. To Miłosz znalazł ciało w siedzibie spółki i zawiadomił policję.

Został sam ze wszystkimi sprawami firmowymi i musiał ponieść konsekwencje śmierci współników.

Popatrzył w okno, ale widział tylko otwarte, przerażone i martwe oczy Jakuba powracające wielokrotnie w sennych koszmarach, a nie przesuwające się za nim obrazy. Po niespełna dwóch godzinach był w Krakowie. Miasto bardzo się zmieniło, ale i tak poczuł, że jest w domu. Jak to dziwnie brzmiało: w domu. Wysiadł przy alei 29 listopada i skierował się do bramy cementarza. Od tej strony było znacznie bliżej niż od Rakowickiej. Kwatera 15b. Pamiętał

dokładnie, bo kilka grobów dalej, tuż po tym, jak obronili prace dyplomowe, pochowano ich profesora i mentora Kazimierza Makowicza. Przez lata odwiedzali go wspólnie. Teraz Jakub, Wojtek i profesor leżeli na tym samym cmentarzu. Tylko Miłosz żył i czuł się z tym jakoś nieswojo.

Przemierzając zacienione alejki, przywoływał w pamięci ostatnie krakowskie wspomnienia. Pogrzeb Jakuba odbył się dopiero na początku września, prawie dwa tygodnie po jego śmierci. Sekcja zwłok, czynności prokuratorskie, gromadzenie dowodów, zabezpieczanie śladów – wszystko to musiało potrwać. Wreszcie przekazano zwłoki rodzinie. Uroczystość była wzruszająca, ale jednocześnie bardzo trudna. Patrzył na żonę Jakuba, jego rocznego syna, na żonę Wojtka w zaawansowanej ciąży. Wiedział, że oczekują jego pomocy i nie chciał ich zawieść. Na szczęście mieli firmę, która każdemu z nich pozwalała zapewnić przynajmniej finansową stabilizację.

Dzień później ujęto sprawcę morderstwa. Prokurator w asyście policji wkroczył do biurowca, w którym mieściła się firma, i wyprowadził zakutego w kajdanki podejrzanego. Był nim... Miłosz. Czuł na sobie pytające spojrzenia zaskoczonych współpracowników, widział pogardę stróżów prawa. W jego oczach malowały się niedowierzanie i strach, ale nikogo nie obchodziły emocje domniemanego mordercy. Skazano go szybko. Wszelkie dowody wskazywały na to, że jest winny. Nie miał nikogo bliskiego, kto by go wspierał. Rodzice nie żyli, a swojej rodziny nie zdążył założyć. Jediną osobą, która do końca wierzyła w jego niewinność, był on sam. Ale więzienie uczy pokory. Uczy też, że każdy siedzi za niewinność. Nie był wyjątkiem, kiedy twierdził, że został wrobiony, i nikt nie traktował jego słów poważnie. Teraz stał przy grobie przyjaciela. Pora była na tyle wczesna, że miał nadzieję nikogo nie spotkać. Co by powiedział? Jak zareagowałiby bliscy Jakuba, gdyby go zobaczyli? Może by go nie poznali. Wyglądał zupełnie inaczej: broda, skromny strój, siwe skronie. To nie był już ten Miłosz sprzed aresztowania, modny, elegancki, starannie ostrzyżony i pachnący dobrymi perfumami. Pobyt w jednym z najcięższych więzień w kraju zmienił nie tylko jego wygląd. Miał szczęście, że to jedynie piętnaście lat, choć słowo „jedynie” w kontekście tego, co przeżył, brzmiało co najmniej ironicznie.

Na nagrobnej tablicy pod zdjęciem Jakuba wyryty był napis:

Jakub Tomczyk

1966–2001

Pozwól zrozumieć dlaczego...

Patrzył w radosne, ufne oczy przyjaciela i zadawał sobie to samo pytanie: dlaczego? Dlaczego do tego doszło? Dlaczego Jakub? Kto mógłby chcieć jego śmierci? Czy wypadek Wojtka to na pewno wypadek? Komu się narazili? Jakim cudem to jego skazano? Miał dużo czasu na szukanie odpowiedzi. Teraz przyszedł czas na działanie.

– Kuba, obiecuję, że dowiem się, kto ci to zrobił. Kto nam to zrobił – wyszeptał. – Obiecuję tobie i Wojtkowi.

Każdego z tych pięciu tysięcy czterystu osiemdziesięciu trzech dni budził się z tą myślą i wiedział, że po to właśnie żyje. To pozwoliło mu wytrwać. Tylko to.



Usiadł na ławce w parku Zaczarowanej Dorożki w cieniu rozłożystej wierzby. Długie, wiotkie gałęzie zwieszały się nad ziemią niczym ażurowy baldachim. Barwne liście parkowych drzew szeleściły pod nogami spacerujących, błyszcząły w słońcu. Czerwienią i żółcią mieniły się bukiety w rękach mijających go ludzi. Jakże chciał ulec temu czarowi leniwej codzienności. Oparł się wygodnie, zamknął oczy i zaciągnął się świeżym powietrzem, próbując uzupełnić wieloletnie braki, a jednocześnie napełnić spokojem chwili każdą komórkę swojego ciała.

– *Zaczarowany dorożkarz. Zaczarowana dorożka. Zaczarowany koń*¹ – powiedział znajomy głos. Miłosz otworzył oczy. Elegancki mężczyzna w granatowym garniturze, różowej koszuli, z nienagannie przystrzyżonymi włosami i skórzaną czarną aktówką w dłoni usiadł obok niego.

– Przez chwilę próbowałem odnaleźć w sobie coś z tego dawnego zaczarowanego świata. Problem w tym, że ani tego świata, ani dorożki już nie ma – stwierdził smutno Miłosz.

– *Zawsze będzie w każdym mieście, zawsze będzie choćby jedna, choćby nie wiem jaka biedna...*² Zapomniałeś?

– Pamiętam. Kiedyś nawet w to wierzyłem. Kiedyś. Ale widzisz, Igor, mieliśmy wtedy raptem kilkanaście lat i instruktora, który potrafił zarazić nas

swoją pasją. Może dlatego byliśmy pewni, że to prawda, że to zaczarowany świat. Dzisiaj wiem, że to możliwe tylko w teatrze – dodał z westchnieniem.

– Wiesz, czasem zastanawiam się, dlaczego ostatecznie wybraliśmy tak różne od aktorstwa drogi – ciągnął Igor.

– Różne? Niech pan nie przesadza, panie mecenasie. Na sali sądowej akurat ta umiejętność bardzo się przydaje. – Zaśmiali się. Miłosz nie pamiętał już, kiedy ostatni raz śmiał się w taki sposób. Śmiech był uwięziony razem z nim.

– Pamiętasz? Nasz instruktor mówił, że z talentem aktorskim jest jak z umiejętnością jazdy na rowerze. Nigdy się tego nie zapomina.

– Ale dodawał też – wtrącił Miłosz – że jak rower rozklekotany, a opona dziurawa, to wiatru we włosach nie poczujesz. A ja jadę teraz na takim rowerze. – Po chwili wyprostował się i ciągnął poważnym, nieco surowym tonem. – Czas wracać do rzeczywistości. Masz wszystko, o co cię prosiłem?

– Tak. Telefon, trochę gotówki, no i dokumenty, te niezbędne oczywiście – wyliczał Igor, wyjmując z aktówki kolejne przedmioty. – Resztę mam w kancelarii. Jak jutro się spotkamy, wszystko ci dam i wyjaśnię. Przyjdź koło południa. A tu masz kluczyki. Pamiętasz, jak wygląda?

Miłosz przytaknął, choć chwilę trwało, zanim zorientował się, o co chodzi.

– Zatankowany do pełna. Zaparkowałem pod kościołem Dominikanów, znajdziesz bez trudu. No i najważniejsze... – Igor wyjął z kieszeni skórzane etui. – To klucze do mieszkania po moich dziadkach. Adres masz w tej papierowej teczce z dokumentami. Jeśli uznasz, że jest w porządku, możesz się tam zatrzymać na dłużej, jakoś się dogadamy. Oczywiście nie licz na luksusy. To stare mieszkanie, ale za to w dzielnicy, w której raczej nikt cię nie będzie kojarzył. Tak jak chciałeś. Przewiozłem tam rzeczy osobiste z twojego mieszkania. Jak rozumiem, nadal chcesz je wynajmować.

Miłosz pokiwał głową.

– No i wybacz, że nie mogłem po ciebie przyjechać. Obowiązki. Rozumiesz.

– W porządku. Dzięki za wszystko.

Miłosz czuł się zagubiony w tych konkretach. Z jednej strony bardzo chciał je słyszeć, z drugiej jeszcze nie potrafił myśleć o sobie jak o kimś, kto będzie używał telefonu, wybierał pieniądze z bankomatu, kupował jedzenie, jeździł

samochodem i nie pytał nikogo o zgodę, czy może się wysikać albo skorzystać z intelektualnych dobrodziejstw przewidzianych regulaminem.

Igor zauważył to zmieszanie.

– Wiesz, cieszę się, że masz to już za sobą.

– Tak... Mam to już za sobą... – Słowom Miłosza towarzyszył kpiący uśmiech. – Co ja niby mam za sobą? Myślisz, że to naprawdę możliwe? Jestem wolny, tak, ale czuję się jak więzień. Wróciłem do swojego miasta, a jestem jak intruz. Nie popełniłem żadnego przestępstwa, a chowam się przed ludzkimi spojrzeniami, jakbym jednak miał coś na sumieniu. Myślisz, że siadłem akurat na tej ławce, bo boję się słońca? – mówił coraz głośniej i z narastającą goryczą. Wstał. Nerwowo przeszukiwał kieszenie. Po chwili wyciągnął zmiętą paczkę i drżącymi rękami zapalił papierosa. On, który zawsze mówił, że palenie to wojna wydana intelektowi. – To jestem niby ja, a jednocześnie nie ja! – Zaciągnął się, a potem powoli wypuszczał dym, jakby razem z nim mogło się ulotnić napięcie. – Więzienie to nie sanatorium. Myślisz, że tam siedzą elokwentni, szarmanccy panowie, erudyci, z którymi możesz podyskutować o literaturze?! Zamknęli mnie za morderstwo i traktowali jak mordercę! Zapuszkowali energicznego idealistę, a wypuścili człowieka, który... Aż boję się pomyśleć, kogo wypuścili, po latach tak zwanej resocjalizacji. Rozumiesz? Oni mnie resocjalizowali. Mnie.

– Miłosz, wiem, że nie jestem w stanie tego zrozumieć, ale...

– Ano nie jesteś. Nie rozumiesz. Mam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą i wiedzą, kim jestem. Jakbym był naznaczony, śmierdział więzieniem na kilometr i stanowił zagrożenie dla każdego, do kogo się zbliżam. Wiesz, co się mówi? Że wyrok pięciu lat można przeżyć i da się potem normalnie żyć, wyrok ośmiu przeżyją najtwardsi, a po trzynastu latach masz pewność, że tam wrócisz. Ja byłem piętnaście.

Igor wstał.

– Wybacz, stary, nie chciałem cię urazić.

– Wiem. Bardzo mi pomogłeś. Może gdybyś od początku mnie reprezentował, w ogóle bym nie siedział. – Zamyślił się.

– Miłosz, wtedy z prawniczego punktu widzenia miałem jeszcze mleko pod nosem.

– Tak czy inaczej, bez ciebie siedziałbym pewnie nadal, nie miałby kto zająć się moimi sprawami, również tymi finansowymi i mieszkaniowymi.

Wielu z tych, których poznałem w pudle, na pewno szybko tam wróci. Będą kraść, żeby żyć, albo wylądują w noclegowni, bo rodziny nie będą chciały mieć z nimi nic wspólnego. Ja mam pieniądze, więc teoretycznie także większe szanse, ale... – zamilkł. Odwrócił się. Stał w bezruchu i patrzył nieprzytomnie przed siebie. Przed oczami stanął mu napis z nagrobnej tablicy Jakuba. W głowie znowu kłębiły mu się pytania, które zadawał sobie od wielu lat. Nadal nie znał na nie odpowiedzi.

Rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał i odwrócił się gwałtownie.

– No dobra, dosyć tego uzalania się nad sobą. Szkoda czasu. Zbyt dużo go zmarnowałem – stwierdził Miłosz. Próbował odciąć się od swoich emocji.

– Co zamierzasz? – spytał Igor.

– A jak myślisz?

– Uważaj na siebie.

– Ja naprawdę nie mam nic do stracenia. – Miłosz spakował wszystkie rzeczy do plecaka i zarzucił go na ramię. – Kompletnie nic. Podrzucić cię gdzieś? Jadę w stronę Gniazda...

– Żartujesz?! Daj sobie spokój. Chociaż dziś...

– Muszę tam pojechać. Po prostu muszę. Wpadnę do ciebie jutro.

Pożegnali się. Miłosz energicznym krokiem ruszył w kierunku kościoła Dominikanów.

Czarne volvo, które kupił w salonie niedługo przed śmiercią Wojtka, nadal prezentowało się całkiem dobrze. Jednocześnie nie rzucało się w oczy, a o to najbardziej mu chodziło. Usiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik odpalił jak nowy. Poczł ten sam rodzaj satysfakcji, który towarzyszył mu w dniu zakupu. Jakby czas się cofnął. Szkoda, że nie można wsiąść do samochodu jak do wehikułu czasu i wrócić do momentu, który wymaga interwencji. Co by zrobił, gdyby miał taką możliwość?

Zadając sobie to pytanie, ruszył w kierunku Gniazda.



Zaparkował w pewnej odległości od wieżowca, w którym mieściła się siedziba firmy. Nie wysiadł. Powędrował spojrzeniem na dwunaste piętro i wpatrywał się w okna. Gdy wybierali tę lokalizację, byli przekonani, że Gniazdo Orłów przyniesie im szczęście, i nie mylili się. Przynajmniej do czasu.

Jak to miejsce się zmieniło. Nieopodal wybudowano nowoczesne osiedle, przybyło parkingów. Drzewa wyrosły i dzisiaj użyczały cienia przechodniom i wychodzącym na papierosa pracownikom biurowca. Niestety zniknął duży podświetlany napis ULTRASON. Żony Jakuba i Wojtka zdecydowały, że firmę trzeba sprzedać. Nie chciał się przeciwstawiać. Potrzebowały pieniędzy, a o ultrasonografach, programowaniu i zarządzaniu firmą nie miały pojęcia. Sprawa została załatwiona przez ich adwokatów, którzy wraz z nabywcami i notariuszem pojawili się w więzieniu. Miłosz przystał na warunki, choć zaproponowana cena była znacznie niższa niż wartość firmy. Udało mu się za to wynegocjować zatrudnienie dla większości pracowników. Miało to dla niego ogromne znaczenie. Nie chciał, by dramat, którego byli świadkami, odebrał im możliwość rozwoju. Tworzyli przecież zgrany zespół fachowców i pasjonatów. Docenili to nowi właściciele, przyjmując nazwę Ultrateam i utrzymując profil firmy.

Może Igor miał rację, może to nie był najlepszy pomysł, żeby tu przyjechać? – rozmyślał, patrząc na budynek. Ktoś mógłby go rozpoznać, a tego nie chciał. Jeszcze nie teraz. Musi mieć czas na oswojenie się z nową sytuacją. Potrzebuje swobody działania, ale nie może zapominać o ostrożności. Ostatni raz opuszczał to miejsce w kajdankach, w asyście policji, oszołomiony biegiem wypadków, znieważany przez świadków aresztowania. Tutaj zapewne nadal jest uznawany za mordercę. Przecież nikt nie dowiódł jego niewinności.

Lepiej będzie, jeśli odjedzie. Los nie lubi, gdy się go kusi.

Przekręcił kluczyk. Już miał ruszyć, gdy zobaczył kilkoro ludzi wychodzących z biurowca. Rozmawiali o czymś wyraźnie podekscytowani. Nie znał ich albo nie pamiętał. A może po prostu bardzo się zmienili. Ale nie ona. Miała tak samo smukłą sylwetkę, niesforną burzę rudych loków i energiczne ruchy. Kiedyś śmiała się, że to będzie do końca życia jej znak szczególny. Miała rację. Teraz pożegnała się i wsiadła do biało-czarnego mini coopera zaparkowanego przed budynkiem. Ruszyła.

Bez zastanowienia pojechał za nią.



Zaparkowała przy Orkana. A więc nadal tu mieszka. Czyżby w jej życiu nic się nie zmieniło? Wysiadła i wyjęła zakupy. Odruchowo chwycił za kłanek, by podbiec i pomóc. Czyli jeszcze zostało w nim coś z dawnego Miłosza. Jednak szybko skarcił się za ten nieostrożny ruch. Poczekaj, aż wejdzie. Nie chciał na ulicy narażać się na jakieś sceny. Nie wiedział przecież, jak zareaguje, gdy go zobaczy. Odczekał kilkanaście minut. Na szczęście nie było domofonu, więc bez problemu dostał się do środka.

Drugie piętro. Zastukał. Marta po chwili otworzyła drzwi. Popatrzyła na niego bez słowa i poszła do pokoju. Żadnego zaskoczenia. Żadnego „skąd ty się tu wzięłeś”, „wynoś się”. Czy na pewno powinien wejść? Zamknął drzwi i podążył za nią. Stała przy oknie odwrócona do Miłosza plecami. Rozejrzał się po mieszkaniu. Bardzo się zmieniło. Nie było już ciemnych dębowych mebli, kolorowych ścian i porcelanowych figurek. Panował umiarkowany minimalizm. Ściany w odcieniach beżu, jasne meble, prosty świecznik, kilka zdjęć oprawionych w ramki. Ale było też coś, co na długo przykuło uwagę Miłosza. Na niewielkim stole stał duży biały kubek z reniferem i amarantowa porcelanowa filiżanka. Nad nimi unosiły się obłoczki pary, a w pokoju czuć było zapach jaśminowej herbaty. Wydawał się intensywniejszy niż kiedyś. Jak każdy zapach, za którym się tęskni. Przypomniawszy sobie, jak siedzieli do późnej nocy w firmie, analizowali dokumenty, poprawiali kosztorysy, rozmawiali i wypijali litry jaśminowej herbaty z renifera z dodatkiem amarantu, jak to sobie żartobliwie nazwali.

– Zabrałaś go.

– Nikt nie był nim zainteresowany. Nie lubię, jak coś się marnuje, więc przyniosłam do domu. Inaczej wylądowałby w koszu, jak wiele innych twoich rzeczy zostawionych w biurze – odpowiedziała surowym, ale spokojnym tonem, nadal patrząc w okno.

– Jesteś sama?

– Tak. – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. – Odkąd pewien dupek wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie jest mną zainteresowany.

– Spodziewałaś się mnie? – Zmarszczył brwi.

– Ależ skąd. – Pokręciła głową. – Zawsze po powrocie z biura robię sobie jaśminową herbatę, i to od razu w ogromnym kubku z reniferem i w filiżance jednocześnie. Taki kaprys starej panny.

– Skąd wiedziałaś, że przyjdę? – W jego głosie była ciekawość, ale też niepokój. Jeśli ona wiedziała, to inni też mogą się go spodziewać.

– Wszystkie wróble od rana ćwierkały, że jaśnie pan prezes zamierza zawitać w skromne progi byłej sekretarki! – mówiła coraz głośniej i coraz mocniej gestykulowała. Kontrolowany spokój ustępował miejsca niekontrolowanym emocjom. – Zawsze na piedestale! Zawsze najważniejszy! Schlebiamy sobie, prawda?!

– Po co ten sarkazm?

– Myślisz, że tu wszyscy mówią tylko o tobie?!

– Mam nadzieję, że nie, ale nadal nie powiedziałaś mi, skąd wiedziałaś.

– Kiepski z ciebie przestępca.

Zabolało go to ostatnie słowo. Widziała to i nie ukrywała satysfakcji.

– I kiepski kamuflaż. Mało nie wpakowałeś mi się do bagażnika i dziwisz się, skąd wiem? Ja ten samochód poznam wszędzie.

Spojrzał pytająco.

– No tak, prezes Zdebski zapomniał, kto załatwiał wszystkie sprawy formalne dotyczące zakupu wymarzonego samochodu. Posłuszna sekretarka robiła, co pan prezes sobie zażyczył, a pan prezes nie raczył nawet podziękować.

– Marta, daj spokój. Przecież to nie tak wyglądało.

– A jak to niby wyglądało?

– Cały czas masz do mnie żal.

– Mówisz o naszej ostatniej rozmowie? Nie, nie mam żalu. Bo niby o co? Że jeździłam do tego zasranego więzienia, że starałam się o widzenia, że nie chciałam, żebyś został z tym wszystkim sam? Że...

– Marta, dobrze wiesz, o co mi chodziło! Nie wiedziałem, kiedy wyjdę, czy w ogóle wyjdę. Nie chciałem, żebyś uzależniała swoje życie ode mnie, kursowała między wolnością i więzieniem. W jakimś sensie byłabyś uwięziona razem ze mną...

– Ty dupku, co ty pieprzysz?! Właśnie wtedy mnie uwięziłeś. Nie dałeś mi wyboru, zdecydowałeś za mnie, a teraz przychodzisz tu i co? Czego chcesz? Znowu zamierzasz decydować?

– Nic nie rozumiesz.

Kiedyś podszedłby do niej i przytulił. Ale nie teraz. Nie po tym, jak... Popatrzył na wielki kubek z reniferem i amarantową filiżankę. Zapach jaśminu rozmył się w powietrzu, para była już tylko wspomnieniem.

Odwrócił się i wyszedł. Po raz kolejny tego dnia usłyszał za sobą odgłos zatraskiwanych drzwi i szcęk klucza w zamku.



Mieszkanie dziadków Igora znajdowało się po drugiej stronie Wisły, przy ulicy Zamoyskiego. Znalazł je bez problemu. Wchodząc, czuł się tak, jakby po raz kolejny tego dnia przekraczał jakąś magiczną granicę. Zamknął drzwi i zabezpieczył je łańcuchem. Ucieszył się, że dawni właściciele zadbali o ten szczegół. Był zmęczony emocjami pierwszego dnia poza więziennym murem. Potrzebował spokoju, chciał się ukryć, побыć w samotności.

Samotność. Tak pragnął od niej uciec, a tak szybko za nią zatęsknił. Paradoksalnie to ona dawała mu poczucie bezpieczeństwa, gwarantowała swobodę działania, pozwalała pozostać anonimowym. Taką gwarancję miało również dawać to mieszkanie w przedwojennej kamienicy wśród starszych, nieznających go ludzi.

Zapalił światło, a potem podszedł do okna i zaciągnął zasłony. Rozejrzał się. Wbrew temu, przed czym przestrzegał Igor, nie czuł dyskomfortu. Nie raziły go meble pamiętające czasy Peerelu, nie przeszkadzały mu kwieciste zasłony ani grube wełniane narzuty. Nie złościły go kryształki gęsto ustawione na kredensie, różnokolorowe plastikowe kwiaty w wazonie, a nawet liczne obrazki przedstawiające świętych. Jego upodobanie do prostoty nie miało w tym momencie żadnego znaczenia.

Przez lata za apartament musiało mu wystarczyć osiem metrów kwadratowych celi, za łóżko prycza z pociętym materacem i wypłowiałym

kocem, za wannę z hydromasażem pęknięta i brudna umywalka, a za plazmowy telewizor kineskopowe pudło w świetlicy, do której miał dostęp tylko od święta. W tej sytuacji to mieszkanie z kuchnią, łazienką, pokojem gościnnym, a nawet odrębną sypialnią wydało mu się luksusem.

Usiadł na brzegu wersalki zakrytej pomarańczową narzutą, prawdopodobnie rękodziełem byłej pani domu. Plecak położył obok siebie.

Stąd bardzo dokładnie widać było drugie pomieszczenie z imponujących rozmiarów dębowym łóżkiem przystrojonym podobnie jak wersalka. Obok, niczym misterna budowla z klocków, stały tekturowe pudła z Ikei. Igor przywiózł w nich osobiste rzeczy Miłosza.

Życie spakowane do kilkunastu tekturowych pudeł. Tylko tyle? Ale to i tak dużo w porównaniu z tym, co znajdowało się w leżącym obok plecaku, dorobku ostatniego piętnastolecia.

Pudła można łatwo rozpakować, ale czy będzie umiał wrócić do ukrytego w nich świata? Czy odnajdzie w nich siebie? A może okaże się, że wszystkie rzeczy należą do zupełnie obcej mu osoby?

Wstał, podszedł do tych relikwów przeszłości i zaczął kolejno je odkrywać.

W kilku znajdowały się książki, bez których kiedyś nie wyobrażał sobie życia. Czytelniczą pasję zawdzięczał rodzicom. Zabierali go do biblioteki i księgarni, nie żalowali pieniędzy na książki, a przede wszystkim wspólnie czytali. Rodzicom zawdzięczał też swoją miłość do teatru.

Książki stały się jego odskocznią od więziennej codzienności. Dzięki nim przenikał przez mury więzienia, przenosił się w czasie, stykał się z językiem, od którego inaczej dawno by odwykł, a może nawet go zapomniał, słuchając grypsery tych, dla których inny język już nie istniał.

Kilka kolejnych pudeł zajmowały ubrania. Miłosz patrzył na markowe koszule, garnitury, krawaty, eleganckie skórzane buty. Kiedyś nie mógł się bez nich obejść. W interesach liczy się wizerunek, to prawda, ale on po prostu lubił dobrze wyglądać. Jednak teraz zaczął się zastanawiać, czy będzie potrafił nosić te wszystkie luksusowe ciuchy, czy nie będzie się czuł jak przebieraniec. Dziś potrzebuje się ukryć, a nie skupiać uwagę innych, potrzebuje swobody ruchów, a nie ograniczeń wynikających z elegancji. Zresztą, przecież te wszystkie rzeczy i tak są już niemodne.

Machinalnie otwierał kolejne pudła, ale nie miał już siły przeglądać ich zawartości.

Ostatnie otworzył już tylko z poczucia obowiązku. Zastygł w bezruchu, ale jego twarz z każdą chwilą stawała się pogodniejsza i bardziej radosna. Kiedy był dzieckiem, dostał w prezencie gwiazdkowym kolejkę PIKO. Ojciec kupił ją podczas służbowej podróży do NRD, zapakował w duże pudło i przewiązał czerwoną wstążką. Miłosz pamiętał, jak z wypiekami na twarzy wyciągał poszczególne elementy zestawu. Teraz czuł się tak samo jak wtedy. Usiadł na podłodze i zaczął wyjmować znajdujące się w pudle rzeczy. Brał do rąk odkrywane na nowo skarby: ultralekki plecak – podarunek od przyjaciół, Goreteksową kurtkę, za którą zapłacił majątek, trampy kupione na giełdzie turystycznej, a nawet raki i czekan (to na wypadek, gdyby zachciało mu się chodzić zimą po górach).

Góry – to była prawdziwa wolność.

Na dnie pudła znajdowała się niewielka koperta, a w niej zdjęcia z ostatniej bieszczadzkiej wyprawy. Przeglądał je ze wzruszeniem. Uchwyczone w kadrze kolejne etapy wędrówki, spontaniczność, młodzińczy optymizm, energia, czasem melancholia – wszystko wtedy takie naturalne, niemal zwyczajne, z perspektywy lat i wydarzeń nabrało innego sensu. Stało się bolesnym wspomnieniem czasu, gdy wszystko układało się nadspodziewanie dobrze. Wtedy nawet w najczarniejszych snach nie przyszłoby im do głowy, jaka czeka ich przyszłość.

Już miał wstać, gdy coś go zastanowiło. Sięgnął po jedno ze zdjęć jeszcze raz. Byli na nim wszyscy trzej. Bardzo dobry kadr, ostrość, światło. Kto je zrobił? Może przypadkowy turysta? Nie przypominał sobie, by był tam z nimi ktoś jeszcze. Zresztą, co to ma za znaczenie. Teraz musi przede wszystkim odpocząć.

Schował rzeczy do pudła i udał się do łazienki. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Długo stał pod mocnym strumieniem i pozwalał, by gorąca woda masowała jego ciało. Zmywał z siebie trud minionego dnia, zmęczenie, napięcie. Z każdą minutą szorował skórę coraz mocniej, do czerwoności, próbując pozbyć się bakterii upokorzenia, strachu, wściekłości i hańby pasożytujących na jego ciele przez lata. Potem owinał się świeżym ręcznikiem niczym gojącym kompresem, przeszedł do sypialni i zasnął. Nie na komendę, o ustalonej porze, pod obstrzałem kamer, ale tak po prostu, jak zwykły człowiek.



Obudziły go promienie słońca przenikające przez szpary między zasłonami. Zerknął na zegarek. Szósta dwadzieścia trzy. Długie spanie jeszcze nie dla niego. O dwunastej jest umówiony w kancelarii. Ma zatem jeszcze sporo czasu. Wstał, rozsunął zasłony i otworzył okno. Rześki powiew rozbudził go na dobre. Wyjrzał na zewnątrz. Słońce oświetlało znajdujący się naprzeciwko rząd przedwojennych kamienic, jakby chciało, żeby docenił urok tego zabytkowego miejsca. Wyeksponowane słonecznym światłem sztukaterie wokół okien tworzyły niemal baśniowy klimat.

Z okna celi widział tylko betonową ścianę sąsiedniego budynku. Jedynym urozmaiceniem były liście przywiewane przez wiatr lub płatki śniegu powoli opadające na ziemię. Słońce właściwie tam nie zaglądało. Ciemna, brudna, martwa ściana.

Latem męczył go zaduch gorącego, wilgotnego powietrza i zapach stęchlizny z więziennej pralni znajdującej się bezpośrednio pod jego celą. Zimą dusił go dym z okolicznych kominów przeciskający się przez szpary między murem a framugą. Czasem na parapecie przysiadł wróbel, by za chwilę odlecieć gdzieś w przestrzeń wolności. W drugim albo trzecim roku odsiadki pojawiły się dwa gołębie. Przez jakiś czas sprawdzały miejsce, przynosiły na próbę gałęzie. W końcu najwyraźniej uznały, że jest bezpiecznie, i uwiły na jego parapecie gniazdo.

Co za idiotyczny pomysł! Przestępcy, strażnicy, kamery – wymarzone miejsce na założenie rodziny. Miłosz dziwił się, ale jednocześnie był wdzięczny, że wybrały parapet jego okna. Poznawał ich przyzwyczajenia, miał wrażenie, że rozpoznaje ich nastroje, wie, kiedy się kłóca, a kiedy adorują. Przestał się też dziwić mnogości symboli związanych z gołębiami, o których czytał kiedyś w jednej z książek z domowej biblioteki.

Niestety po kilku tygodniach usłyszał krzyki strażnika.

– Kurwa mać! Srają i srają. Już ja was załatwię, zasrańce jedne!

Następnego dnia gniazdo zniknęło, a na parapecie pojawiły się charakterystyczne kolce. I znowu za oknem była tylko martwa ściana.

Teraz mógł wreszcie obserwować przez okno prawdziwe życie. Patrzył na obficie ukwiecone balkony, na suszące się pranie, pręgowanego kocura

przeciągającego się po nocnej drzemce, firanki delikatnie poruszane porannym wiatrem, pierwsze promienie porannego wrześniowego słońca błędzące po szybach. Dźwięki radia, bicie kościelnych dzwonów czy gwizd czajnika harmonizowały z radosnym świergotem ptaków, którym nie przeszkadzał miejski gwar. Niewielką uliczką znajdującą się między kamienicami od czasu do czasu przejeżdżał samochód, ktoś pospiesznie przemykał chodnikiem. Życie toczyło się w swoim rytmie. W powietrzu unosił się zapach chleba i świeżo parzonej kawy.

– Stasiu, ile można na ciebie czekać. No wyciągaj te nogi. Podpieraj się porządnie i idź. My musimy chodzić. Nagle usłyszał głos starszej kobiety.

– Idę, idę, Basieńko. To tylko te przekłete buty tak mnie hamują. Mówiłem, że te stare były dużo lepsze.

Miłosz wychylił się, by przyjrzeć się rozmawiającym. Niemal pod jego oknem, przy drzwiach wejściowych do kamienicy, stali Basieńka i Stasio. Oboje mieli po jakieś osiemdziesiąt, a może nawet dziewięćdziesiąt lat.

– Buty... Co jeszcze wymyślisz? A drzwi zamknąłeś?

– Ja? – zdziwił się. – To ty miałaś zamknąć.

– No masz ci los, ja! – powiedziała z oburzeniem, ale po chwili zreflektowała się, a głos jej złagodniał. – Może i ja, ale ty powinienesz sprawdzić, czy zamknęłam. No dobrze, sprawdzę, a ty idź.

– Nie, to ja sprawdzę, a ty poczekaj.

– Nie, to ty...

Pan Stasio podpierał się laską. Miał na sobie ciemnobrązowy kapelusz, marynarkę w kratę w odcieniach brązu, a pod szyją bordowy fular. Ten drobny element garderoby spowodował, że od razu stał się Miłoszowi bliski. On też kupił sobie kiedyś fular, tak dla żartu, ale gdy okazało się, że dzięki niemu ludzie patrzą na niego z zainteresowaniem, a nawet szacunkiem, nosił go często. Teraz to on patrzył w ten sposób na swojego nowego sąsiada. Pani Basieńce również nie można było odmówić elegancji: beżowy kapelusik na starannie upiętych siwiuteńkich włosach, prosta granatowa sukienka, korale, niewielka torebka – oboje wyglądali niczym wyjęci z przedwojennego albumu. Cieszył się, że będzie miał takich sąsiadów.

Znowu poczuł zapach chleba i zatęsknił za śniadaniem. Takim z chrupiącym pieczywem i świeżym mlekiem w roli głównej. Zrezygnował

z obserwowania staruszków, ubrał się szybko i kuszony zapachem wyszedł na poszukiwanie piekarni.



Gdy Miłosz wchodził do kancelarii Igora, trębacz na wieży mariackiej kolejny raz tego dnia grał na cztery strony świata swoją melodię w tonacji F-dur. Dla każdego krakowianina to dowód, że dzień trwa, miasto żyje, a tradycja czuwa nad pędzącą codziennością.

Codziennosc Miłosza od wielu lat wyznaczały zgoła inne dźwięki. Szczęk kluczy, trzask zamykanych drzwi, sygnał początku i zakończenia dnia, turkotanie kólek kuchennego wózka. Hejnał pozwalał mu teraz wierzyć, że nawet jeśli jeszcze nie czuje się pewnie, to w swoim czasie tak właśnie będzie. Że wszystko powoli wskoczy na właściwe miejsce i będzie mógł odtrąbić swój hejnał, dając światu sygnał, że jest naprawdę wolny.

W drzwiach przywitała go uśmiechnięta szczupła blondynka o nienagannym makijażu, w wąskiej ciemnej spódnicy za kolano i białej bluzce. Była niczym wyjęta z instrukcji dress code'u dla szanujących się firm. Zanim zdążył powiedzieć, kim jest i po co przyszedł, Igor stanął w drzwiach swojego gabinetu.

– Punktualny jak Zdebski. – Zaśmiał się. Uścisnęli sobie dłonie. – Jak mieszkanie?

– Lepszego nie mogłem sobie wymarzyć. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Wreszcie spałem jak człowiek.

Weszli do przestronnego, urządzonego ze smakiem gabinetu. Antyczne biurko i fotele harmonizowały z nowoczesnymi przeszklonymi szafami na akta. Za tarasowymi drzwiami rozciągał się widok na ukwiecony ogród.

– Napijesz się kawy?

– Z kawy to ja uwielbiam tylko zapach. Ale dobrą herbatę...

– No tak, jak mogłem zapomnieć. Pani Aneto, kawę dla mnie i herbatę dla gościa, koniecznie w największym kubku, jaki mamy w kancelarii.

Weszli do gabinetu.

– Myślałem, że wolisz brunetki – zażartował Miłosz, gdy drzwi były już zamknięte.

– To nie żona, tylko sekretarka. Chciałem trafić w gusta większości klientów.

– No to wszystko jasne.

– A tak serio, to najlepsza sekretarka, jaką miałem. Proszę, siadaj. Wszystko mam przygotowane. – Miłosz zajął miejsce, a Igor podszedł do jednej z szaf i wyjął kilka teczek. – Tu masz skompletowane dokumenty. Podpisane, uporządkowane według dat. Wszystko, co dotyczy wynajmu mieszkania, samochodu, podatków, a także firmy, a właściwie jej sprzedaży. Wszelkie akty notarialne, sprawy bankowe. A tu są pełnomocnictwa. Oczywiście w każdej chwili możesz z nich zrezygnować.

Miłosz patrzył na Igora. Widział, jak tych kilkanaście lat go zmieniło. Teraz wyglądał jak prawdziwy mecenas. Elegancja w najmniejszym detalu, wyprostowana sylwetka pewnego siebie, doświadczonego adwokata. Mówił też inaczej – dobitniej, starannie, jakby profesja nie pozwalała mu na niedbałość.

Miłosz przejrzał pobieżnie zawartość teczek.

– Nie, nie, na razie wszystko po staremu. Nie potrafię się poruszać w tych urzędowych sprawach. Będę potrzebował twojej pomocy. Może nawet większej niż wcześniej.

– Nie ma sprawy. Zawsze do usług. A, żebym nie zapomniał. Dzwonili ze sklepu komputerowego. Mają model, który powinien cię zainteresować. Tu jest adres. – Igor podał Miłoszowi wizytówkę. – W mieszkaniu jest internet. Zakładałem go z myślą o studentach. Teraz bez tego ani rusz.

– Dzięki, Igor. Powinieneś rozszerzyć działalność, taki full serwis dla byłych więźniów. Prewencja, profilaktyka i dobry start w jednym.

– Jak zawsze kreatywny. Pomyślę. Jakby co, wchodzisz w ten biznes?

– Kto wie. Coś przecież trzeba będzie robić.

Stukanie do drzwi przerwało ich rozmowę. Weszła sekretarka. Zapach świeżo parzonej kawy wypełnił cały gabinet. Herbata i ciastka nie miały szans w pojedynku na aromaty. Duży biały kubek stał dumnie w towarzystwie niewielkiej porcelanowej filiżanki. Miłosz nie mógł tego nie zauważyć.

– Żebyś nie powiedział, że ci żałuję – zażartował Igor i podsunął mu kubek. Sam sięgnął po filiżankę i usiadł.

– Dobrze poczuć się jak za dawnych lat. – W głosie Miłosza dało się słyszeć rozmarzenie.

– To teraz na poważnie. – Igor nie zaliczał się do marzycieli, racjonalizm zawsze wygrywał u niego z sentymentami. – Co zamierzasz? Będziesz się rozglądał za jakąś pracę?

Miłosz wypił łyk herbaty.

– Pewnie tak. Nie powinno być większych problemów. Ludzie z moimi kwalifikacjami i atutami są rozchwytywani. Dobre CV i będę miał problem z wyborem oferty, a nie ze znalezieniem pracy.

Zawiesił głos, poczęstował się ciastkiem, udawał, że się nad czymś zastanawia. Igor czekał, ale uśmiech zniknął z jego twarzy, jakby spodziewał się, jaki będzie ciąg dalszy.

– Właściwie to mam już opracowane CV. Posłuchaj i oceń. Doświadczenie zawodowe: kilkanaście lat systematycznej obserwacji największych popaprańców i ich przyzwyczajień. Kursy i certyfikaty? Bardzo proszę. Kurs survivalu: jak przetrwać w pierdłu i nie zwariować. Znajomość języków? A i owszem! Grypsera biegle w mowie i piśmie.

– Miłosz...

– Poczekaj, dopiero się rozkręcam. – Wyglądał, jakby dobrze się bawił. – Atuty? Brak życia osobistego, więc w pełni dyspozycyjny. Wymarzony pracownik. Dodatkowe kwalifikacje? Skutecznie nastraszy nachalnego klienta czy niezdyscyplinowanego pracownika, w końcu morderca. Może jeszcze jakieś ciekawostki, coś, co zaskoczy ewentualnego pracodawcę? O, mam. Skończone studia, tak dla kamuflażu oczywiście. No i przywiązuje się do miejsc. Przez ostatnich piętnaście lat ciągle ten sam adres.

– Miłosz, daj spokój.

– Czekaj, czekaj, jeszcze referencje. Komendant był ze mnie zadowolony, skoro jednak mnie wypuścili, a kierownik z przywięziennej fabryki butów najchętniej zatrzymałby mnie na dożywocie, bo takim dobrym, wykwalifikowanym i solidnym byłem pracownikiem.

– Pytam poważnie. Będziesz czegoś szukał?

Miłosz milczał przez chwilę.

– Chyba żartujesz. – Zniknął sarkastyczny ton. – Dla nikogo nie będzie ważne, co osiągnąłem przed więzieniem, a zataić pierdła nie mogę. Jak się dowiedzą, wywalą mnie na zbity pysk. Nie chcę być cieciem. Szewcem też nie, choć w tej chwili to umiem robić najlepiej. Jeśli moje życie ma być jeszcze coś warte, to najpierw muszę udowodnić, że to nie ja jestem mordercą. I właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Miłosz, nie dziwi mnie to, że chcesz szukać, ale po tylu latach znalezienie nowych dowodów graniczy z cudem.

– Wiem, ale szukanie to jedyne, co mi pozostało. Mam na razie do przeanalizowania pięć koncepcji.

– Jakich konkretnie? – Igor był zaintrygowany.

Miłosz pochylił się, opierając przedramiona na kolanach, zaplótł przed sobą dłonie i zaczął wyliczać.

– Na początku pomyślałem, że to próba wyeliminowania firmy z rynku. Według tego założenia Wojtek nie zginął w wypadku, tylko wypadek był efektem czyjegoś świadomego działania. Kuba został zamordowany, ja byłbym następny.

– Nie sądzisz, że to dość ryzykowne założenie?

– Tak, ale nie mogę wykluczać żadnej ewentualności. Podczas śledztwa chyba właśnie tak zrobiono. Ja nie popełnię tego błędu.

– Racja. Życie jest bardziej zaskakujące, niż wynikałoby to z racjonalnych przesłanek.

– Jak widać po moim życiorysie... – powiedział z westchnieniem Miłosz. – Wariant drugi: Wojtek zginął w wypadku, Jakuba zabił jakiś świr, a ja jestem tylko przypadkową, ale bardzo wygodną dla mordercy, ofiarą całej sytuacji. On wciąż jest wolny i cieszy się, że wykiwał wymiar sprawiedliwości.

– Hm. To też nie jest wykluczone. Trzecia?

– Może Kuba miał z kimś na pieńku i ten ktoś po prostu się zemścił. – Ton głosu Miłosza zdradzał powątpiewanie.

– Myślisz, że Kuba mógł mieć wrogów? Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Ja też, ale pamiętaj, nie wykluczamy niczego. W przypływie więziennej fantazji przyszła mi do głowy nawet kochanka – powiedział ciszej, mniej

pewnie, jakby wstydził się takiego pomysłu. Kto jak kto, ale Kuba i kochanka?

– Zupełna bzdura.

Miłosz popatrzył na Igora tak, jakby chciał go upomnieć, i rozłożył ręce.

– No tak – zreflektował się. – Bzdura, nie bzdura, ale wziąć pod uwagę można.

– Następna koncepcja: sprawą zajmowali się partacze niewłaściwie interpretujący fakty, szukający najprostszego i najszybszego rozwiązania, by mieć szybko święty spokój. Efektem jest moja odsiadka.

– Przykro mi to mówić, ale tego też nie można wykluczyć.

– No właśnie. I ostatnia koncepcja: coś tu śmierdzi i jest to grubsza sprawa, w której tak naprawdę nie chodzi ani o mnie, ani o Kubę, ani o firmę. No, ale może się zagalopowałem. W każdym razie wykluczyć można tylko samobójstwo.

– Miłosz, tylko pamiętaj, że nie jesteś detektywem czy gliną.

– Pamiętam, ale w mojej sprawie organa ścigania się nie sprawdziły. Wyszedłem wcześniej za tak zwane dobre sprawowanie, ale gdyby nie ty, nic by z tego nie było.

Miłosz dobrze wiedział, jak jest naprawdę. Wychodzili nawet tacy, którzy byli zagrożeniem w zamknięciu, a co dopiero na wolności. Po prostu, jak za murem był ktoś, kto się zakręcił, pociągnął za odpowiednie sznurki, to załatwił specjalne traktowanie, a potem skrócenie wyroku za to tak zwane „dobre sprawowanie”. On też doświadczył specjalnego traktowania, tylko w jego wypadku znaczyło to coś zupełnie innego.

– No dobra, jak w takim razie mógłbym ci pomóc? – zapytał Igor, przerywając chwilowe milczenie.

– Potrzebuję przejrzeć akta sprawy, sfotografować to, co może okazać się ważne, i przeanalizować kopię nagrania z monitoringu. Wiem, że mogę sam złożyć wniosek, ale jak zrobisz to ty w moim imieniu, może będzie szybciej. Widziałem już te dokumenty podczas procesu, ale wtedy nie miałem głowy do analizy, a przecież tam musi być coś, co zostało przegapione. Gdybym to znalazł, miałbym się czego ucześcić.

– Dobrze. Złożę wniosek jutro. Mam znajomą, której być może uda się przyspieszyć procedury. Niczego nie obiecuję, ale spróbuję.

– Do dupy to nasze państwo prawa, wiesz? – Miłosz z goryczą podsumował rozmowę.

Igor nie odpowiedział.

– No dobra, to daj znać, jak coś będziesz wiedział. – Miłosz wstał i zaczął się zbierać do wyjścia. – A, Igor, powiedz mi, kim są ci starsi państwo, którzy mieszkają na parterze.

– Mówisz o panu Stasiu i pani Basieńce? Poznałeś już ich?

– Tak jakby. – Miłosz uśmiechnął się na wspomnienie ich porannej rozmowy.

– Para sympatycznych staruszków, przyjaciele moich dziadków. Młodszy od nich trochę. Razem grali w brydża. Zazdroścę im kondycji. Trzydziesty szósty rocznik! Rozumiesz?! Żebyśmy my połowę tego przeżyli!

– Muszę cię zmartwić, Igor, już przeżyliśmy... – Zaśmiali się. – No dobra, idę. Dzwon, jak będziesz coś wiedział.

– A ty, jak będziesz czegoś potrzebował.

Pożegnali się. Miłosz podziękował jeszcze sekretarce za pyszną herbatę i wyszedł.

Niebo zasnuło się chmurami. Wspomnienie porannego słońca zdawało się już tylko fantazją marzycieli wciąż pragnących lata.



Marta nie mogła się na niczym skupić. Wspomnienie spotkania z Miłoszem nie dawało jej spokoju. Ta bezsensowna kłótnia, żale, które z przekory wyrzucała z siebie, jego nagłe wyjście. Jakaż była głupia! A przecież marzyła, by stanął w jej drzwiach. Jak zwykle myśli jedno, a robi drugie. I co teraz? Ma czekać, że może jeszcze się odezwie? A może próbować go szukać? Tylko jak. Kraków to nie jakaś pipidówka. Szlag by to trafił! Na domiar złego Gośka z chłopcami zapowiedziała się na obiad. Marta nie miała ochoty na przyjmowanie gości, ale jak ma odmówić? Nie, to nie było w jej stylu. Poza tym uwielbiała siostrzeńców. Może dzięki nim choć na chwilę uda się jej oderwać od rozpamiętywania wczorajszej wizyty Miłosza.

Posprzątała w salonie, a potem poszła do kuchni robić zamówione przez siostrzeńców pierogi. Wsypała do miski mąkę, odrobinę soli i dodała ciepłej wody. Mama zawsze powtarzała, że to najlepszy sposób, by ciasto łatwo się zagniotło. Mówiła jej też, że jeśli nauczy się robić pierogi, to będzie dobrą żoną, matką i gospodynią. Taki rodzinny test kobiecej perfekcyjności. Może dzisiaj nareszcie go zda. Wymieszała składniki i zabrała się za zagniatanie. Kiedyś zrobi dobre pierogi swojej rodzinie. Oczyma wyobraźni już widziała ten obrazek. Dolała jeszcze trochę wody, bo ciasto wydało jej się zbyt twarde. Potem dosypała trochę mąki, bo było zbyt wilgotne. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Ile razy można dolewać wody i dosypywać mąki? Kiedy to ciasto będzie wreszcie dobre?! Podniosła wielką kulę, która ciągle lepiała się do rąk, i z impetem wrzuciła ją ponownie do miski. Nigdy nie będzie lśniącem, gładkim ciastem, które robiła mama! Nigdy! Tak jak nigdy nie będzie pierogów, rodzinnego obiadu, męża i dzieci.

Żona? Matka? Gospodyni? Nie, te tytuły nie dla niej. I to nie przez ten nieudany test! Sama wszystko zepsuła! Wcześniej mówiła o sobie „singielka z marzeniami”. Teraz pozostała tylko stara panna bez marzeń. Usiadła na podłodze, oparła się o szafkę i zaczęła płakać.

Zadzwieczał dzwonek i do mieszkania wbiegli siostrzeńcy.

– Ciociu, ty płaczesz? Wywróciłaś się? Coś cię boli? – wołali jeden przez drugiego i próbowali podnieść ją z podłogi. Otarła oczy, brudząc twarz mąką.

– Ale śmiesznie wyglądasz! – zawołał Franek.

– No, jak bałwan lepiący pierogi! – zakrzyknął Filip. Ich radosny, szczery śmiech wypełnił kuchnię.

– To mnie podsumowaliście! Ale pierogi na obiad trzeba chyba zamówić.

– Nie, ciociu, zrobimy razem! My zawsze pomagamy mamie, nie martw się!

Nie zdążyła odpowiedzieć, a już obaj stali z podwiniętymi rękawami gotowi do pracy.

W tej chwili weszła Gośka. Popatrzyła na Martę, na jej czerwone oczy i nieudane ciasto.

– Cześć, Tuśka – powiedziała niepewnie. – O, chłopaki, widzę, że ciocia zadbała o waszą ulubioną zabawę! No to do dzieła.

Włożyła fartuch, dosypała trochę mąki i zagniotła lśniące, elastyczne ciasto. Swój test zdała już wiele lat temu, a teraz tylko potwierdziła, że to nie

był przypadek.

Po obiedzie Gośka poprosiła chłopców, żeby pozmywali. Trochę się krzywili, ale zabrali się do pracy. Marta podziwiała Gośkę za to, jak sobie z nimi radziła. Zresztą nie tylko z nimi.

– Gosia, ale przecież to wszystko można włożyć do zmywarki – wyszeptała.

– Można, ale wtedy nie będziemy mogły porozmawiać, a widzę, że teraz chyba tego najbardziej potrzebujesz.

Przeszły do salonu.

– Siadaj i mów, co się dzieje.

– A co ma się dziać?

– No przecież widzę. Nie powiesz mi, że to lepienie pierogów doprowadziło cię do płaczu.

– Pierogi też.

– Nie żartuj. Gdybym cię nie znała, to może bym uwierzyła, że babcine testy na perfekcjonizm robią na tobie wrażenie. O co chodzi?

Marta nie odpowiedziała.

– Widziałaś się z nim?

Kiwnęła głową.

– Mówiłam ci, żebyś nie jeździła już do tego więzienia. Za dużo cię to kosztuje.

– Nie jeździłam.

– Czyli... wyszedł? Żartujesz?! – powiedziała to tak głośno, że aż się obejrzała, czy nie sprowokowała tym chłopców do przyjścia. – Gdzie go widziałaś?

– Przyszedł tu wczoraj.

– I?!

– Po prostu przyszedł, ale się pokłóciliśmy.

– No to chwała Bogu. Tuśka, zapomnij o nim. Już ci to kiedyś mówiłam.

– Wiem.

– Czekaaś na niego latami i co ci z tego przyszło? On już dawno przestał być księciem z twojej bajki. Zabił współnika!

– Gośka!

– Dla ciebie oczywiście nadal jest księciem? Podstarzałym i z paskudną rysą na życiorysie, ale jednak. Zrozum, tych kilkanaście lat musiało go zmienić. W więzieniu nie siedzą niewinni ludzie.

Marta spojrzała na nią ze złością.

– No tak, zapomniałam, on jest chlubnym wyjątkiem!

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Nie. Jestem racjonalistką i mam nadzieję, że choć trochę rozsądku udzieli się tobie. Zmarnowałaś przez niego tyle lat!

Marta nie miała siły się spierać. Gośka zawsze wygrywała na argumenty. W sprawie Miłozsa również, choć go nie znała. Swoją wiedzę o nim zawdzięczała mediom. No właśnie, mediom. Tymczasem to Marta znała prawdziwego Miłozsa. Tego, który z równie wielkim zaangażowaniem rozmawiał o firmowym oprogramowaniu, co o premierze *Wiśniowego sadu* w Starym Teatrze. Potrafił być zdecydowany i twardy w negocjacjach, ale też wrażliwy i delikatny, gdy ona tego potrzebowała. Księżę? Dla niej tak. Przystojny, inteligentny, intrygujący, z charakterem. Problem w tym, że nigdy nie powiedziała mu, co naprawdę czuje. Może zbyt wiele sobie wyobrażała? Co z tego, że rozumieli się bez słów, co z tego, że znali swoje przyzwyczajenia? Co z tego, że pamiętali o swoich urodzinach, imieninach i pocieszali się w trudnych chwilach? Może Gośka ma rację? Może przyszedł czas, by romantyzm ustąpił miejsca rozwadze?

Nagle usłyszały, że coś z impetem uderzyło o terakotę i się stłukło. Zapadła cisza. Wbiegły do kuchni. Chłopcy stali wystraszeni.

– Ciociu, przepraszam. Chciałem sobie nalać soku i...

– Nic się nie stało, Franiu, nie martw się. Zaraz posprzątam. To w końcu tylko... kubek. Idźcie z mamą do pokoju. Ja zaraz do was przyjdę.

Zaczęła zbierać porozrzucone na podłodze białe-brązowe ceramiczne kawałki. Te same, które jeszcze przed chwilą tworzyły duży kubek z wizerunkiem renifera.

Tak. Przyszedł czas.



Deszcz monotennie uderzał o szyby. Lato przestało już walczyć z chmurami, szykując się na ustąpienie miejsca słotnej jesieni. Ludzie poukrywali się w domach, tęskniąc za rozświetlającymi niebo przebłyskami słońca.

Miłosz stał w oknie i obserwował strugi deszczu rozmywające świat. Tak samo niewyraźny był obraz tego, co wydarzyło się piętnaście lat temu. Strugi niepamięci zdeformowały kształt przeszłości. Igor miał rację. Znalezienie po tylu latach czegoś nowego, przełomowego wydawało się graniczyć z cudem. Miłosz wiedział, że nie pozna tajemnicy śmierci Jakuba ot tak. Aby wyostrzyć to, co niemal zniknęło z pola widzenia, potrzeba determinacji, ale też pomocy ze strony tych, którzy wiedzieli więcej niż on. O pierwsze był spokojny, drugie mogło być bardzo trudne. Będzie się zmagał z podejrzliwością, może nawet nienawiścią. Niewykluczone, że pojawią się wrogowie, o których do tej pory nie miał pojęcia. Poza tym wróci do bolesnych, niezrozumiałych wydarzeń. Przekopie się przez stosy zgromadzonych w śledztwie materiałów. Każdą informację musi przesiać przez najdrobniejsze sito. Ponownie zmierzy się z traumatycznymi wspomnieniami. Wszystko po to, by znaleźć choć jeden szczegół, który pozwoli mu ruszyć z miejsca. A jeśli się nie uda? Odsiedzi dożywocie na wolności...

Nie. Takiej ewentualności nie brał pod uwagę.

Otrzymanie zgody na dostęp do akt trochę potrwa, nawet jeśli Igorowi uda się to przyspieszyć. Ale działać trzeba już. Usiadł do laptopa i wpisał w wyszukiwarkę imię i nazwisko przyjaciela, po czym kliknął w pierwszą z wyselekcjonowanych pozycji.

„Nie żyje Jakub Tomczyk – jeden z twórców Ultrasonu. Ciało znalazł jego wspólnik. Jak informuje rzecznik krakowskiej policji, wszystko wskazuje na to, że Tomczyk został zamordowany. Dla dobra śledztwa policja nie udziela informacji. Sprawa jest w toku”.

Pod tekstem, który ukazał się na stronie jednego z krakowskich dzienników, zamieszczono zdjęcie zrobione przed biurowcem. Karetka, radiowóz, karawan i taśmy ograniczające, przynajmniej pozornie, dostęp gapiów.

Niewiele pamiętał z tego wieczoru. Ale to nie czas, który upłynął od tamtej pory, miał na to największy wpływ. To, co widział i zapamiętał, dyktowały emocje, a nie spostrzegawczość. Przyjechał do biura, żeby pogadać. Rano się pokłócili. Chodziło o plany rozwoju firmy. Jakub doradzał ostrożność, Miłosz

chciał ryzykować. Rozmowa nie była przyjemna, poniosło go. Gdy ochłonął, uznał, że kłótnia to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebują. Niedawno stracili współnika. Doszedł do wniosku, że muszą pogadać, ale nie chciał w ciemno jechać do domu Kuby. Zadzwoił do Anki. Od niej dowiedział się, że Kuba miał zostać dłużej w pracy. Pojechał więc do biura. Z parkingu widział rozświetlone okna firmy. Zatem Kuba jeszcze pracował.

Niepokój poczuł tuż za progiem jego gabinetu. Rozrzucone segregatory, leżące na podłodze papiery, rozlana kawa. Niewielki ruch powietrza spowodowany energicznym wejściem Miłosza podniósł delikatnie krawędzie kilku kartek, by po chwili kazać im ponownie spocząć na podłodze.

Miłosz zawołał. Nikt nie odpowiedział. Wszedł. Rozejrzał się. Zrobił kilka kroków. Cisza aż dzwoniła w uszach. I wtedy go zobaczył. Leżał skulony za biurkiem, na lewym boku, jakby w wyniku jakichś dolegliwości nagle musiał się położyć. Oczy miał otwarte, twarz wykrzywioną bólem. Miłosz był przekonany, że Kuba źle się poczuł. Podbiegł. Ukląkł przy nim. Wołał do niego. Pytał, co się stało. Bez reakcji. Gdy starał się przekręcić go na wznak, na dłoniach i kolanach zauważył krew. Sączyła się z klatki piersiowej i wsiąkała w nową grafitową wykładzinę.

Drżącymi rękami wyciągnął telefon i z trudem wybrał numer pogotowia.

Krzyczał na dyspozytorkę, by przestała go wypytywać, a jak najszybciej przysłała karetkę. Bo Kuba. Bo umiera. Bo czas.

Co działo się potem, pamiętał jak przez mgłę. Uciskał. Sprawdzał reakcję. Uciskał dalej. Wpadł w trans, który nie dopuszczał zmęczenia, nie pozwalał przestać. Gdy zobaczył lekarza, był pewien, że teraz już będzie dobrze. Ale lekarz nie kontynuował reanimacji. Miłosz nie rozumiał. Tak się starał. Taki był wytrwały. I wszystko na marne? Na marne. Kuba nie żył.

Nagle w gabinecie zrobiło się tłoczno. Prokurator, lekarz sądowy, ekipa dochodzeniowo-śledcza. Wszystko się zmieniło. Przed nimi nie leżał Kuba, ale denat. To nie był już gabinet w Ultrasonie, ale miejsce zbrodni. Miłosz przestał być przyjacielem czy współnikiem. Stał się ważnym świadkiem w sprawie i jako taki został przesłuchany. Nikt nie myślał o tym, co czuje. A przecież w tym momencie rozpadał się jego świat tak mocno wiążący to, co prywatne, z tym, co biznesowe. Myślami zawładnął chaos. W głowie kłębiły mu się pytania pozostające bez odpowiedzi. Tymczasem prokurator zasypał go mnóstwem kolejnych.

Co robił, zanim przyjechał do biura? Kiedy ostatni raz rozmawiał z Kubą? O czym? Czy ma podejrzenia, kto mógł być w biurze przed nim? Dlaczego przyjechał do firmy po godzinach? Czy ktoś im groził? Dlaczego ruszał ciało? Dlaczego zacierał ślady? Wtedy Miłosz był przekonany, że na tym polega profesjonalizm, i choć niektóre pytania bolały, wytłumaczył sobie, że widać takie są procedury.

Otępiały patrzył, jak pakowali Kubę w wielki czarny worek, a potem wynieśli jak bezużyteczny przedmiot. Dla nich był jedną z wielu ofiar. Ot, kolejny trup. Kolejna sprawa. Rutynowe działania. Wszystko w ramach obowiązków służbowych, po których wrócą do domu. Miłosz po raz enty doświadczył, że w chwili gdy zatrzymuje się jego świat, inni pędzą dalej. Ktoś, zdejmując ślady, opowiada, gdzie wybiera się na urlop. Ktoś inny odbiera telefon i obiecuje, że dzisiaj na pewno wróci wcześniej i w końcu naprawi ten cholerny zamek. A wszyscy myślą już o weekendzie i świętym spokoju z dala od afer, trupów, humorów szefa i (nie)spodziewanych telefonów.

Trudno mu było przyjąć do wiadomości, że Kuba został zamordowany. Bo i dlaczego? Pozostawało mieć nadzieję, że policja szybko wyjaśni sprawę. W dwudziestym pierwszym wieku nie takie zagadki daje się rozwiązać. Kilka tygodni później stracił wszelkie złudzenia.



Telefon zawibrował. Spojrzał na ekran. Skrzywił się i westchnął ciężko. Diabli nadali! Czego on chce? Nie miał ochoty rozmawiać, ale jednocześnie czuł, że powinien. Nie dzwoni się przecież po tylu latach bez powodu.

– Słucham.

– Wyszedł. – Głos po drugiej stronie był wyraźnie zdenerwowany.

– Kto wyszedł? A w ogóle może by tak trochę kurtuazji? Na przykład, kto dzwoni albo „cześć, stary”, „miło znów cię słyszeć”...

– Nie pierdol! Wyszedł, mówię. Po polsku nie rozumiesz?

– Spokojnie. Mówisz o...

– A niby o kim! Wyszedł i może nieźle namieszać, a ja nie chcę mieć kłopotów!

– Przestań wrzeszczeć, bo zaraz wszyscy usłyszą, że masz coś na sumieniu.

– Ja?! Ja mam coś na sumieniu?! A kto mnie wciągnął w to gówno?!

– Uspokój się, mówię! Przecież minęło... Niech policzę, piętnaście lat. Gdyby wyszedł po roku, dwóch, po pięciu latach, to jeszcze bym rozumiał ten alarm. Ale minęło piętnaście lat, rozumiesz?

– I co z tego. Pamiętam dokładnie twoje słowa: „Nie martw się, wszystko mam pod kontrolą”. I co?!

– Co się tak trzęsiesz? Wyluzuj.

– Widzę, że ciebie to zupełnie nie rusza.

– A co ma ruszać? Jakim cudem miałyby na nas trafić? Odsiedział swoje. Winę mu udowodniono, w pierdłu rozumu go nauczyli. Kto by się chciał babrać w przyschniętym gównie. Poza tym to nie jest agent specjalny, tylko inżynier.

– Twierdziłeś, że nie wyjdzie – cedził przez zęby.

– Twierdziłem. I co z tego?! Byłem pewien, że nie wytrzyma psychicznie.

– No i patrz, kurwa, wytrzymał!

– Muszę kończyć. Gdybyś coś zauważył, dawaj znać, ale mogę się założyć, że to niepotrzebny alarm.

Rozłączył się. Rzucił telefon na łóżko i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Kurwa mać! Zapomniał! Faktycznie zapomniał, że ten problem istnieje! Właściwie uznał, że go nie ma. Bo o czym tu pamiętać. W pierdłu łatwo nie jest. Warunki dalekie od hotelowych, a pan inżynier delikatny, nie przywykł do wilgoci, kiepskiego towarzystwa i grubiańskich zachowań.

Na początku uważnie śledził nowe życie prezesa, dbał, by w więzieniu odpowiednio się nim zajmowano, ale z czasem, gdy wszystko przycichło, wrócił do swoich spraw. Może to był błąd? Może trzeba było kontrolować sytuację? Ale po co ta panika? Zanim Zdebski przyzwyczai się do życia na wolności, miną kolejne lata. W razie czego odświeży odpowiednie kontakty, ale na razie nie ma takiej potrzeby. Spokojnie.



Deszcz był coraz mocniejszy. Zbierało się na burzę. Rozsądek nakazywał wyłączyć komputer, ale Miłosz nie potrafił teraz od niego odejść. Kolejno klikał wyszukane linki, ale wszystkie mówiły o tym samym. Czasem więcej było informacji o firmie, czasem ktoś połączył śmierć Jakuba z wypadkiem Wojtka, czasem snuto teorie na temat morderstwa.

Gdy wpisywał w wyszukiwarkę kolejne hasło, burza rozszalała się na dobre. Odłączył laptop od zasilania i pracował dalej.

Miłosz Zdebski.

Miłosz Z. morderca – tę frazę najtrudniej było wpisać, ale nie miał wyjścia.

Liczba wyszukanych wyników go poraziła. Niejeden celebryta marzyłby o takiej popularności. Zgodnie z zasadą: „Nieważne, co mówią, byle nie pomylili nazwiska”. Ale Miłosz nie był celebrytą.

Wiedział, że internet to skarbnica wszelkich informacji. Był nią już kilkanaście lat wcześniej. Ale nie sądził, że znajdzie na swój temat tak wiele. Przecież to sprawa sprzed tylu lat, coś, co nikogo nie powinno już obchodzić, a jednak nadal tam było. Właściwie to nic dziwnego. Po pierwsze, internet nie zapomina. Po drugie, jego aresztowanie, przesłuchania, a potem proces były prawdziwą gratką dla dziennikarzy. I pomyśleć, że kilka miesięcy wcześniej cieszył się na spotkanie z nimi. Chcieli wiedzieć, jak firma osiągnęła sukces, rozplýwali się nad wynikami i otrzymywanymi nagrodami. Fotografowali ich służbowo i prywatnie. Dzwonili z gratulacjami i propozycjami kolejnych wywiadów. Potem, gdy w blasku fleszy, pod czujnym okiem kamer, prowadzono go na kolejne przesłuchania lub na salę rozpraw, ci sami dziennikarze na wyścigi podsuwali mu mikrofony pod nos i prowokowali oskarżającymi pytaniami.

Teraz patrzył na przechowywane w internecie efekty dziennikarskiej pracy. Kliknął kolejny link. Na ekranie pojawił się artykuł. Nie był długi, ale jego tytuł nie pozostawiał złudzeń, że Miłosz został osądzony przez media, zanim jeszcze sąd wydał wyrok.

„Miłosz Z. – morderca prawie doskonały (?)

Współwłaściciel krakowskiego Ultrasonu oskarżony o zamordowanie swojego współlnika.

Kilka tygodni temu informowaliśmy o śmierci Jakuba Tomczyka i szoku, jaki wywołało to wydarzenie w całym biznesowym świecie. Głównym oskarżonym w tej ponurej sprawie jest Miłosz Z. – współwłaściciel firmy, a prywatnie (nie)przyjaciel zamordowanego.

Jak podają nieoficjalne źródła, Miłosz Z. rankiem feralnego dnia groził Jakubowi Tomczykowi. Wieczorem przyjechał do siedziby firmy i zastrzelił go. Potem wezwał karetkę, informując, że znalazł w biurze nieprzytomnego Tomczyka. Dzisiaj wiemy, że pierwsza pomoc, której udzielał przyjacielowi, była prawdopodobnie nie pomocą, a przemyślaną taktyką. Policja nie ujawnia szczegółów, ale jak twierdzi nasz informator, morderstwo to najbardziej prawdopodobna hipoteza. Oskarżony nie przyznaje się do winy”.

Siedział oniemiały. Tyle oskarżeń. Jak można pisać takie bzdury? Tak szkalować, lżyć?

Pod artykułem znajdowało się tylko jedno zdjęcie, ale wystarczająco wymowne. Zakuty w kajdanki wsiadał do radiowozu. Poczł to samo upokorzenie, które towarzyszyło mu wtedy, gdy policjant położył mu rękę na głowie i zdecydowanym ruchem wepchnął do auta. Gwałtowność i siła tego gestu pozbawiły go złudzeń. Miał zginać kark, im bardziej, tym lepiej.

Miłosz czytał z niedowierzaniem. Coraz mocniej zaciskał zęby.

„Sprzątaczką zeznała, że Miłosz Z. i Jakub T. się kłócili. Z. groził swojemu wspólnikowi: «Zobaczysz. Będiesz tego żałował. Wszyscy będą tego żałować». Był bardzo zdenerwowany, trzasnął drzwiami i opuścił siedzibę firmy”.

Jak można zmanipulować każdą informację! Przecież wtedy rozmawiali tylko o interesach! O tym, ile da się zyskać lub stracić i jak będą potem żałować, że nie odważyli się na uruchomienie oddziału firmy w Pradze. Owszem, był zdenerwowany, bo jak nigdy miał pewność, że to świetny interes, a Kuba po prostu się bał. Wolał stabilizację niż biznesowe ryzyko, bo właśnie założył rodzinę, budował dom. Tak to wyglądało. Ale kogo obchodzi prawda?

Miłosz przeglądał kolejne strony. Oczy go piekły, głowa bolała, serce kołatało, ale czytał dalej.

Kurwa, zadali sobie tyle trudu, żeby przeświecić i ze szczegółami opisać całe jego życie. Gównu wiedzieli! Czy naprawdę news jest ważniejszy od człowieka?

Na przykład sprawa nagłej śmierci rodziców. Wypadek, w którym pijany kierowca wymusił pierwszeństwo, zabijając ich i siebie. Informacja, że to zapewne traumy z dzieciństwa ożyły ze zdwojoną siłą. Że skrywane emocje sieroty wypełzły z dorosłego człowieka i ukarały za śmierć rodziców niewinną osobę. Nagle wszyscy stali się specjalistami od traum. Od jego traumy.

Nie byli w stanie zrozumieć tego, co przeszedł. Tego, co czuł, gdy nagle z dnia na dzień okazało się, że rodziców już nie ma. Gdy zamykał się w szafie, by zasypiać otulony ich wonią skrzętnie ukrytą między splotami wełnianych swetrów. Gdy wychodził z domu tylko po to, by za chwilę wrócić z nadzieją, że znowu poczuje zapach naleśników, ostatniej potrawy przygotowanej przez mamę, i usłyszy głosy rodziców, a potem usiądą przy stole i zjedzą razem obiad. Ale nie było ani zapachu, ani głosów. Wybiegał ze łzami w oczach i wracał. Znów i znów. I wciąż bez skutku.

Wstał. Zapalił kolejnego papierosa. Zaczął nerwowo chodzić po mieszkaniu. Próbował rozmasować kark.

Szlag by to trafił. Wiedział, że najlepszym rozwiązaniem jest wyłączenie komputera, ale nie potrafił powiedzieć sobie stop. Usiadł i zaczął przeszukiwać kolejne strony.

Przesunął kursor. Kliknął.

Był na każdym zdjęciu. Stał lub siedział na pierwszym planie. W tle dostrzegł dwie osoby, które niemal zawsze mu towarzyszyły. Pierwszą z nich był łyсы nadgorliwy skurwysyn, czyli młody, zaangażowany dziennikarz. Każde jego pytanie było jak uderzenie kamieniem. „Co pan myślał w momencie strzału? Może pan spojrzeć w oczy żony i dziecka Jakuba Tomczyka? Co pan czuł, stojąc nad jego trumną?” Mógł zaistnieć. Tylko to się dla niego liczyło.

Drugą osobą była Helena – matka Jakuba. Patrzyła na Miłosza tym samym lodowatym wzrokiem. Ubrana na czarno, krucha kobieta. Postarzała się w jednej chwili. Nie płakała. Stała i patrzyła. Tylko raz podeszła do niego, ale zapamiętał to na całe życie. Spoliczkowała go.

– Traktowałam cię jak syna! Jak mogłeś, bydlaku! – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

– To pomyłka, straszna pomyłka. Ja tego nie zrobiłem.

Zdawała się nie słyszeć tego, co mówił.

– Zgnijesz w więzieniu, a ja będę cieszyć się, że cierpisz.

Była jak dzikie zwierzę, które paraliżuje swoją ofiarę wzrokiem. Karmi się jej strachem.

Nic nie zrobił, a jednak bał się jej nienawistnego wzroku. Bał się kruchej, starej kobiety.

Przeglądał kolejne zdjęcia.

Jego wzrok zatrzymał się na dwóch płonących, buchających gęstym dymem wieżach. Paradoksalnie, gdy świat przestał oddychać, przerażony tragedią tysięcy ludzi i siłą terrorystów, Miłosz mógł wreszcie nieco odetchnąć. Wszystkie oczy zwrócone były na Nowy Jork. Dzięki temu Miłosz Z. – domniemany morderca współnika i przyjaciela – został odsunięty na dalszy plan. Osama bin Laden sprawił, że Miłosz stał się nic nieznaczącym drobnym rzezimieszkiem.

Tak. Czuł ulgę. I choć wiedział, czemu ją zawdzięcza, cieszył się, że ma chwilę na rozluźnienie mięśni, że niezauważony przemknął przez sądowe korytarze.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk dzwonka.

Drgnął. Nikogo się nie spodziewał. Tylko Igor wiedział, gdzie mieszka.

Wstał i niemal bezszelestnie podszedł do drzwi. Spojrzał przez wizjer i zamarł. Za drzwiami stał łysy nadgorliwy skurwysyn. Prawie się nie zmienił. Może trochę przytył, może nie był już tak pewny siebie, ale Miłosz nie miał wątpliwości. To był on. Ale skąd wiedział, gdzie go szukać? Jak tu trafił?

Dzwonek się powtórzył. Miłosz nie wiedział, co robić. Wpuścić go? A może udawać, że nikogo nie ma?

– Proszę otworzyć. Wiem, że pan tam jest. Chcę tylko porozmawiać.

Porozmawiać?! Przyszedł tylko porozmawiać?! Te słowa ułatwiły Miłoszowi decyzję.

Otworzył drzwi, popchnął go z impetem i gwałtownie przycisnął do barierki.

– Ty skurwysynu! Ty chcesz ze mną porozmawiać?! Ty?! Przedtem nie potrzebowałeś o nic pytać, a i tak wiedziałeś, co napisać! Talentu zabrakło?!

Wystarczyło zwolnić uścisk, mocniej popchnąć, a runąłby kilka metrów niżej na zabytkową posadzkę. Miłosz miał ochotę wypchnąć go, a potem przyglądać się, jak cierpi, jak nie może się podnieść, jak patrzy błagalnym wzrokiem. Czuł teraz wściekłość, jakiej nigdy wcześniej nie doznał,

a jednocześnie zaczął odczuwać niebezpieczną satysfakcję, że może się odegrać. Liczyło się tu i teraz. Życie tego człowieka było w jego rękach. Mógł go zabić, mszcząc się tym samym za wszystko, za każdą obelgę, prowokację, nadużycie, manipulację. Otrzeźwił go dochodzący z parteru odgłos otwieranych drzwi. Nie! Przecież dopiero wyszedł z więzienia, ma się pozbyć piętna mordercy, a nie naprawdę się nim stać!

Nagle dotarły do niego słowa wypowiedziane zdławionym głosem:

– Wiem, że jest pan niewinny...

Z trudem opanował emocje, przyciągnął łysego do siebie, trzymając go nadal mocno, po czym odwrócił się razem z nim i popchnął go na ścianę.

– Wynoś się stąd, bo wezwę policję – powiedział i zwolnił uścisk.

Dziennikarz osunął się na podłogę i siedział tak bez ruchu. Miłosz również usiadł. Oparł głowę o ścianę. Oddychał głęboko, próbując odzyskać spokój.

– Wiem, że jest pan niewinny.

Boże, pierwszy raz, nie licząc wsparcia Marty, Miłosz usłyszał, że jest niewinny. Nawet żaden z jego adwokatów nigdy tego wprost nie wyartykułował. To zawsze on powtarzał te słowa jak mantrę, ale nikt go nie słuchał.

– Wtedy dopiero skończyłem studia. Chciałem zapracować na uznanie, chciałem się wykazać. To właściwie były moje pierwsze materiały. Wielka sprawa.

– Zrobić ze mnie mordercę, to była wielka sprawa? – Miłosz kręcił z niedowierzaniem głową.

– W tym zawodzie trzeba czasem być gnidą. Mocny news wymaga ofiar.

– Co, chcesz mi powiedzieć, że wykarmiłem taką wesz, a teraz dopadły ją wyrzuty sumienia?

– Nie, nie chodzi o wyrzuty sumienia.

Miłosz nadal nie rozumiał celu jego wizyty. Nie chciał znowu stać się ofiarą mediów. Wstał.

– Zostałem skazany, odsiedziałem swoje, wyszedłem. Koniec. Nie zamierzam paprać się w tym gównie.

Tamten też wstał, otrzepał się, poprawił ubranie.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. Tylko prawdziwi mordercy nagle próbują stać się prawymi obywatelami i chcą zapomnieć o tym, co było. Niewinny zawsze drąży, szuka. Inaczej czułby się tak, jakby nadal siedział. Dlatego pyta i nawet czasem znajduje odpowiedź... To moja wizytówka. Jak będzie pan gotowy współpracować, proszę dzwonić.

Miłosz odepchnął jego rękę.

– Spierdalaj. Nie potrzebuję twojej pomocy – wycedził przez zęby, po czym wszedł do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

Zanim usłyszał kroki na schodach, zobaczył wsuwany pod drzwi kartonik.

Podniósł go i przeczytał: Sławomir Sępiński – dziennikarz śledczy.

A więc łysy ma nazwisko. I to jakie. Sęp to sęp.



Anka Tomczyk stała przy oknie, nerwowo wpatrując się to w skąpo oświetloną ulicę, to w ekran telefonu. Gdzie on znowu jest? Od dwóch godzin nie mogła się dodzwonić. Nie powiedział, dokąd idzie i o której wróci. Kiedyś przysyłał esemesy albo dzwonił, gdy coś nieprzewidzianego opóźniało jego powrót do domu, ale od kilku tygodni ten zwyczaj przestał obowiązywać. Dlaczego on jej to robi?! Teraz będzie chodziła od okna do okna, nie mogąc się na niczym skupić, a wyobraźnia podsunie jej jak zwykle najczarniejsze scenariusze.

– Jesteś dla niego zbyt pobłażliwa. Czasem trzeba ryknąć, żeby zrozumiał, ograniczyć wychodzenie z domu, a ty tylko tłumaczysz i głaszcysz. – Teściowa weszła do kuchni.

– Z krzyku jeszcze nic dobrego się nie urodziło – odpowiedziała, siląc się na spokój. – Nie chcę, żeby...

– Jak widać, z ciszy też. Z ciebie zawsze wychodzi postępową nauczycielka. Psychologiczne farmazony. – Głos teściowej stał się surowy. – Tymczasem trochę moresu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Rozpuściłaś go, to teraz stój w tym oknie i czekaj.

Zabolały ją te słowa, zresztą nie pierwszy raz. Przez lata znosiła krytykę, nieprzyjemne komentarze. Że jest złą matką. Że nie potrafi sprzątać ani gotować. Że czyta nie takie książki. Że źle się maluje. Nawet chodzi nie tak jak trzeba i szura kapciami niczym niedołączna staruszka. Starła się ignorować wszystkie uwagi. Teść, gdy żył, tłumaczył, że Helena taka nie jest, że to wszystko po śmierci Kuby, i trudno było nie przyznać mu racji. Wcześniej nie wtrącała się, wspierała, czasem pochwaliła. I wydawało się, że jest szczerą. A może to były tylko pozory? Może Kuba musiał wysłuchiwać tych wszystkich uwag za nią?

Helena dużo jej pomogła. Po śmierci Kuby zajęła się Michasiem, wzięła na siebie wiele domowych obowiązków. Była taka silna, nie rozpaczała. Anka zastanawiała się, jak to możliwe, że po śmierci jedyne go syna tak szybko się otrząsnęła. Może to Michaś miał na nią tak kojący wpływ?

Gdy Anka chciała sprzedać dom, kupić niewielkie mieszkanie, a pozostałe pieniądze odłożyć, teściowie przekonali ją, że Kuba by na to nie pozwolił. Zaoferowali, że pomogą, będą nadzorować prace wykończeniowe. Marzeń się nie sprzedaje, sprzedaje się to, co przeklęte, a taka była ich zdaniem firma. Nie spierała się, choć wiedziała, że dla Kuby Ultrason był tak samo ważny. Jednak to w nim został zastrzelony. I to przez kogo.

Chociaż... Zresztą nieważne.

Firmę sprzedali bez większych kłopotów. Pieniądze pozwoliły dokończyć wszelkie prace i zabezpieczyć najbliższą przyszłość. Teściowie zamieszkali z nimi. Wtedy wydawało się jej, że to najlepsze rozwiązanie. Ale z każdym rokiem było coraz trudniej.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tak naprawdę została zupełnie sama. Za plecami miała zgorzkniałą starą kobietę, której syn odszedł bezpowrotnie wiele lat temu. Przed sobą zanurzony w ciemności ogród, w którym zapłakanymi oczyma próbowała wypatrzyć swojego syna. Tego samego, który kiedyś przytulał się do niej i prosił, by opowiedziała mu bajkę, a teraz tak ostentacyjnie domagał się powietrza, zaufania, samodzielności.

Problem w tym, że nie wiedziała, jak pogodzić swój strach i jego potrzebę wolności.



Michał miał szesnaście lat. Długie ciemne włosy, śniada cera, ostre rysy, do tego skórzana kurtka i wojskowe buty – wszystko to sprawiało, że wyglądał na starszego, ale młodzieńczy zarost, charakterystyczne wgłębienie w brodzie i ogromne roześmiane piwne oczy łagodziły wrażenie dorosłości. Telefon zawibrował. Zerknął. Znowu mama. Westchnął, ale go nie odłożył. Wpatrywał się w ekran.

– No weź, nie pękaj – skarcił go Maks. – Mówię ci, że jak jej nie przetrzymasz, to nie da ci żyć. Stary, ty masz szesnaście lat, nie dziesięć. –

Dopił piwo i rzucił puszką w kierunku kosza. – Kurwa! Znowu pudło. Wypiłeś swoje?

– Nie. – Nadal patrzył w ekran.

– To wypij i dawaj. Trening czyni mistrza. No i odłóż wreszcie ten telefon, bo w końcu zmiękniesz.

– Dobra, dobra – powiedział bez przekonania.

Wiedział, że mama się martwi, nie chciał jej ranić, ale czuł, że jeśli nie da mu większej swobody, jeśli nie dotrze do niej, że on nie jest już dzieckiem, to dłużej tego nie wytrzyma.

– Powiedziałaś jej, że za rok jedziesz na obóz żeglarski, a nie w góry?

– Nie. Nie było okazji. Babka ciągle jest w pobliżu, a przy niej to ja niczego nie załatwię.

– No to czekaj dłużej, aż zrobią z ciebie wierną kopię ojca! Sprawdzałeś, czy w szafie dalej są jego rzeczy? Na bank zaraz je wyjmą i każą ci w nich chodzić!

– Przestań, to wcale nie jest śmieszne. – Jeszcze raz spojrzął na telefon i schował go do kieszeni.

– Ale mówiłeś...

– Wiem, co mówiłem, i dalej tak czuję.

Michał nie pamiętał ojca. Zamiast za nim tęsknić, coraz bardziej go nienawidził. Jakby cały czas był prześladowany. Skulił się. Dopiero teraz poczuł wieczorny chłód. Do tego deszcz, który zaczynał przesączać się przez korony starych drzew. Maks też zmarzł, bo sięgnął po bluzę. Planty opustoszały.

– Ostatnio babcia powiedziała, że muszę się inaczej ostrzec, bo ojcu na pewno nie spodobałyby się moje długie włosy, czaisz?

- I tak mówiłeś, że idziesz do fryzjera.
- Pocięło cię? Teraz to na złość będę zapuszczał.
- Uuuu, czuję młodzieńczy bunt – powiedział z udawaną powagą.
- Jak taki jesteś mądry, to się ze mną zamień.
- Ooo, co to to nie.

– Wiesz, co mi jeszcze powiedziała? Że pamięć o ojcu nic dla mnie nie znaczy i że jestem niewdzięcznym gówniarzem. No i oczywiście, że oni z dziadkiem poświęcili się dla mnie, a ja tak się odpłacam. – Dopił piwo, ale nie oddał puszki Maksowi, tylko próbował ją jak najmocniej zgnieść. – Jakbym wszystko zawdzięczał im! Babka mnie normalnie wykończy.

– Mam się nią zająć? – zapytał Maks poważnym, chrypliwym głosem.

Parsknęli śmiechem. Michał pokręcił głową.

– Damy jej ostatnią szansę – dodał z udawaną powagą.

– Dobra, mogę jeszcze poczekać. – Maks nie przestawał się śmiać. – Ale tak na poważnie to masz przesrane.

– Ano mam. Dobrze, że ojciec zginął, jak już się urodziłem, bo imię też miałbym po nim. Syn tego kumpla ojca, który zginął w wypadku, urodził się po jego śmierci, no i jest Wojtuś, jak tatuś.

– No to mamy jakiś plus.

– Czekać. To nie koniec. Wiesz, jak nie lubię ruskich.

– Jak połowa Polaków.

– O pierogach mówię, kretynie. Babcia ciągle je robi, bo tatuś lubił, to i ja na pewno też. Już sam nie wiem, czy nie lubię ich, bo mi się przejadły, czy po prostu mam alergię na wszystko, co lubił ojciec. No i jeszcze te pieprzone góry. Wchodzić, żeby schodzić!

– Wiesz co, myślałem, że moja rodzina to jakaś patologia, ale przy twojej to zaczynam się czuć jak *royal baby*.

– Jakby ojciec żył, to wszystko wyglądałoby inaczej.

Michał się zamyślił. Może z ojcem łatwiej by się dogadał? Może razem chodziliby po tych pieprzonych górach i jedli te przeklęte ruskie.

– Ty, a ten, co zabił twojego ojca, to już wyszedł?

– Dostał dwadzieścia, to jeszcze trochę posiedzi.

– Czapę powinien dostać.

Michał nic nie odpowiedział.

– Ty, a co zrobisz, jak wyjdzie?

– Pomyślę. O ile wcześniej od tych ruskich nie wykituję. – Roześmiali się.

– No dobra, spadamy, bo mi już dupa przymarzła do tej metalowej ławki. No i w końcu muszę odebrać telefon i wrócić do domu.

– Z miłości do mamusi czy z zimna?

– Oczywiście, że z miłości.

Zależało mu, by te słowa zabrzmiały jak żart. Prawda była jednak inna. Kochał mamę i nie chciał jej dłużej torturować.

Michał rzucił jeszcze zgniecioną puszkę do kosza. Trafił.

– O, to jest chyba jedyna cecha, która mnie łączy z ojcem, celuję bez pudła.

Maks czekał na wyjaśnienie.

– Ojciec podobno świetnie strzelał.

– No to uważaj, żeby kolejna rzecz was nie połączyła.

Teraz to Michał patrzył pytająco.

– Świetnie strzelał, a i tak dał się zabić.



Przysnęła. Obudził ją odgłos zamykania drzwi na klucz. Otworzyła opuchnięte od płaczu oczy. A więc wrócił. Łzy znowu popłynęły, ale tym razem były to łzy ulgi. Powinna z nim porozmawiać, ale nie miała siły. Najważniejsze, że wrócił do domu, więc jest bezpieczny. Dzięki temu i ona może spokojniej zasnąć.

Sen nie był przyjacielem Anki. Nie pamiętała już, co znaczy zamknąć oczy i po wielu godzinach obudzić się z poczuciem, że to był błogi odpoczynek. Po śmierci Kuby chciała spać jak najwięcej, by pod powiekami szukać okruchów niedawnej przeszłości. Chciała zobaczyć, jak staje w drzwiach i woła: „Aniu, już jestem! Co robiliście, gdy mnie nie było?”. Jak daje mu całusa i przytula

się całą sobą. Tak było niemal każdego dnia, gdy wracał z firmy. Zjadali obiad, opowiadali sobie, co się wydarzyło, planowali kolejny dzień, tydzień, miesiąc. Tak niewiele. Tak zwyczajnie. Tak dobrze. Jednak gdy przestawała panować nad kolejnymi klatkami sennych wspomnień, do głosu dochodziły strach i samotność. Wszystkie koszmary dnia znajdowały w nich swoją kontynuację. Kuba już nigdy nie dotarł do domu, nigdy nie usłyszała jego głosu. Chciała śnić o szczęściu, tymczasem widziała siebie na pustkowiu, w zamkniętym pomieszczeniu, w rozpędzonym samochodzie. Słyszała płacz dziecka i jazgot ulicy, czyjś krzyk, czyjś przyspieszony oddech, wołanie o pomoc. Rejestrowała wszystkie dźwięki, ale jej krzyk pozostawał niemy.

Tej nocy pojawił się ogień. Był coraz bliżej. Strawił już niemal cały dom. Żar ognia i dławiący dym odbierały jej siły i jasność myślenia. Gdzieś w oddali słyszała krzyk dziecka. Michaś? Próbowwała się ruszyć. Próbowwała wołać. Bez efektu. Obudziła się mokra. A więc to był tylko kolejny zły sen. Ale dlaczego krzyki nie ucichły? Słyszała je wyraźnie. W pośpiechu włożyła szlafrok. Zdenerwowana, zbiegła po schodach.

– Matka na wszystko ci pozwala. Zupełnie nie wiem dlaczego. Jesteś nieodpowiedzialnym gówniarzem, nie liczysz się z nią!

– A ty się liczysz?! Jesteś ostatnią osobą, która może mi to zarzucać!

– Jak ty się do mnie odzywasz?! Gdyby twój ojciec tu był, to...

– To co?! Dzięki tobie rzygam ojcem! Ojciec to, ojciec tamto, ojciec sramto! Mam to wszystko w dupie! Rozumiesz?! Ja jestem Michał, nie Jakub! Michał!

W chwili gdy Anka wbiegała do kuchni, Helena wymierzała Michałowi siarczysty policzek.

– Przestańcie! Na litość boską, przestańcie!

Michał zacisnął zęby, pięści też miał ściśnięte. Rozsadzała go wściekłość. Popatrzył na Ankę z wyrzutem. Nie rozumiała tego wzroku. Złapał plecak, jednym szarpnięciem zdjął z wieszaka kurtkę i wybiegł z domu. Wybiegła za nim. Wołała, by wrócił, chociaż wiedziała, że tego nie zrobi. Nie teraz. Weszła do domu. Chciała wykrzyczeć Helenie w twarz, że ma dosyć jej dyktatury, humorów i zrzędzenia, ciągłej kontroli i krytykowania. Że wiele jej zawdzięcza, ale są granice, których się nie przekracza. Że do tej pory wytrzymywała ze względu na Kubę, ale najwyższy czas, by zamieszkali osobno. Chciała – ale gdy spojrzała na nią stojącą w bezruchu z dłonią

zawieszoną w powietrzu, nie powiedziała ani słowa. Na twarzy Heleny nie było już wściekłości, ale gorycz i rozpacz. Usta jej drżały, a po policzkach płynęły łzy. Pierwszy raz od wielu lat Anka zaczęła jej współczuć. Zaprowadziła ją do pokoju i posadziła w fotelu.

– Uspokój się – powiedziała łagodnie. – Zrobię ci coś do picia.

– Nie. Nie trzeba. Chcę być teraz sama – odparła Helena cicho.

Anka wyszła, ale zostawiła uchylone drzwi, by móc w razie potrzeby dyskretnie zajrzeć, czy wszystko w porządku. Wróciła do kuchni. Włączyła czajnik. Na szczęście pracę zaczynała dopiero za kilka godzin. Zdążą obie dojsć do siebie.

Wiedziała, że słowa Michała bardzo zaboląły Helenę. Zaboląły też ją. Gdzie popełniła błąd? Jak doszło do tego, że ojciec stał się dla niego symbolem udręczenia? Kuba spędzał z nim każdą wolną chwilę, bardzo go kochał. Dlaczego Michał nie powiedział jej, jak trudne są dla niego porównania z ojcem? Dlaczego ona tego nie zauważyła? Tyle razy rozwiązywała problemy swoich uczniów, rozmawiała z ich rodzicami, tłumacząc, aby byli blisko dzieci, dawali im poczucie bezpieczeństwa i akceptacji, a sama nie zdała egzaminu z odpowiedzialnego rodzicielstwa. Myślała, że jego bunt wynika z wieku i tej obciążanej wszelkimi winami burzy hormonów. Tymczasem trawił go wewnętrzny pożar, który dzisiaj tak dotkliwie poparzył Helenę.

Czajnik się wyłączył. Wstała, by zrobić kawy. Wyjrzała przez okno i zamarła. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła widzianą już wcześniej sylwetkę. Mężczyzna w kapturze patrzył w jej stronę. Gdy zobaczyła go pierwszy raz, myślała, że to przypadek. Za drugim tłumaczyła sobie, że jest przewrażliwiona. W końcu każdy może włożyć kaptur, zwłaszcza gdy aura tego wymaga. Ale kolejny raz nie mógł być przypadkiem. Z przerażeniem wpatrywała się w okno, zaciskając drżące dłonie. Wydarzenia sprzed piętnastu lat powróciły ze zdwojoną siłą.



Punktualnie o ósmej pojawił się w czytelni sądu. Gdy poprzedniego dnia Igor przekazał mu informację, że jest zgoda na wgląd do akt i przejrzenie nagrania z monitoringu, nie krył zaskoczenia. Spodziewał się korowodów, sterty wniosków i odwołań, oczekiwania tygodniami na akceptację. Tymczasem proszę, wgląd w przepastne teczki „sprawiedliwości” miał za chwilę stać się faktem.

Z jednej strony liczył na to, że znajdzie punkt zaczepienia, jakąś nieścisłość, sprzeczność – cokolwiek, od czego mógłby zacząć, jednak z drugiej, miał zmierzyć się z tym, co zgromadzono na temat morderstwa. Po raz kolejny doświadczyć upokorzenia, kłócić się z dowodami, nie zgadzać na stawiane tezy i w jakimś sensie jeszcze raz zostać skazanym. Przygniatała go ta świadomość. Miłosz wiedział, że stanie twarzą w twarz z torpedującą go jednoznacznością i kategorycznością zawartych w aktach sformułowań. Że znowu będzie czytał o sobie jako o człowieku, którego niezawisły sąd uznał winnym morderstwa. Temida naprawdę jest ślepa.

W czytelni panował półmrok. Za kontuarem stała kobieta w średnim wieku ubrana w granatową garsonkę. Krótko, po męsku przystrzyżone włosy, niewielkie okulary i surowy wyraz twarzy nie wróżyły niczego dobrego. Chciałby się mylić, ale szybko przekonał się, że ma rację. Kobieta zlustrowała go niczym strażnik, zatrzymując wzrok na jego mokrych butach i parasolu.

– Parasol proszę zostawić na zewnątrz. Przed drzwiami jest stojak – powiedziała oficjalnym, pozbawionym uprzejmości tonem.

Zostawił.

– A teraz proszę o dowód.

Podał.

– I proszę zapoznać się z regulaminem.

Zapoznał się.

Czytelnia? Raczej więzienie. Kolejny żart wymiaru sprawiedliwości. Oczy kobiety i wszechobecne kamery pozbawiły go złudzeń.

– Proszę podpisać listę.

Podpisał.

Kobieta zniknęła na chwilę za masywnymi drzwiami. Wróciła, niosąc stertę teczek.

– Proszę pamiętać o zasadach korzystania z czytelni. – Popatrzyła na Miłosza znad okularów. – Tu wszystko będzie zauważone.

Nie miał co do tego wątpliwości. Czy coś może umknąć uwadze, gdy wielka siostra patrzy?

– Jakieś pytania? – rzuciła na zakończenie, jakby wiedziała, co chodzi mu po głowie. Wyglądało na to, że w tym miejscu, jak u Orwella, należało poza językiem poskromić również myśli.

– I jeszcze jedno. Gdyby fotografował pan akta, proszę pamiętać, że numery fotografowanych stron trzeba zapisać na kartce i oddać ją razem z dokumentami. Koniecznie proszę o tym pamiętać.

Będzie pamiętał.

Wziął teczki i usiadł przy stoliku obok okna, jak najdalej od wejścia. Popatrzył na akta. Pracowity ten wymiar „sprawiedliwości”. Zebranie takiej liczby dokumentów oskarżających niewinnego człowieka wymagało zaangażowania. A to dopiero pierwszy tom. Dane, wnioski, decyzje, pisma procesowe, protokoły z przesłuchań, przeszukań i oględzin – niby tylko papier, ale każda strona miała siłę bata, który chłostał boleśnie stojącego pod pręgierzem skazańca.

Podczas procesu strach, niedowierzanie i rozgoryczenie nie pozwalały Miłoszowi trzeźwo spojrzeć na przedstawione dowody. Nieświadomie stał się sojusznikiem tych, którzy zrobili wszystko, by go skazać. Teraz nie mógł popełnić tego błędu. Miał do wykonania konkretne zadanie – przejrzeć i sfotografować dokumenty, które były kluczowe dla oskarżenia i mogły się okazać szczególnie przydatne w dochodzeniu do prawdy.

Niestety, poskromienie emocji okazało się niewykonalne. Można starać się rzeczowo spojrzeć na protokół z oględzin miejsca zbrodni, ale na protokół oględzin zwłok i dołączone do niego zdjęcia już nie. Miłosz znowu powrócił do dnia zabójstwa, znowu wszedł do gabinetu, znowu zobaczył Kubę leżącego na podłodze i próbował go ratować, wzywał karetkę i, jak tego potem dowiedzono, celowo zacierał ślady.

Odruchowo sięgnął po papierosa, ale karcący wzrok kobiety zza kontuaru w porę go powstrzymał. Wstał. Podszedł do automatu z wodą i napił się łapczywie. Musiał chociaż na chwilę oderwać się od dokumentów i związanych z nimi emocji.

Odetchnął głęboko i wrócił do stolika. Trzeba usiąść, opanować się, znowu zacząć analizować. Jak to łatwo powiedzieć. Ale w końcu po to tu przecież przyszedł.

Patrzył na protokół i czytał zawarte w nim informacje. Pora dnia, oświetlenie, warunki pogodowe, wykaz śladów daktyloskopijnych i traseologicznych oraz przedmiotów przekazanych biegłym, liczne załączniki – wszystko stanowiło dowód profesjonalnej pracy ekipy śledczej. Pod spodem widniał między innymi podpis Miłosza, wtedy jeszcze świadka, tego, który znalazł ciało.

Ślady i przedmioty. Wiele tego nie było. Na liście przedmiotów dosłownie kilka pozycji z uwzględnieniem miejsca, w którym je znaleziono: pod ścianą za biurkiem potłuczona filiżanka po kawie, na podłodze papiery dotyczące wprowadzanych na rynek produktów, wywrócona szklanka leżąca na wykładzinie, kilka książek i segregatorów zrzuconych z regału. Na końcu pojawiła się informacja o tabletkach. Tabletki? Miłosz sprawdził w załączniku. Chodziło właściwie o pusty blister. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w śledztwie była mowa o tabletkach. Czy Kuba na coś się leczył? Przewertował kolejne strony w poszukiwaniu szczegółów. Żadnej ekspertyzy dotyczącej leku, żadnych danych związanych z leczeniem Kuby czy innych pracowników firmy. Nic. Czy to mogło mieć znaczenie? Nie miał pojęcia, ale właśnie takich drobiazgów szukał – zlekceważonych, pominiętych podczas stawiania hipotez.

Zaintrygowany i zachęcony sukcesem zaczął z jeszcze większą uwagą czytać kolejne ekspertyzy, informacje o śladach, zeznania świadków. Praca tak go pochłonęła, że w ogóle nie zważał na to, co działo się wokół.

Czas płynął nieubłaganie. Przejrzenie wszystkiego przed zamknięciem było nierealne. Tym bardziej że zależało mu jeszcze na obejrzeniu nagrania z monitoringu – koronnego dowodu w sprawie. Złożył wniosek o udostępnienie kopii, ale uzyskanie zgody może potrwać. Nie chciał czekać. Sfotografował interesujące go dokumenty, w tym ekspertyzę nagrania. Następnie włączył swój laptop i uruchomił płytę. Zapis obejmował czas między dwunastą a dziewiętnastą trzydzieści. Kamera nie rejestrowała dźwięków. Pozostawało więc śledzenie obrazu.

Skupił się przede wszystkim na tym, kto i kiedy wchodził do biura Kuby i czy na pewno z niego wyszedł. On wyszedł od Kuby o dwunastej osiem. Minał panią Stasię, sprzątaczkę, i wściekły poszedł do siebie. Przez ponad

godzinę przedstawiał Kubie plan uruchomienia oddziału firmy w Pradze. Trzeba było zainwestować, owszem, ale za to jakie były perspektywy! Przecież zdobyli już uznanie w kraju. To był najlepszy moment, by otworzyć się na zagraniczne rynki. Na co mieli czekać? Aż konkurencja zrobi to za nich? Ale Kuba stanowczo powiedział: nie. Że to za wcześnie, że dopiero co pochowali Wojtka, że nie ma co ryzykować. Jak nie on. Pokłócili się, tak porządnie – pierwszy raz, odkąd zostali współnikami. Pani Stasia słyszała część ich rozmowy i nie omieszkała powtórzyć tego w sądzie. To o jej zeznaniach rozpisywały się gazety i portale internetowe, cytując kluczowe dla procesu słowa: „Zobaczysz, będziesz tego żałował. Wszyscy będą tego żałować”. Poczciwa pani Stasia nigdy by sobie nie darowała, gdyby zataiła cokolwiek. Co prawda mówiła, że obaj byli zdenerwowani, że w złości to różne głupie rzeczy człowiek wygaduje, a potem nawet o nich nie pamięta. „To przecież tacy poczciwi ludzie i przyjaciele. Muchy by nie skrzywdzili, to jakże by to mogła być realna groźba? Toć to przecież bzdury jakieś”.

Może i bzdury, ale były na rękę prokuratorze, więc mimo niedorzeczności sytuacji zinterpretowała to po swojemu. Zresztą, to wszystko trzymało się kupy: kłótnia, groźba, wtargnięcie do biura, zastrzelenie. Reszta nie miała znaczenia.

Miłosz oglądał dalej.

O dwunastej dziesięć wyszedł ze swojego gabinetu i wszedł do windy. Chciał ochłonać. Poza tym miał do załatwienia kilka spraw w centrum, w tym spotkanie z klientem.

W firmie nie było wielkiego ruchu. Jediną osobą z zewnątrz był dyrektor jednego ze szpitali, wcześniej umówiony na spotkanie z Kubą. Wyszedł po czterdziestu minutach. O szesnastej wszyscy zaczęli zbierać się do domu. Ostatnia jak zwykle wyszła Marta. Była szesnasta dziewiętnaście. Kuba zamknął biuro o szesnastej dwadzieścia dziewięć. Nie zabrał ze sobą teczek, więc zamierzał wrócić. Gdzie był? Co robił? Czy z kimś się spotkał? Te pytania nadal pozostawały bez odpowiedzi. Zapis z monitoringu nie uwzględniał zewnętrznych kamer. W trakcie śledztwa okazało się, że właściciel budynku dla oszczędności zamontował atrapy, a gwarantem bezpieczeństwa miał być strażnik. Zresztą, kto by się spodziewał, że w tak spokojnym miejscu może wydarzyć się coś poważnego.

Kuba wrócił o siedemnastej piętnaście. Zanim wszedł do biura, kilka razy się obejrzał, jakby sprawdzał, czy ktoś za nim nie idzie. Miłosz zadzwonił do

niego o siedemnastej szesnaście. Pamiętał tę godzinę dokładnie, bo wielokrotnie przewijała się podczas śledztwa. Zapis to potwierdził. Dokładnie o tej porze Kuba wyjął z kieszeni telefon i odebrał. Umówili się. Miłosz liczył na spokojną, rzeczową rozmowę, która oczyści atmosferę, a przy okazji pozwoli wrócić do praskich planów. Dotarł do biura o siedemnastej pięćdziesiąt dziewięć. I tu pojawia się największa zagadka. Od chwili powrotu Kuby aż do momentu przyjazdu Miłosza nikt do biura nie wszedł. Nikt. Morderca miał dokładnie czterdzieści cztery minuty, żeby wejść, zabić Kubę i wyjść, ale się nie pojawił. Jak zatem zdołał wejść? Miłosz zerknął jeszcze raz na ekspertyzę. Potwierdzała ponad wszelką wątpliwość integralność zapisu i wszelkie wnioski, do których bez większych problemów doszedł również Miłosz. Wskazywała też, że jedyną osobą, która mogła dokonać morderstwa, był on. Tylko on pojawił się w biurze i był tam do czasu przyjazdu lekarza.

Miłosz znał doskonale tę wersję zdarzeń, ale jednocześnie doskonale wiedział, że gdy wszedł do biura, Kuba już nie żył. Zerknął jeszcze na ciąg dalszy zapisu, ale tam też nie zauważył niczego podejrzanego. Trudno się dziwić, że po przedstawieniu takiego dowodu uznano go za winnego.

Jak w takim razie doszło do zabójstwa?! Czy morderca był tam dużo wcześniej, ukrył się, zabił i zniknął niezauważenie? A może był tam aż do następnego dnia? Ale gdzie, do cholery, miałby się schować? W szafie z dokumentami? Ironiczny uśmiech bezradności pojawił się na twarzy Miłosza. Była jeszcze inna możliwość. Zabójca mógł wspiąć się na dwunaste piętro i wejść przez okno, a potem uciec tą samą drogą. Tylko musiałby je otworzyć, a potem zamknąć za sobą. Paranoja.

Wszystko wskazywało na to, że tam faktycznie nikogo nie było.

Miłosz wyłączył nagranie. Miał dosyć ślęczenia nad papierami i wgapienia się w ekran. Ciało domagało się ruchu i powietrza. Spakował swoje rzeczy, oddał udostępnione materiały, podał numery sfotografowanych stron i wyszedł odprowadzany czujnym wzrokiem kobiety zza kontuaru.

Na dworze było już ciemno. Padało. Nie rozłożył parasola. Deszcz wydał mu się teraz kojącym balsamem.



Dochodziła północ. Michał wszedł najciszej, jak się dało. Nie chciał, by ktokolwiek się obudził, a już na pewno nie babcia. W domu nie paliło się żadne światło, a więc mama zasnęła. Może i lepiej. Nie miał ochoty na rozmowę. Nie po tym, jak rano nie stanęła w jego obronie. Zapalił światło i rozejrzał się po salonie. Coś go zastanowiło. Gruby jasny koc, którym mama zwykła otulać się w długie zimowe wieczory, czytając książkę lub oglądając telewizję, leżał na podłodze. Ręcznie haftowane poduszki, hołubiona pamiątka rodzinna, wyraźnie służyły dzisiaj do spania. Widać mama czekała tu na niego, a potem poszła do sypialni. Pociągnął za koc, przewracając coś, co znajdowało się pod nim. Dywan wyciszył uderzenie. Szarpnął mocniej. Odkorkowana butelka potoczyła się pod sofę. Resztką czerwonego wina wsiąkła w dywan. Pobiegł do kuchni po papierowy ręcznik i starał się jak najdokładniej wytrzeć plamę. Cholera, to nie mógł być przypadek. A może miała gości? Nie, gdzie tam, do nich nikt nie przychodził. Rozejrzał się w poszukiwaniu kieliszków. Wśród brudnych naczyń nie znalazł ani jednego. Otworzył zmywarkę. Pusta. Strach ścisnął mu gardło. Strach i wstyd. Przysparzał jej ostatnio zmartwień, stroił fochy, wracał w nocy. Do tego jeszcze ta kłótnia z babcią. A może mama nigdy nie przestała pić? Ale nie. Zauważyłby. Chyba że był zbyt skupiony na sobie. Pieprzony z niego egoista. I jeszcze nie odbierał jej telefonów. Jak gnojek! Rozkapryszony syneczek, który próbuje zwrócić na siebie uwagę. Włożył naczynia do zmywarki, posprzątał rozrzucone rzeczy. Nie chciał, żeby babcia się czegoś domyśliła. Dopiero miałyby używanie. A może ona wszystko wie? Nagle usłyszał kroki. Odwrócił się. W drzwiach stała mama. Zapuchnięte oczy i czarne smugi tuszu na policzkach mówiły same za siebie.



Miłosz zaparkował dwa kroki od śniadaniowni. W drzwiach przywitał go życzliwy uśmiech właścicielki i rytmiczne dźwięki bossa novy. Wszedł, odwzajemnił uśmiech, zamówił duży kubek czarnej herbaty, a następnie siadł przy długim barowym stole ustawionym pod samym oknem. Stąd był najlepszy widok na znajdujący się po drugiej stronie ulicy dom Jakuba i Anki. Przyjeżdżał tu od kilku dni. Od tego zaskakującego spotkania z Heleną.

Tamtego dnia postanowił, że nie będzie dłużej zwlekał. Rozmowa z Anką mogła wiele wyjaśnić, a przede wszystkim dać odpowiedź na pytanie, czy będzie miał w niej sprzymierzeńca. Wiedział, że brzmi to niewiarygodnie, ale pamiętał też, że w jej oczach, w przeciwieństwie do oczu Heleny, widział niedowierzanie i współczucie. Uchwycił się kurczowo tego wspomnienia. Jeśli nie wierzyła w to, co mówiono podczas rozprawy, może nie wyrzuci go za drzwi, nie zadzwoni na policję. Może wysłucha. Z taką nadzieją wysiadł z samochodu. Zanim ruszył w kierunku posesji, zapiął kurtkę i założył kaptur. Niemiłosiernie wiało. Przeciął trawnik, ścieżkę rowerową i już miał przejść przez ulicę, gdy nagle po drugiej stronie... Helena! Jakże mógł nie wziąć tego pod uwagę?! Detektyw od siedmiu boleści! Na szczęście Helena skupiona na tym, by nie ulec silnym podmuchom, nie rozglądała się wokół. Chciała jak najszybciej dostać się do domu Anki, więc o choćby przypadkowym rozpoznaniu nie mogło być mowy. I tak tego dnia to nie Anka, a wiatr stał się największym sprzymierzeńcem Miłosza. Gdy w pośpiechu wracał do samochodu, szumiało mu w głowie – od emocji, od coraz silniejszych porywów wiatru i od tłoczących się pytań. Czyżby Helena mieszkała z Anką? A co z mężem Heleny? A może Anka wyszła znowu za mąż? Nie mógł tego wykluczyć, choć wydawało się to mało prawdopodobne. A może Helena przyszła tylko w odwiedziny?

Jakkolwiek było, widać, że z Anką powinien spotkać się gdzieś poza jej domem. Nawet jeśli Helena tu nie mieszka, może przyjść w każdej chwili. A poza tym, co miałyby powiedzieć synowi Jakuba? „Cześć, tu wujek Miłosz, najlepszy kumpel tatusia?”. Chłopak ma teraz szesnaście lat i prawdopodobnie doskonale zna medialną i sądową wersję zdarzeń. Helena na pewno się o to postarała.

Tylko jak złapać Ankę? Nie wiedział, gdzie teraz pracuje, a nie chciał się z nią umawiać przez pośredników. Zresztą niby przez kogo miałyby się z nią skontaktować? Pozostało szukać okazji. Z pomocą przyszła mu między innymi śniadaniownia – idealna lokalizacja, dostępność (wbrew nazwie) od świtu do nocy, możliwość niebudzącej podejrzeń obserwacji terenu (oczywiście pod warunkiem, że nie siedzi się tu zbyt długo). Jednak ostatnie dni niewiele wyjaśniły. Anka prawie nie opuszczała domu. Może była chora? Michała też nie widział. Za to Helena, to już wiedział na pewno, mieszkała razem z nimi. Nie rezygnował jednak. Rozmowa z Anką była teraz najważniejsza i warto było poświęcić kilka dni, żeby móc się spotkać.

Powoli popijał herbatę, licząc na to, że nowy dzień coś mu ułatwi. Zerknął na zegarek. Była siódma trzydzieści osiem. Wiatr, który tak dawał się we znaki kilka dni temu, zelżał. Koblisce jesiennych liści cieszyły oczy swoimi barwami. Słońce zaczęło przebijać się przez chmury. Zapowiadał się piękny dzień. Miłosz patrzył na dom przyjaciół, który w porannych promieniach przypominał urokliwe, obsadzone brzożami dworek z obrazów Rychter-Janowskiej. Dobrze pamiętał, jak Kuba biegał z planami, dzwonił do wykonawców, jak spierali się z Anką o drobne szczegóły i wzywali go na rozjemcę. Śmiali się, że za te wszystkie mediacje należy się Miłoszowi osobny pokój, bo bez jego pomocy ten dom by nie powstał. Wtedy nawet nie pomyślał o budowie własnego. Nie miał planów na przyszłość. Zdawało się, że przyjdzie na nie czas. Pojawi się odpowiednia dziewczyna, zaciągnie go do ołtarza i wtedy ruszy lawina decyzji. Na razie wystarczały mu spotkania u Jakubków (tak ich żartobliwie nazywał), nasiadówki przy piwie czy aktywna pomoc w urządzaniu ogrodu i domu. Skręcił niejedną mebel, zasadził niejedno drzewo.

Jak też słońce potrafi zamydlić oczy. Patrzysz na piękny dom, na barwny ogród, na blask odbijający się w szybach, napawasz się spokojem poranka i myślisz, że tym to się w życiu powiodło, myślał, obserwując willę. Tymczasem, podobnie jak na obrazie, pod dopracowaną wierzchnią warstwą farby może kryć się niedoskonały szkic, ledwie podkład, brudna plama, bo ktoś przeszkodził artyście podczas procesu tworzenia.

Nagły ruch przed domem kazał Miłoszowi wzmóc czujność. Anka z dużą torbą w ręku szła w kierunku garażu. Zeskoczył z barowego stołka, rzucił szybkie „do widzenia” i już siedział za kierownicą swojego auta. Anka zdążyła w tym czasie wyprowadzić samochód i powoli jechała ku bramie. Ruszył. Pozwolił, by odjechała na odpowiednią odległość. Nie chciał, by go zobaczyła. Jechał w skupieniu, starając się nie stracić z oczu czerwonego renault. W porannym tłoku ten kolor okazał się bardzo pomocny. Po kilkunastu minutach Anka skręciła w osiedlową uliczkę i zaparkowała przy szkole. A więc tu pracuje. To już było coś, choć o rozmowie w tej sytuacji nie mogło być mowy. Szybkim ruchem wyciągnęła torbę, w biegu zamknęła samochód i zniknęła za masywnymi drzwiami. Za chwilę dało się słyszeć przeciągły, chrypliwy sygnał dzwonnika.

Miłosz zerknął na dużą czerwoną tablicę. Następnie wyciągnął telefon, znalazł odpowiednie informacje i wybrał numer.

– Szkoła, słucham.

– Dzień dobry, jestem ojcem jednego z państwa uczniów. Chciałbym się skontaktować z panią Anną Tomczyk. Mogłaby mi pani powiedzieć, o której kończy dzisiaj lekcje? Będę wdzięczny za pomoc.

– Już sprawdzam. Mam. Pani Tomczyk kończy dzisiaj o czternastej dziesięć. Tak przynajmniej wynika z planu. Może ma jeszcze jakieś zajęcia po lekcjach, ale tego nie jestem w stanie sprawdzić. Plan uczniów i nauczycieli może pan znaleźć również na stronie internetowej naszej szkoły.

– Bardzo pani dziękuję. Miłego dnia. Do widzenia.

Łatwość zdobycia informacji zaskoczyła Miłosza, ale w tej sytuacji mógł się z tego tylko cieszyć. Załatwi kilka spraw i wróci. Oby rozmowa z Anką poszła równie gładko.



„Tu program pierwszy Polskiego Radia. Wybiła godzina czternasta. Czas na wiadomości. Zaczynamy od informacji z ostatniej chwili. Bob Dylan został tegorocznym laureatem Literackiej Nagrody Nobla. Do tego tematu wrócimy w specjalnym programie dziś o osiemnastej piętnaście. A teraz najważniejsze informacje...” – Miłosz odruchowo wyłączył odbiornik. Chętnie posłuchałby o Bobie Dylanie, ale nie miał ochoty słuchać o politycznych skandalach, zamachach bombowych w Bagdadzie ani o powodzi we Francji. Poza tym wjeżdżał na wypełniony niemal po brzegi szkolny parking. Zerknął, czy renault nadal stoi, po czym zajął się szukaniem miejsca, co było nie lada wyzwaniem. Do diabła, czy dzieci przestały już używać nóg?! Każde ma prywatnego szofera? Czekala go trudna rozmowa, tymczasem zanosilo się na to, że znowu nic z tego. W tłumie dzieciaków, między samochodami, z których wyglądać będą ciekawscy rodzice, bez możliwości spokojnego zebrania myśli. Na co on liczy? Chrypliwy, drażniący uszy głos dzwonka zasygnalizował koniec lekcji. Niemal natychmiast zawtórował mu wrzask wydobywający się jednocześnie z kilkuset gardeł. Ta kakofonia wydała się Miłoszowi zwiastunem nadchodzącej apokalipsy. Z pomocą przyszli dzieciom niezawodni rodzice, nawołując i trąbiąc, by ich przypadkiem nie przegapiły.

Gdzie te czasy, gdy po końcowym dzwonku zaczynało się prawdziwe życie. Boisko, piłka, łażenie po osiedlu w poszukiwaniu przygód. Ale co tam... Najważniejsze, że Anka jeszcze nie wyszła.

Pojawiła się dopiero po kilkadziesiąt minutach. Parking był już niemal pusty, na boisku kilku chłopców kopało piłkę. Napięcie, które wcześniej wzbierało w Miłoszu, zelżało. Teraz nie bał się o okoliczności. Myślał tylko o rozmowie.

Anka niosła dużą ciężką torbę. Zanim doszła do samochodu, musiała zmienić rękę. Postawiła torbę na ziemi i zaczęła szukać kluczyków.

Miłosz wysiadł i podszedł bliżej.

– Aniu.

Znieruchomiała, jakby momentalnie skojarzyła głos z osobą i bała się tego, co do niej dotarło.

– Aniu – powtórzył ciszej i łagodniej.

Odwróciła się.

Miłosz ruszył w jej kierunku, ale zatrzymała go gestem wysuniętej dłoni. Uszanował to.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Miał przed sobą drobną, by nie powiedzieć wychudzoną, kobietę. Niemal chłopięca fryzura zastąpiła długie blond włosy. Krótkie sukienki odsłaniające jej zgrabne nogi zamieniła na dżinsy i sportową bluzę. Znikła jej pewność siebie i zadziorny wyraz twarzy. Jej oczy nie śmiały się już jak dawniej. Teraz widział w nich zmęczenie.

– Wypuścili cię.

– Tak. Na początku września.

– Ot tak, po prostu. Otworzyli bramę i wypuścili. – Zaśmiała się gorzko. – Szkoda, że Kuby nikt nie wypuści... Czego chcesz?

– Aniu, powinniśmy porozmawiać. Ja... Ja nie zabiłem Kuby. Musisz mi uwierzyć.

– Ja nic nie muszę! Od lat słyszę: musisz to, musisz tamto! Ja nic nie muszę! Rozumiesz? – Rozplakała się, potem rozejrzała się, czy ktoś ich nie obserwuje, i szlochając, powtórzyła: – Ja nic nie muszę.

– Przepraszam – rzucił.

Starła się opanować. Wyjęła chusteczkę i otarła nią oczy.

– Nie boisz się, że wezwę policję?

– Aniu, wiem, że to spotkanie jest dla ciebie trudne, może nawet zaskakujące, ale potrzebuję z tobą porozmawiać, bo...

– Ty potrzebujesz? A myślałeś kiedykolwiek, czego ja potrzebuję? Spieprzyłeś mi życie, a teraz...

– Anka, ja nie zabiłem Kuby! – Podniósł ręce w geście bezradności. Chciał do niej podejść, ale się powstrzymał.

– Udowodnili ci winę! Tobie, nie komu innemu!

– Naprawdę wierzysz, że mógłbym to zrobić?! A ja myślałem...

Kilka kroków od nich zatrzymał się młody mężczyzna.

– Pani Aniu, wszystko w porządku? – zapytał, zanim wszedł do samochodu.

– Tak, nic się nie dzieje. – Próbowała opanować emocje.

– Na pewno?

– Tak, tak. To stary znajomy.

– W takim razie miłego popołudnia.

– Wzajemnie. Do widzenia.

Patrzyli oboje za odjeżdżającym samochodem.

– Miłosz, nie wiem, w co mam wierzyć, ale wiem, jak wygląda moje życie bez Kuby. A odpowiedzialność za to spoczywa na tobie. Jeśli nie na... to na przyjacielu, który go nie obronił przed niebezpieczeństwem.

Nerwowo przerzucała rzeczy w torebce w poszukiwaniu kluczyków.

– Aniu. – Miłosz próbował uspokoić sytuację. – Chcę tylko porozmawiać. Spotkajmy się. Obiecałem Kubie i sobie, że dowiem się, co się wtedy stało, kto go pozbawił życia, a mnie wpakował do pierdła.

– Gdzie są te cholerne kluczyki? – W końcu je znalazła, wyciągnęła drżącymi rękami, otworzyła auto i wsiadła.

Miłosz podskoczył do samochodu. Zdążył jeszcze przytrzymać drzwiczki.

– Wszystko ci wyjaśnię, tylko daj mi szansę. To bardzo ważne. Przeglądałem akta sprawy. Mam wiele wątpliwości. Aniu, będę czekał na ciebie jutro... – Boże, gdzie może na nią czekać?! Wszystkie miejsca, o których wcześniej myślał, wydały mu się teraz bezsensowne. Bob Dylan, Bob Dylan. Olśnienie! – O siedemnastej nad zalewem, wiesz gdzie. Od Bulwarowej. Pamiętasz? *Blowin' in the Wind*.

Zatrzasnęła drzwi i ruszyła.

– Będę czekał – krzyknął jeszcze za odjeżdżającym czerwonym renault.



Anka zatrzymała się kilka przecznic dalej. Miała mokre dłonie, ścisnęła ją w żołądku, a serce waliło tak mocno, że czuła je w całym ciele. Otworzyła okno, odchyliła głowę, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Nie przyniosło jej to jednak oczekiwanej ulgi. Próbowwała rozluźnić napięte do granic wytrzymałości mięśnie. Zbyt dużo emocji naraz. Zbyt dużo wspomnień i wątpliwości. A więc wyszedł. Kiedy? Na początku września? To głupie, ale nigdy nie myślała o tym, że wróci. Boże, jak ten czas leci. Zaraz, zaraz, ale przecież nie minęło dwadzieścia lat. Czyli wyszedł wcześniej. Dlaczego? Czyżby wydarzyło się coś, co zweryfikowało wyrok? Nie. Jako żona ofiary musiałaby o tym wiedzieć. Zresztą sam mówił, że chce dowiedzieć się prawdy. Tylko co to właściwie znaczy? Czy powinna się z nim spotkać? Zawsze wątpiła w winę Miłosza. Za dobrze go znała, za dobrze wiedziała, jak on i Kuba byli sobie bliscy. Ale dowody nie pozostawiały złudzeń, co Helena nieraz jej przypominała, dobitnie i z wyrzutem. Nie wiedziała, czy powinna się z nim spotkać, ale miała wrażenie, że jeśli ma powiedzieć komuś o swoich obawach, to właśnie jemu. Gdy to się ponownie zaczęło, Miłosz był jeszcze w więzieniu. To wykluczało go z grona podejrzanych. Tylko czy powiedział jej prawdę? A jeśli nią sprytnie manipuluje? Jeżeli nie można mu zaufać? Boże, przecież sąd go skazał! O czym ona właściwie myśli! Za dużo tego wszystkiego. Miała wrażenie, że głowa za chwilę jej pęknie. Miała w niej zupełny chaos i czuła paralizującą destrukcję.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Najchętniej położyłaby się do łóżka, łyknęła jakąś tabletkę i odpłynęła. Problem w tym, że najpierw trzeba dojechać do domu, a potem ominąć barykadę zbudowaną z goryczy, zimnego, karcącego spojrzenia i niechęci Heleny. Robiła to każdego dnia przez tyle lat, ale dzisiaj wydawało się to szczególnie trudne.



Dźwięk telefonu oderwał go od papierów. Zerknął na ekran. Znowu on. Co za upierdliwy typ. Nie chciał, ale musiał odebrać.

– Coś pilnego? Nie mam czasu teraz rozmawiać.

– To go, kurwa, znajdź!

– Hamuj się, bo ktoś cię usłyszy.

– Najważniejsze, żebyś ty usłyszał. Ten twój pierdolony inżynierek grzebie w aktach.

– Każdy ma do tego prawo...

– Owszem, ale on podobno nie chce się babrać w zaschniętym gównie. Czyż nie tak mówiłeś poprzednim razem? A tu masz, pudło. Chłop lubi szambo!

– To, że przegląda akta, jeszcze o niczym nie świadczy.

– Ty głupi jesteś czy tylko udajesz? Przecież on wie, że jest niewinny. Nie grzebie z nudów, tylko wyraźnie czegoś szuka. A jak szuka, to znajdzie!

– Gównno znajdzie!

– Wiesz, zazdrozczę ci tej pewności. Ja jakoś nie mogę spać spokojnie! Ciekawe dlaczego, co? Słuchaj, a może by go, tak na wszelki wypadek, postraszyć albo...

– Idioto, przecież w ten sposób dasz mu pewność, że warto szukać! Nie rób nic bez porozumienia ze mną, pamiętaj! I dzwoń tylko w wyjątkowych przypadkach. Im mniej kontaktów, tym lepiej.

Rozłączył się. Tak, będzie musiał się tym zająć. Zanim to szambo się rozleje. Tylko dlaczego wszystko musi być zawsze na jego głowie?



Wskazówki dużego ściennego zegara przesuwają się nieubłagane. Siedemnasta osiemnaście – zatem siedział tu dokładnie trzydzieści trzy minuty. Kelner zdążył już kilkakrotnie spytać o zamówienie. Nie omieszkał też wyrazić swego zniecierpliwienia głębokim westchnieniem. Miłosz poprosił więc o wodę mineralną, tak dla zasady, i czekał nadal, ale już nie tak spokojnie jak wcześniej. Każda kolejna minuta uświadamiała mu coraz dobitniej, że Anka nie ma ochoty na rozmowę. Gdy w pośpiechu zaproponował na spotkanie właśnie to miejsce, liczył, że ułatwi jej decyzję. Teraz zastanawiał się, czy to nie był błąd taktyczny. Może należało wybrać bardziej neutralny lokal. Niewykluczone, że wspomnienia nadal sprawiają Ance ból. Jeśli tak, nie przyjdzie, ale miał jeszcze nadzieję, że się myli, że ona po prostu się spóźnia.

Kiedyś w tym niewielkim pubie nad zalewem spędzali mnóstwo czasu. Cała paczka – Miłosz, Anka, Kuba, Wojtek, któremu od czasu do czasu towarzyszyła żona, no i oczywiście Bob Dylan i jego piosenki. Właściciel, wielki miłośnik mistrza, miał tu liczne zdjęcia, gitarę akustyczną z powieszonym na gryfie białym kapeluszem i istną perełkę – autograf zdobyty siedemnastego lipca dziewięćdziesiątego czwartego podczas koncertu na stadionie Cracovii. Tu była moc. W tym niepozornym pubie nad zalewem czuło się powiew wielkiego świata. Kuba brał gitarę, chwilę stroił, a potem śpiewali z namaszczeniem *Blowin' in the Wind* albo *Knockin' on Heaven's Door*. Pod wpływem impulsu dołączali do nich pozostali goście i nad wodą, niejednokrotnie spowitą mgłą, niosły się słowa:

How many roads must a man walk down

Before you call him a man?

No właśnie, jak wiele dróg? Wtedy, podczas tych spontanicznych koncertów, nikt z nich nie przypuszczał, jak ważne i bolesne będzie wkrótce to pytanie.

Dzisiaj pub zamieniono w elegancką restaurację z przeszklonymi ścianami i tarasem zawieszonym nad wodą. „Zakątek” – taki neon witał gości. Pamiątki po dawnym właścicielu i jego pasji pozostały, ale były tylko drobnym elementem wystroju. Od czasu do czasu dało się też usłyszeć znajome piosenki, ale nie był to już ich dylanowski zakątek. Pozostała tylko jego namiastka. A co pozostało z dawnej przyjaźni? Anki nadal nie było, więc pewnie nic.

Nie było na co czekać. Zostawił na stoliku należność za wodę, wstał, zabrał kurtkę i ruszył do wyjścia. Wtedy ją zobaczył. Stała w drzwiach, w dżinsach, szarej sportowej kurtce, z torbą przewieszoną przez ramię. Próbował powiedzieć, jak się cieszy, że przyszła, ale zaskoczenie i wzruszenie odebrały mu głos. Ciężar samotności, który przed chwilą niemal go zmiażdżył, zniknął.

Wskazał jej stolik. Podeszła i usiadła na brzegu krzesła. Nie rozebrała się, nie odłożyła torebki. Ściśnięte w pięści dłonie trzymała na kolanach. Miłosz usiadł po przeciwnej stronie. Anka rozejrzała się po wnętrzu.

– Zmieniło się tu, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Dziękuję. Dziękuję, że dałaś mi szansę. Napijesz się czegoś? A może jesteś głodna?

– Nie, dziękuję. Miłosz, ja... Zresztą, przejdźmy do rzeczy. Chciałeś mi coś powiedzieć.

– Tak. Widzisz... – Zastanawiał się, jak zacząć. – Aniu, przesiedziałem piętnaście lat za coś, czego nie zrobiłem. Za coś, co w najczarniejszych snach nie przyszłoby mi do głowy.

Anka patrzyła na niego delikatnie zmrużonymi oczyma, jakby analizowała ruch jego warg, każde mrugnięcie, każdy oddech.

– Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, jak do tego doszło. Jak można udowodnić winę niewinnemu człowiekowi. Nie widzę innej możliwości niż ta, że ktoś bardzo się o to postarał. Same zbiegi okoliczności nie wystarczą. *In dubio pro reo*³. Ale w moim przypadku nikt nie miał wątpliwości. Rozumiesz? Śledztwo szło jak po sznurku. Jakby ktoś podsuwał coraz mocniejsze dowody, a ktoś inny nie chciał zauważyć, że coś tu nie gra. Muszę za wszelką cenę dowiedzieć się prawdy, ale potrzebuję pomocy. – Zamilkł.

Anka milczała, ale już nie mrużyła oczu i co jakiś czas jakby nieznacznie przytakiwała.

– Aniu, wprawdzie Kuba nic mi o tym nie mówił, ale może miał jakichś wrogów? Czy ktoś go nachodził? Może szantażował? Wiesz, on w ostatnich tygodniach był bardziej nerwowy, spięty, chodził rozdrażniony. Jak nie Kuba. Pokłóciliśmy się wtedy w biurze o tę inwestycję w Pradze. Pierwszy raz od... Nawet nie wiem od kiedy. Myślałem, że po prostu boi się ryzykować, ale może problem był w czymś innym.

– Może – odpowiedziała, zamyślona. Splecione dłonie położyła przed sobą. Na prawej miała obrączkę.

Kelner właśnie zamierzał podejść do ich stolika. Miłosz skarcił go wzrokiem. Ten zerknął na Ankę, po czym podniósł dłonie, dając sygnał, że zrozumiał, i wycofał się.

– Kuba bardzo mocno przeżył śmierć Wojtka. Nie wiem, czy ci o tym mówił, ale czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. W dniu wypadku mieli gdzieś jechać razem. Kuba w ostatniej chwili odwołał swój wyjazd. Gdyby tego nie zrobił, do wypadku by nie doszło. Wojtek byłby wtedy w zupełnie innym miejscu. To ja poprosiłam Kubę, żeby nie jechał. Chciałam mieć trochę czasu dla siebie. Mały ząbkował, ciągle płakał, marudził. Byłam wykończona. – Oczy zaczęły zachodzić jej łzami. – Kuba obwiniął siebie, a ja czułam, że tak naprawdę obwinia mnie. Kłóciliśmy się. Niewiele rozmawialiśmy. Kuba zaczął mieć kłopoty ze snem. Często wstawał w nocy, siadał do komputera, potem zasypiał przy biurku. Rano był niewyspany i rozdrażniony. I tak w kółko.

Miłosz słuchał zdumiony. Co z niego za przyjaciel, skoro nie zauważył, że mają kłopoty?

– Aniu, a Kuba brał jakieś tabletki na sen?

– Nie, chyba nie. Zauważyłabym, że lepiej sypia. Chociaż... Nie wiem. To było tak dawno.

– Bo widzisz, analizowałem akta sprawy i bardzo dokładnie czytałem protokół z oględzin miejsca zbrodni. Jest w nim wzmianka o znalezieniu pustego blistra po tabletkach, na którym trudno było odczytać nazwę. Ostatecznie udało się ją ustalić. Sprawdziłem, podaje się go przy bezsenności.

– Nie rozumiem, dlaczego ma to dla ciebie takie znaczenie.

– Jeżeli to tabletki Kuby, to nie ma znaczenia. Właściwie mógł je zgubić każdy, kto tego dnia był w biurze. Ale mogły należeć do mordercy. Czy pytali cię o ten blister podczas śledztwa?

– Nie przypominam sobie.

– W aktach też nie znalazłem wzmianki na ten temat. Ciekawe, co jeszcze pominięto, bo nie zgadzało się z postawioną tezą.

Z głośników popłynęły znajome słowa. *Knock, knock, knockin' on heaven's door*. Anka przymknęła oczy.

– To miał być taki piękny wieczór – zaczęła łamiącym się głosem. – Chciałam, żeby wszystko wróciło do normy. Szykowałam kolację, gdy Kuba zadzwonił, że chwilę się spóźni. Miał tylko uporządkować papiery. Nieraz byłam wściekła, że jest takim pedantem. Teraz wiele bym dała, by zobaczyć, jak równiutko składa ubrania, ścieli łóżko, poprawia piloty na stole. – Podniosła splecione dłonie i oparła na nich głowę. Nieobecny wzrokiem patrzyła w dal. – Nakryłam duży stół. Serwetki, elegancka zastawa, kieliszki do wina, które przywieźliśmy z wakacji w Portugalii. W piekarniku dochodziły lasagne. Niemal świąteczny obiad. Ale Kuby wciąż nie było. Dzwoniłam, nie odbierał.

A potem policjant i policjantka. Bardzo się starali. Próbowali mi to powiedzieć delikatnie. Nie wyszło. Najpierw nie rozumiesz, co do ciebie mówią, po co przyjechali, co właściwie się stało, a potem powoli dociera do ciebie prawda. Razem z tą prawdą umierasz. Bo ja wtedy umarłam, Miłosz. –

Zagryzła wargi i ukryła twarz w dłoniach. – Tamtego wieczoru, gdy już pojechałeś, długo siedziałam przy stole i wgapiałam się w ten pusty talerz. Jeszcze przez wiele dni wystawiałam dwa talerze. Szykowałam kawę, taką jaką lubił, by pachniało nim. W szafie nadal wiszą jego ubrania. Wszyscy mówili mi, żebym je oddała, nie zdręczała siebie i syna, żebym nauczyła się żyć na nowo, znalazła sobie kogoś. Ale ja nie potrafię.

Ponownie otarła oczy. Wyjęła okulary przeciwsłoneczne i założyła je.

– Wiesz, nie rozstaję się z nimi od lat.

Miłosz dopiero w tym momencie zrozumiał jedną z najbardziej oczywistych rzeczy. Był tak skupiony na sobie, na niesprawiedliwości, na własnym rozgoryczeniu, na poniżeniu, którego doznawał przez tyle lat, że dramat innych zszedł na drugi plan. Tymczasem Anka cierpiała równie mocno. Zresztą nie tylko ona.

– Aniu, gdybym tu był...

– Wiem, Miłosz, wiem, ale ja muszę sobie poradzić z tym sama, tylko mi to, cholera, nie wychodzi. Helena też mi tego nie ułatwia.

– Gdybym mógł ci jakoś pomóc...

Anka patrzyła w okno. Czy widziała teraz te płaczące wierzby, którymi tak kiedyś się zachwyciała? Wątpił. Kiedyś się z nimi fotografowała, lubiła siedzieć w ich cieniu, ale teraz patrzyła w głąb czasu, nie zważając na to, co działo się wokół.

– Miłosz.

– Tak.

– Jest coś, o czym... Nie wiem, czy powinnam ci o tym mówić... Chodzi o tych kilka tygodni między wypadkiem Wojtka a śmiercią Kuby. Miałam wtedy wrażenie, że ktoś obserwuje dom, że za nami chodzi. Kuba zaczął się denerwować, że mam paranoję, więc przestałam mu o tym mówić. A potem stało się to, co się stało.

Miłosz był zszokowany. Ta informacja mogła mieć kluczowe znaczenie! To już nie było tylko zaniedbanie w aktach, ale konkret.

– Mówiłaś o tym śledczym?!

– Oczywiście, ale od początku czułam, że mają mnie za histeryczkę. Helena powiedziała wtedy, że na siłę szukam innego rozwiązania. Że wypieram to, co oczywiste. Policjant co prawda obiecał, że kogoś przyślą, żeby się rozejrzył, ale jednocześnie stwierdził, że morderca już siedzi w areszcie, więc mogę być spokojna.

Miłosz ledwo panował nad narastającą wściekłością.

– Aniu, policja miała obowiązek to sprawdzić! W końcu chodziło o morderstwo. Tobie też mogło grozić niebezpieczeństwo, a wszyscy to olali! W aktach nie ma o tym ani słowa, rozumiesz?! Mieli winnego i już nic ich nie obchodziło! Cholerne psy!

Kilka osób odwróciło się w ich kierunku, więc ściszył głos, choć trudno mu było opanować gorycz i pretensję do stróżów prawa. – Nikt nie wziął tego pod uwagę. Takiej istotnej informacji. Ciekawe, co jeszcze zostało pominięte, żeby nie komplikować sprawy – mówił z zaciśniętymi zębami.

– Miłosz, problem w tym, że teraz czuję to samo. Nie wiem, może to tylko strach, może obsesja, ale mam złe przeczucia. Nie chcę, żeby znowu doszło do jakiejś tragedii. Boję się o Michała, mam tylko jego.

– Zaraz, zaraz, co czujesz?

– Myślę, że teraz też ktoś obserwuje dom. Mniej więcej od początku sierpnia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Zgłaszałaś to policji?

– Nie. Nie chcę, by potraktowali mnie tak jak kiedyś.

– Aniu, to trzeba zgłosić. Teraz to zupełnie inna sprawa, inne okoliczności. A jeśli naprawdę ktoś was obserwuje? Jesteś w stanie podać jakieś szczegóły?

– Niewiele. Mężczyzna średniego wzrostu, zawsze w bluzie z kapturem założonym na głowę. A może to kurtka. Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że to zwykły spacerowicz z psem, a innym razem jestem przekonana, że zatrzymuje się i patrzy w naszą stronę. Miłosz, boję się.

Starł się przetrząsnąć w pamięci wszystkie obrazy z ostatnich dni, ale nic podobnego nie zwróciło jego uwagi. Może powinien jej powiedzieć, że obserwował ich dom? Nie. Jeszcze gotowa pomyśleć, że to on.

Nagły dźwięk telefonu spowodował, że Anka drgnęła. Popatrzyła na ekran i odebrała.

– Michał...? Jak to...! Co się stało...? Dobrze. Już jadę.

Wstała. Telefon wrzuciła do torebki.

– To Michał, coś się dzieje z Heleną. Muszę jechać.

Miłosz również wstał.

– Aniu, zajmę się tym. Coś wymyślę. – Zapisał jej na serwetce numer swojego telefonu. – Dzwon, gdyby coś się działo, dobrze?

– Dobrze. – Ruszyła do wyjścia. Po chwili zawróciła. – Miłosz, dobrze, że jesteś... – Odwróciła się i pobiegła do samochodu.

Odprowadził ją wzrokiem. Niepokój Anki stał się teraz jego niepokojem. Tyle informacji, tyle emocji, tyle niewiadomych. Musiał to wszystko uporządkować, przemyśleć. Jedno stało się jasne – ta rozmowa była bardzo potrzebna. Obojgu.



Otwierał drzwi mieszkania, gdy zadzwonił telefon. Miłosz spojrzął na ekran i zawahał się. Nie znał tego numeru. Może w takim razie powinien odrzucić połączenie? A jeśli to coś ważnego? Ta wątpliwość zdecydowała. Odebrał, ale się nie odezwał.

– Jest pan w domu? – Usłyszał znajomy głos. Nie odpowiedział. Zastanawiał się, jakim cudem i skąd ta gnida ma jego numer.

Podszedł do stolika w korytarzu, na którym leżała wizytówka wsunięta pod drzwi po ich ostatnim spotkaniu. Dziennikarz śledczy – przeczytał informację pod nazwiskiem. Czyżby faktycznie był taki dobry?

– Okej. Rozumiem, że nie chce pan ze mną rozmawiać, ale jeśli jest pan w domu, to proszę włączyć telewizor. Którykolwiek kanał informacyjny.

Miłosz odłożył telefon i sięgnął po pilota. Wybrał jakiś kanał. „Komendant główny policji przechodzi na emeryturę” – przeczytał napis na czerwonym pasku oznaczonym dopiskiem „pilne”. Przełączył na inny kanał. To samo. W takim razie chodziło o ten materiał. Tylko dlaczego właśnie to miało go zainteresować? Usiadł i zaczął śledzić informacje. Dziennikarka mówiła o zasługach komendanta, o najgłośniejszych sprawach, które podczas jego służby rozwiązano, o karierze świadczącej o umiejętnościach operacyjnych i śledczych. Wspomniała o ukończonym wydziale prawa i administracji na UJ-ocie i doktoracie z socjologii. Wątpiła, czy uda się znaleźć równie kompetentnego następcę.

No proszę. Cóż za ideał. Szkoda, że zwykli śmiertelnicy nie mają okazji takich poznać. Gorzka ironia zawładnęła myślami Miłosza. Nadal nie rozumiał jednak, co takiego miał wypatrzyć w tym programie. Usiadł do komputera, sprawdził nazwisko komendanta i wpisał je w wyszukiwarkę. Dwieście dwadzieścia osiem tysięcy wyników – imponująca liczba. Wśród informacji najczęściej pojawiały się te, które już znał. Przeszukiwał kolejne strony w poszukiwaniu czegoś sensacyjnego. „Gang Złotego rozbity” – brzmiał jeden z tytułów. Coś mu to mówiło, więc kliknął w link. Obszerny artykuł opisywał okoliczności ujęcia Złotego i jego ludzi. Grupa zajmowała się ściąganiem haraczu od bogatych przedsiębiorców. Szantaże, zastraszanie, pobicia, porwania to podstawowe sposoby działania jej członków. Sprawa była skomplikowana, ale dzięki szeroko zakrojonym działaniom i współpracy wielu jednostek policji udało się aresztować wszystkich. Tak przynajmniej wynikało z artykułu opatrzonego licznymi zdjęciami operacyjnymi. Gangsterzy zostali aresztowani niemal jednocześnie w różnych częściach

kraju. Jednych policja zastała w domach, innych w nocnych lokalach. Miłosza zainteresowało szczególnie jedno ze zdjęć. Przy nieoznakowanym samochodzie policjant trzymał pod bronią jednego z gangsterów. Ten miał nogi rozsunięte, rozłożone ręce, twarz i tułów przyciśnięte do maski. Miłosz zrobił zbliżenie. Teraz dokładnie widział nie tylko grymas na twarzy gangstera, ale i jego dłonie. Zamarł. Tego wieczora nie czytał już więcej informacji o emerytowanym komendancie. Coś znacznie ważniejszego zaprzętało jego myśli.



Idzie wzdłuż parku. Nie jest to znane mu miejsce. Wokół powoli, łagodnie dzień ustępuje miejsca nocy. Lekki wiatr przyjemnie owiewa twarz. Miłosz wchodzi między stare drzewa i kwiatowe rabaty, spaceruje wypielegnowanymi alejkami. Zapach świeżo zroszonej ziemi miesza się ze słodką wonią gęsto kwitnących liliowców podlanych przed chwilą przez troskliwego ogrodnika – niewysokiego starszego człowieka powoli przesuwającego się w gąszcz drzew. Wszystko wokół wydaje się takie przyjazne, a mimo to Miłosz czuje niepokój. Jest coś fałszywego w tym uroku wieczornego parku. Ostatnie promienie zachodzącego słońca opadające ostrymi smugami ku ziemi zdają się go ranić. Słodka woń zaczyna mdlić. Coraz wyraźniej czuć też zapach świeżo wykopanej ziemi. Powiewy wiatru są coraz gwałtowniejsze. Smagają twarz. Staruszek staje się podobny do złowróbnego karła. Biegnie pokracznie przed siebie, odwracając się czasem i śmiejąc chrapliwie. Miłosz biegnie za nim. Robi się coraz ciemniej. Nie widać drzew, kwiatów, wiatr nagle ustaje. Wokół wyrastają betonowe ściany. Czuje ich chłód i szorstkość. Nie. To nie jest chłód, który przynosi ulgę po upalnym dniu. To chłód, który ma zapach stęchlizny i strachu. Miłosz nie wie, co się dzieje. Nic nie rozumie. Wokół słyszy złowrogie głosy. Oczyma wyobraźni widzi zimne, odrażające twarze. napięte mięśnie, zmrużone oczy, pogardliwe uśmiechy, wydęte wargi. Czuje smród oddechów, kilkudniowego potu i papierosów. Czuje fetor rozkładającego się ciała. Ktoś rzuca się na niego. Otrzymuje potężny cios w głowę i uderza o ścianę. Przeszywający ból

rozsadza mu czaszkę. Czuje smak krwi. Ktoś szarpie. Ktoś kopie dotkliwie. Zaskoczenie jest większe niż strach. Konfident. Zdrajca. Kapuś.

Niczego nie rozumie. Chce krzyczeć, że to pomyłka, ale nie daje rady. Słowa więzną w przyduszonym przez kogoś gardle. Kim oni są? Czego chcą? Uścisk zostaje zwolniony, ale czyjeś silne palce trzymają go nadal w bezruchu – za ręce, głowę, nogi. Ktoś go obnaża. Ostrymi pazurami wbija się w jego ciało, a po chwili gwałci. Krzyk bezradności, zaskoczenia, ponizenia zostaje zamknięty we wnętrzu pogardzonego ciała. Od ścian odbija się zwierzęcy jęk seksualnej satysfakcji i szyderczy śmiech karła. Przez niewielkie okienko sączy się krwawe światło zachodzącego słońca. Wielka, silna dłoń opada na głowę Miłosza. Druga opiera się tuż przy przyciśniętej do betonu twarzy. Półprzysłone oczy widzą czaszkę z ognistymi oczodołami – tatuaż, który w ułamku sekundy zapisuje się w pamięci. Ktoś podnosi go i znowu uderza o szorstką, zimną ścianę. Czuje zapach i chłód ziemi. Słyszy szybko oddalające się kroki i stłumione rozmowy. Jeszcze szczęk przekręcanego w zamku klucza i dojmująca cisza. Nie jest w stanie otworzyć oczu. Leży w grobie, choć przecież cały czas żyje.

Zerwał się. Odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Był spocony i zmęczony. Zegarek wskazywał trzecią czternaście. Spał zatem zaledwie dwie godziny. Długo nie mógł zasnąć. Dawno nie myślał o tych wydarzeniach sprzed lat. Wydawało mu się, że wbrew wszelkim psychologicznym bredniom poradził sobie, wygrzebał się przynajmniej z tego. Kilkanaście ostatnich godzin pokazało jednak, jak bardzo się mylił.

Stwierdzenie „poślizgnął się na mydle” brzmi obojętnie tylko dla tych, których nigdy nie dotknęła więzienna rzeczywistość.

To mydło wnika głęboko w ciało i duszę. Naznacza wstydem i bezsilnością, a wreszcie pogardą do samego siebie.

Oficjalnie nikt nigdy nie przyznał, co właściwie się wydarzyło, ale obrażenia i stan psychiczny Miłosza mówiły same za siebie. Ta młoda lekarka, która zajmowała się nim wtedy, tłumaczyła mu, że musi rozmawiać, że milczeniem niczego nie załatwi, a trauma pozostanie w nim na zawsze. Tylko ona naprawdę chciała mu pomóc. Próbowwała z nim rozmawiać, choć udawał, że tego nie potrzebuje, że nie słucha. Kiedyś powiedziała mu o molestowanych dzieciach, które przez lata ukrywają fakt, że są molestowane, i doszukują się w tym swojej winy. A potem nie potrafią kochać. Nie potrafią okazywać uczuć, bo dotknięcie drugiej osoby wydaje się

im nieczyste. Dorosłe ofiary gwałtów pod tym względem nie różnią się wiele od dzieci. Czyżby po latach miał przyznać jej rację? Gdy pierwszego dnia poszedł do Marty, chciał ją przytulić, pocałować. Nie zrobił tego. Tłumaczył sobie, że na niego naskoczyła, że spodziewał się innego przyjęcia. Gówno prawda. Musiał to wreszcie przyznać.

Wiedział, że wytrwał w więzieniu tylko dlatego, że miał cel. Nie wszystkim jednak udało się doczekać końca kary. Po więziennych korytarzach niesły się historie o tych, którzy woleli przegryźć sobie żyły albo słono zapłacić za kawałek sznurka niż żyć z piętnem cwela. Gdyby zrobił to samo co oni, na zawsze pozostałby przede wszystkim mordercą. Ale to, że udało mu się wyjść z więzienia, nie oznaczało oczyszczenia. Teraz wiedział to na pewno. Czuł ten niezrozumiały dla innych strach. Czuł ten kwaśny smród, wilgotną, szorstką ścianę, zapach świeżej ziemi, która nie wiadomo skąd pojawiła się w celi. Słyszał ich kroki, gdy wtargnęli nagle i równie szybko odeszli, pozostawiając po sobie bolesną ciszę przerywaną ciężkimi oddechami, torsjami, a w końcu dławionym w gardle łkaniem.

„Chciałbym się z panem spotkać. Mam coś, co może pana zainteresować. 17.00 przy Rynku Głównym? Proszę wybrać miejsce”. Esemes od Sępa, który najwyraźniej też nie mógł spać, przypomniał Miłoszowi o telefonie sprzed kilku dni. Przed oczyma znowu stanął mu Złoty i jego tatuaż. Czy kiedyś będzie mógł myśleć o tamtych wydarzeniach bez skurczu żołądka, bez odruchu wymiotnego, powracającego poczucia poniżenia i obrzydzenia do samego siebie? Konfident, zdrajca. Dlaczego tak go nazwali? Przecież nikogo nie zdradził, nikogo nie zakapował! Komuś musiało zależeć na tym, by za takiego go uważano i ukarano zgodnie z więziennym kodeksem.

Znowu siedział w klatce, którą, jak mu się zdawało, opuścił. Drzwiczki były otwarte, ale cały czas miał wrażenie, że tworzące ją pręty ściskają go mocno i nie pozwalają wyjść. Wspomnienia, oskarżające spojrzenia, piętno mordercy, niepodważalne dowody. Do tego pytania nadal pozostające bez odpowiedzi i niezawiniona wina, której sensu nie potrafił pojąć.

Tak. Musi spotkać się z Sępem. Jeżeli jest choć cień szansy, że czegoś się dowie, trzeba to wykorzystać.



Miłosz przyszedł do kafejki wcześniej. Usiadł w miejscu, które zapewniało swobodną rozmowę, a jednocześnie pozwalało na obserwację przestrzeni wokół. Popatrzył na Rynek Główny, tego miejsca do tej pory unikał. Tuż po wyjściu z więzienia nie chciał rzucać się w oczy, ale paradoksalnie to właśnie w tłumie jest się najmniej widocznym, a tutaj tłok był zawsze. Rynek miał jeszcze jeden atut, tu tylko kwiaciarki, kelnerzy i dorożkarze są ci sami.

We wnętrzu panował półmrok. Miłosz zamówił herbatę i czekał. Sęp pojawił się punktualnie o siedemnastej. Gdyby nie przeszłość, Miłosz byłby gotów pomyśleć, że ma do czynienia z profesjonalistą.

– Dzień dobry. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – powiedział dziennikarz, podchodząc do stolika, i wyciągnął rękę na powitanie.

– Nie bawmy się w zbędne uprzejmości. Do rzeczy. – Szorstki głos Miłosza i nieodwzajemniony gest miały przypomnieć Sępowi, że nie jest to spotkanie przyjaciół.

– Przejrzałem uważnie wszystkie zdjęcia, które zrobiłem podczas rozpraw sądowych – zaczął, otwierając laptop.

– I?

– Okazuje się, że miał pan grono wielbicieli.

– Tak, nawet wiem, kto był tym głównym – powiedział Miłosz i popatrzył na Sępa z wyrzutem.

Ten jednak nie dał się sprowokować. Uruchomił laptop i kontynuował.

– Wielokrotnie fotografowałem osoby, które z osobistych przyczyn były zainteresowane procesem. Ich obecność nikogo nie dziwi, ale proszę tylko spojrzeć na to. – Ustawił monitor tak, by Miłosz dostrzegł szczegóły.

– Nie bardzo rozumiem, co miałbym tu zobaczyć. – Był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Oglądał pan materiały na temat komendanta?

– Tak, jednak bardziej od jego emerytury interesują mnie sprawy, nad którymi pracował. Na przykład aresztowanie Złotego i jego szajki.

– A mnie interesuje komendant, bo to on, a nie gangster, pofatygował się do sądu. Proszę popatrzeć uważnie. Naprawdę nic tu pana nie dziwi?

– Niby co, że przyszedł na rozprawę?

– Sprawdziłem daty. Gdy pana aresztowano, pracował w wojewódzkiej w wydziale kryminalnym. Był zaangażowany w pańską sprawę z racji

obowiązków służbowych, ale gdy zrobiono to zdjęcie, pracował już w głównej. Po pierwsze musiał przyjechać z Warszawy specjalnie na proces, po drugie, jak widać, starał się być jak najmniej widoczny.

– Zawsze tak łatwo przychodzi ci oskarżanie? Ze mną zrobiłeś to samo. – Miłosz zaczął żałować, że zgodził się z nim spotkać. – Myślałem, że masz dla mnie jakieś rewelacje, a tymczasem ma mnie zadziwić to, że ktoś podczas procesu siedział na ławce. Każdy mógł tam wejść, popatrzeć, napluć mi w twarz, zwyzywać. Takie prawo – mówił Miłosz z narastającą złością.

– Może, ale tak właśnie traci się ślad. Od razu go pan odrzucił.

– No dobrze, powiedzmy, że nie odrzucam. Nie znam tego człowieka, nigdy wcześniej nie miałem problemów z prawem. Czego mam się tu doszukiwać? Przyjechał zobaczyć, jak zakończyła się sprawa, w którą był zaangażowany. Tyle.

– Z ciekawości to mógł sobie kupić gazetę, zajrzeć do internetu albo zadzwonić do kumpli z wojewódzkiej, nie sądzi pan?

– To wszystko, co miałem zobaczyć?

– Na razie tak.

Miłosz popatrzył na Sępa z powątpiewaniem, po czym wstał i wyszedł. Nie potrafił się zmusić do pożegnania. Nie potrafił też obiektywnie spojrzeć na przekazane informacje. Zaufanie człowiekowi, który z takim zaangażowaniem przedstawiał go kiedyś jako mordercę, okazało się trudniejsze, niż myślał.



Zofia stała przy kuchence i doprawiała ulubioną zupę syna. Ten zapach macierzyńskiej miłości otulał każdy zakątek domu. Wciskał się w szczeliny popękanych ścian, wypełniał stare, zakurzone kąty, snuł się po dawno nielakierowanej podłodze. Wirował między meblościanką a wielkimi fotelami i osiadał na rodzinnych fotografiach. Te wnętrza wiele widziały. Bardzo wiele. Gdyby tylko mogły mówić.

Nie miała już tyle wigoru co dawniej. Nogi puchły, stawy bolały, serce coraz częściej dawało znać, że jest zmęczone niepewną codziennością. Ale mimo to miała w sobie siłę niepozwalającą się poddać. Odziedziczyła ją po babce, która nawet wtedy, gdy już nie mogła chodzić i nic nie widziała, powtarzała, że z życia trzeba się cieszyć. Że nie można się go bać, bo strach zabija najsilniejszych. Więc Zofia oswoiła swój strach. Uczyniła z niego towarzysza, który daje znać, że coś się dzieje, uczy czujności, pozwala przygotować się na to, co nadejdzie. Nauczyła się też doceniać codzienne czynności, bo to one dawały jej spokój. Jakby czas z wszelkimi troskami zatrzymywał się i rozkoszował smakami, zapachami czy widokiem haftów wychodzących spod jej palców.

Przemieszała zupę i spróbowała. Tak, prawie gotowa. On właśnie taką lubi. Włożyła jeszcze kilka gałązek natki pietruszki, by jej smakiem i aromatem przypiecztować to kulinarne dzieło, i zanurzyła się we wspomnieniach.

Szybko wyszła za mąż. Chwila uniesienia i nie było na co czekać. W tamtych czasach nieślubne dziecko okrywało hańbą przede wszystkim kobietę, ale stawiało w nie najlepszym świetle również mężczyznę. Trzeba było iść do ołtarza. Rodzice nie akceptowali jej wybranka, ale ważniejsze było dla nich, co powiedzą ludzie, niż to, czy będzie szczęśliwa. „Bękart w rodzinie nie będzie” – mówili. Nie byłoby, nawet bez ślubu, bo w piątym miesiącu dostała nagłych bólów. Nie pomogła szybka pomoc. Od teściowej usłyszała wtedy, że to kara za grzech. Gdyby dziecko poczęli po ślubie, na pewno nie byłoby kłopotów. W końcu sama zaczęła wierzyć w to przekleństwo, tym bardziej że kolejne próby nie doprowadzały do upragnionej ciąży. Patrzyła z zazdrością na okrągłe brzuchy kobiet i czuła się tak, jakby każda z nich kradła jej marzenia. Myślała nieraz, że pewnie jak urodzą, to będą narzekać na niewyspanie, na ciągłe pranie pieluch, na płacz dziecka, na brak pomocy. Niewdzięczne. Tymczasem ona wszystko to traktowałaby jak błogosławieństwo, jak namacalny dowód swojego szczęścia. Niczym bogini z odsłoniętą piersią dumnie karmiłaby swoje dziecko, wstawiała na każde zawołanie i jak strażniczka pilnowała każdego oddechu, słowa, kroku.

Mąż nigdy nie widział w niej bogini. Wypadało się ożenić, to się ożenił. Bardziej potrzebował gospodyni niż żony. Czasem kochanki. Musiała grać przed nim dziwkę, by spojrzeć pożądliwie i poszedł z nią do łóżka. Z czasem nabrała wprawy w tych małżeńskich grach, bo tylko one dawały szansę na zajście w ciążę. Ale nawet takie upokorzenie nie przyniosło efektu. Straciła nadzieję. W desperacji myślała nawet o tym, żeby pójść na potańcówkę,

poznać kogoś i... Nie pozwoliła sobie jednak na to. Tak mijały kolejne lata. Pogodziła się z tym, że dziecka nie będzie.

Któregoś dnia mąż przyszedł pijany. Zdarzało się to coraz częściej. Śmierdział z daleka i właśnie wtedy najbardziej potrzebował kobiety. Zaczął do niej wołać jak do dziwki. Opierała się. Nie miała ochoty na taki seks. Wtedy pierwszy raz ją uderzył, potem popchnął na łóżko i... zgwałcił? Zgwałcił? Nie, przecież mąż nie może zgwałcić żony. Wyszła za niego, więc miała wobec niego obowiązki. Seks był jednym z nich. Poza tym sama się prosiła tymi swoimi gierkami, by tak ją traktował. Na początku opierała się, krzyczała, ale potem się poddała. Bo niby kto miałby jej wtedy pomóc? Gdy kilka tygodni później okazało się, że jest w ciąży, przestała myśleć o tym akcie jak o zwierzęcej potrzebie zaspokojenia żądz, po której jej mąż szybko zasnął, a rano w ogóle nie pamiętał, co się wydarzyło. Wśród smrodu wódki i potu, wśród jej krzyków i jego przekleństw, między jednym a drugim uderzeniem wydarzył się cud. Począł się ich syn. Gdy przytuliła go po raz pierwszy, wiedziała, że nikt nigdy nie był i nie będzie dla niej ważniejszy. W czasie ciąży musiała czasem postraszyć męża nożem, żeby się do niej nie zbliżał. Dla bezpieczeństwa dziecka była gotowa na wszystko. Gdy urodziła, przestała być taka bojowa. Starła się też nie przejmować, gdy słyszała od męża, że musi więcej pić, bo w przeciwnym razie mu nie staje na jej widok. Więc jeśli chce mieć jeszcze dzieci, to musi się zgodzić i na wódkę, i na wódczany seks. Zdarzało się czasem, że obudzony w nocy krzykami i jękami syn przychodził do ich sypialni. Zofia musiała go potem długo uspokajać. Tłumaczyła, że to taka zabawa dorosłych, że to tylko wygląda tak, jakby tatuś bił mamusię. Liczyła na to, że cud wydarzy się jeszcze raz. Że znowu będzie jej dane zajść w ciążę. Jednak cudu już więcej nie było.

Z zamyślenia wyrwało ją dotkliwe dla ucha trzaśnięcie drzwiami. Drgnęła. Nagły ruch sprawił, że poparzyła dłoń. Ale to nic. Zupa jest ważniejsza. Wszedł. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Zofia zrozumiała, że znów nastał ten czas. Tymczasem da mu jeść. Da mu to, co tak bardzo lubi.



Od kilku godzin był w drodze. Przemierzał znajomą trasę i z każdym kilometrem nabierał przekonania, że to dobra decyzja. Zanim wyjechał, spotkał się z Anką. Przez ostatnie dni obserwował okolice jej domu i podobnie jak wcześniej nie zauważył niczego podejrzanego. Codziennie widział tych samych ludzi. Mógłby ze szczegółami opisać ich wygląd i zachowanie. Nastolatka z pekińczykiem ubranym w kolorowy serdak zaczęła mu nawet mówić dzień dobry. Niebieskie włosy i tatuaż w kształcie węża oplatającego jej prawą nogę powyżej kostki nie pozwalały minąć jej obojętnie. Niezależnie od pogody miała na sobie rozpiętą skórzaną kurtkę i pstrokaty włóczkowy sweter. Ale co najważniejsze, zawsze była uśmiechnięta. Zazdrościł jej optymizmu i odwagi wyrażania siebie. Zazdrościł jej poczucia niezależności, które pozwalało być otwartą na ludzi. Zazdrościł jej młodości, z którą mogła zrobić, co tylko chciała. W porównaniu z nim, zawsze ukrytym za szarościami ubioru, zarostem, kołnierzem kurtki, zgarbioną sylwetką, była uosobieniem wolności. To „dzień dobry” pierwszego dnia wprawiło go w zakłopotanie, ale kolejnego skłoniło do refleksji. Zrozumiał, że tak jak on przygląda się ludziom, tak oni przyglądają się jemu. I zapamiętują go. A tego nie chciał. Dla nich to on, spotykany zawsze w tym samym miejscu, mógł stać się podejrzanym. Przekonany, że nic niepokojącego nie dzieje się w okolicy, zakończył kilkudniową obserwację, a o jej efektach poinformował Ankę. Miał nadzieję, że to ją uspokoi i pozwoli zasypiać bez obaw.

Dotarł do celu. Wysiadł, rozprostował kości i zaciągnął się górkim powietrzem. Tu mógłby być jego dom. Zarzucił plecak i ruszył wąską ścieżką. Po kilkuset metrach dotarł na miejsce. Stara chata, w której tak chętnie kiedyś nocowali, nadal stała. Wiatry, śnieżne zimy nie dały rady solidnemu gontowi, a wiosenne deszcze nie zdołały osłabić jej fundamentów. Miłosz miał nadzieję, że przez lata nic się tu nie zmieniło. Uśmiechnął się na widok znajomego dzwonka zamontowanego tuż przy drzwiach i pociągnął za sznurek. Żeliwne serce wydało mocny dźwięk, któremu po dłuższej chwili zawtórowały odgłosy kroków. W drzwiach, zgodnie z oczekiwaniami Miłosza, stanął niemłody mężczyzna z długą brodą. Tych kilkanaście lat pochyliło go nieco, posiwiał, ale oczy miał nadal ufne i uśmiechnięte. Był to Józef Trombita – bieszczadnik, który kilkadziesiąt lat wcześniej opuścił miasto i rozprzestrzeniającą się w nim zarazę pogardy, nijakości i zuchwalstwa. Szukając idealnego miejsca dla siebie, zawędrował tu, kupił chatę i kawałek ziemi i zamieszkał w otoczeniu starych drzew, wśród wilków i niedźwiedzi, które bywają bardziej przyjazne niż ludzie, wśród wiatrów i niepogody, ale też

niepowtarzalnych widoków, które koją nerwy jak nic innego. Nie był surowym odludkiem. Przeciwnie, lubił ludzi, ale starannie wybierał towarzystwo. I choć nikt nie wiedział, kim tak naprawdę jest i skąd przyjechał, uważnym obserwatorom nie umknęło, że to nie prosty człowiek z lasu, a ktoś wykształcony i czytany.

Trombita to nie było nazwisko pana Józefa, a przydomek. Zasłużył sobie na niego nie tylko tym, że samodzielnie wykonane trombity, podobnie jak piszczałki, okaryny, zdobyły jego chatę, ale też tym, że przy pomocy jednej z nich przepędził miastowych, którzy przyjechali nastawać na jego ziemię. Chcieli ją kupić i zbudować nowoczesny pensjonat. Ostatecznie kupili działkę od kogoś, kto bardziej kochał pieniądze niż tę ziemię i jej charakter. Straszili Józefa, że sprawę nastawiania na ich życie i zdrowie zgłoszą do sądu. Ostatecznie jednak na pogroźkach się skończyło. Tak to Józef ziemię swoją od zatracenia uchronił.

– Słucham pana? – zapytał, patrząc z zainteresowaniem na Miłosza. W rękach trzymał kawałek drewna, z którego właśnie strugał fujarkę.

– Dzień dobry, panie Józefie!

– Dzień dobry – odpowiedział, uważnie wpatrując się w twarz Miłosza.

– Wiem, zmieniłem się. Jam Wędrowiec Miastowy, pamięta pan?

– Wędrowiec miastowy? A, no przecież! JWM, jakbym mógł zapomnieć. – Ręce pana Józefa podniosły się do uścisku. Przywitali się jak starzy przyjaciele. – Zmyliłeś mnie. Przecież przyjaciele nigdy nie dzwonią, tylko wchodzą jak do siebie. Nie pamiętasz?

– Nie potrafiłem sobie odmówić. Chciałem usłyszeć ten dźwięk.

Weszli do środka. Tu nic się nie zmieniło. Wnętrze bieszczadzkiej chaty przypominało schronisko. Wielki piec, a przy nim stary fotel, ławy, ławki, na ścianie kilkanaście rozwieszonych map z oznaczonymi szlakami i zdjęcia gości, na półkach książki, przy piecu duże kubki i rozmaite produkty czekające na zdrożonych bieszczadników. W kącie kilka gitar i naznaczone częstym wertowaniem kartek śpiewniki. Kropką nad i były trombity i fujarki – jedne porozwieszane na ścianach, inne powkładane do wiklinowych koszy. Ogień, herbata, muzyka i góry – czego chcieć więcej. Miłosz zdjął plecak i podszedł do jednej ze ścian. Wśród wielu zdjęć, przykurzonych, podniszczonych przez wilgoć i osuszonych ciepłem ognia, wisiało zdjęcie ich

trzech i gospodarza zrobione po którejś z wędrówek. Twarze mieli zmęczone, ale po bieszczadzku szczęśliwe.

Pan Józef postawił na piecu czajnik i podszedł do Miłosza.

– Długo cię tu nie było, a właściwie was. Jak to było? JWM – Jakub, Wojtek i... – Poklepał gościa po ramieniu. – Miłosz. No właśnie, przecież zawsze przyjeżdżaliście tu we trzech. Coś się przez lata zmieniło? – Ponieważ Miłosz milczał, Józef zmienił temat. – Dzisiaj jesteśmy tylko we dwóch, goście wyjechali rano, więc sienników do wyboru, do koloru. Ogień płonie, jakaś kiełbasa od leśniczego się znajdzie. To jeszcze tylko wielki kubek kawy i...

– Pudło! – Miłosz odwrócił się, zdjął kurtkę i powiesił ją na drewnianym wieszaku wystruganym przez pana Józefa. – Wielki kubek kawy to było zawsze marzenie Kuby, dla mnie możliwie największa porcja herbaty.

– Wybacz staremu, że zapomniał.

– Pewnie, że wybaczam – powiedział Miłosz z uśmiechem. – I na dowód tego to ja zrobię herbatę i sobie, i panu. A pan niech siada w swoim ulubionym fotelu.

– Ale dla mnie...

– Wiem, wiem, z miodem i cytryną.

Czajnik dał znać, że woda gotowa. Miłosz poczuł się jak w domu. Zrobił herbatę, podał gospodarzowi i siadł ze swoją na ławie przy piecu. Chwilę milczeli, po czym Miłosz, patrząc w ogień, zaczął mówić.

– Z nas trzech już tylko ja zostałem. Myślę sobie czasem, że wolałbym być tam gdzie oni, a nie... – zamilkł.

Pan Józef nie dopytywał. Ciszę przerywał tylko delikatny trzask ognia.

– Piętnaście lat temu... – Miłosz zaczął ponownie. Nie mówił zbyt wiele, nie użalał się nad sobą, starał się podawać tylko fakty, ale jego oczy, gesty, barwa głosu mówiły wszystko. Jednocześnie zauważył, że mówienie o tamtych wydarzeniach kolejny raz przynosi mu ulgę. Nie bez znaczenia było to, do kogo mówił. Panu Józefowi ufał, co zapewniało mu spokój, a nawet swego rodzaju oczyszczenie.

– Nie wiem – zaczął spokojnie Józef, gdy Miłosz skończył opowiadać – co wydarzyło się w tym waszym wielkim mieście, ale wiem na pewno, że cię znam. Wiem, że kochasz te góry, że wszyscy je kochaliście. One są szczerze,

prawdziwe, dają się poznać naprawdę tylko tym, którzy potrafią na nie patrzeć, potrafią ich słuchać i potrafią czuć. Ty jesteś jednym z nas, więc skoro mówisz, że nie masz z tym nic wspólnego, to ja ci wierzę. Tak jak wierzę w te góry. One potrafią uleczyć najgorsze choroby. Wiem to. Dlatego tu jestem. – Podniósł się i dorzucił dREW do kominka. – Co prawda to miejsce się zmienia. Tłoczniej się tu zrobiło, turyści już tylko samochodami przyjeżdżają, nawet ci młodzi, o harcerzy znacznie trudniej niż kiedyś, ale to tylko powłoka. Pod nią są nadal te same skały, ta sama bieszczadzka dusza, te same melodie gór, które usłyszysz tylko prawdziwy bieszczadnik. Po to tu przyjechałeś, prawda?

Miłosz pokiwał głową, wciąż wpatrując się w ogień.

– Wybacz staremu romantykowi, jeśli stał się zbyt liryczny, ale taka mnie czasem tęsknica nachodzi. Bo widzisz, nogi już nie te i plecy spróchniały. Do łażenia to ja się już nie nadaję. Ale wszystko, co spałem, wszystko, czego doświadczyłem, zacząłem spisywać. – Z niemałym trudem wstał z fotela i podszedł do starej skrzyni. Podniósł wieko i wyjął z niej gruby duży zeszyt w twardej oprawie. – Widzisz, tu powoli zamykam swoje życie. A mam co zamykać, bo wiele przeżyłem. – Zamyślił się, przerzucił kilka kartek, zerknął na wklejone zdjęcia i odłożył zeszyt na miejsce. Delikatnie zamknął wieko, jakby nie chciał, żeby uderzenie zmaćło nastrój. – Kiedyś dam ci do przeczytania. Bo i komu mam dać. Swojej rodziny nie mam. Zastanawiałem się któregoś dnia, co bym teraz robił, gdybym tu nie trafił. Może siedziałbym gdzieś samotny i czekał na śmierć. A tu? Tu zawsze znajdzie się ktoś, kto do mnie zajrzy. Dla mnie wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, są jak rodzina, rozumiesz? Mam szczęście do ludzi. Przecież ja nikomu nie usługuję, za nikogo śpiworów nie zwijam, bo i jak, a jednak ludzie tu ciągną, jakby do własnego domu przyjeżdżali.

– Coś w tym jest. Tyle razy tu byłem. Byliśmy we trzech. I zawsze chętnie wracaliśmy. Zresztą, sam pan wie. A teraz? Teraz to takie moje wakacje z duchami...

Milczeli dłuższą chwilę.

– A wie pan, panie Józefie – zaczął z ożywieniem – że my jako dzieciaki bawiliśmy się właśnie w wakacje z duchami? Mieliśmy po dziesięć lat, wszyscy przeczytaliśmy tę książkę i tropiliśmy przestępców. Tak nam się przynajmniej wydawało.

– Założyliście Klub Młodych Detektywów? – zapytał ze śmiechem pan Józef.

– Dokładnie tak. Zrobiliśmy sobie nawet legitymacje. Jak to dzieciaki. A dumni byliśmy z siebie, że hej! – Miłosz dał się ponieść dziecięcym wspomnieniom i narastającej ekscytacji. – Kiedyś na murze między blokiem Wojtka i moim pojawił się napis. Zaraz, zaraz, jak on brzmiał? Walczmy ze stonką? Zwalczajmy czerwoną stonkę? Jakoś tak. Dorośli byli bardzo poruszeni, a my nie wiedzieliśmy, o co chodzi. No bo kto w Krakowie stonkę na oczy widział? W każdym razie poczuliśmy, że to zadanie dla nas, i zaczęliśmy obserwować miejsce przestępstwa.

– I jaki efekt?

– No oczywiście namierzyliśmy sprawcę. To była sąsiadka Wojtka. Sama podsunęła nam dowody, gdy wyrzuciła do śmietnika pędzel i pojemnik po farbie. Ale sprawa ostatecznie zakończyła się kompletnym fiaskiem. Ona po prostu robiła remont. W chwili samokrytyki przechrzciliśmy się nawet na Klub Marnych Detektywów. Ale znajomość z sąsiadką i tak wyszła nam na dobre, bo od tamtego czasu zapraszała nas na drożdżowe bułeczki albo na bułki z pieczarkami.

– Czekał, czekał, pamiętam! Wydrążona bułka, w środku pieczarki i do piekarnika. To był prawdziwy przysmak.

– Właśnie tak!

– Namiastka luksusu i obowiązkowe danie na wszelkich imieninach. – Pan Józef się zaśmiał.

– Tak! Palce lizać.

– No dobrze, ale co dalej?

– Działaliśmy oczywiście. Sąsiadka nas podpuszczała, że takie talenty nie mogą się zmarnować. A wie pan, jak to działa na dzieciaki. Zresztą to chyba ona podsunęła nam pomysł patrolowania osiedlowych piwnic. Nie pamiętam tylko po co. Może ktoś wybijał w nich szyby, a my mieliśmy wytropić kto? Mniejsza o to. W każdym razie zaangażowaliśmy się na sto procent. Winowajców, o ile pamiętam, nie znaleźliśmy, za to okazało się, że piwnice się ze sobą łączą. A! Jeszcze coś! Natknęliśmy się na kilka zagadkowych pomieszczeń. Między nimi były takie wielkie metalowe drzwi z kołem na środku. Jak się je zamknęło i przekręciło kilka razy koło, to nie było słyhać niczego, co się za nimi działo.

– Schron znaleźliście?!

– Kto to wie, ale rozumie pan, co to za znalezisko dla takich smarkaczy jak my? Istny kosmos. Mieliśmy pewność, że tam ktoś ukrył skarb. Wtedy wierzyliśmy w smoki, zielone ludziki, duchy i załogę G. Dziecięce myślenie jest jednak niesamowite. Ta niezachwiana wiara w cuda i dziwy, w to, że można zmieniać świat.

– A tak nie jest.

Miłosz się zamyślił.

– Nie w naszym przypadku. Niech pan zobaczy, ta niezachwiana wiara poprowadziła nas do sukcesu, ale w kilka chwil straciliśmy wszystko.

Rozmowę przerwało nagłe otwarcie drzwi. Stała w nich około czterdziestoletnia kobieta. Miłosz patrzył na nią z uwagą. Spodnie bojówki, koszula w kratę, krótko obcięte włosy i nieschodzący z twarzy uśmiech – taką ją zapamiętał. O pomyłce nie mogło być mowy.

– Dzień dobry! – krzyknęła od progu. – Panie Józefie, przepraszam, że przeszkadzam. Ma pan miejsca? Przyjechali studenci i pytają o noclegi. Ja mogę przyjąć kilku, a grupa duża. To co, mogę ich do pana przysłać?

– Pewnie, że możesz, ale na drugi raz to niech sami przychodzą, bo jak ty tak w samej koszuli będziesz ganiać, to...

– Wiem, wiem, wnuków nie doczekam! Poprawię się! To lecę! Do widzenia.

– Iwona! – Miłosz zdążył krzyknąć, zanim wybiegła. Odwróciła się zdziwiona. – Ja wiem, że ze mną czas surowo się obszedł, w przeciwieństwie do ciebie, ale żeby do tego stopnia? Aż tak ze mną źle?

– Miłosz?! – krzyknęła z niedowierzaniem i podbiegła się przywitać. Uściskali się jak starzy przyjaciele. – Trzeba było jeszcze dłuższą brodę zapuścić! Co ty, golić się przestałeś? Ty? Pierwszy krakowski amant? Nie wierzę.

– A widzisz, ludzie się zmieniają. No, może poza tobą. Kwitnąca i radosna jak zawsze.

– Brodę zapuściłeś, wyglądasz inaczej, ale bajer ten sam! Gdzieś ty był, jak cię nie było? Ja tu oczy wypatrywałam, wypłakiwałam i wszystko na marne.

– Dobra, dobra. Twój bajer też niczego sobie. – Radosny śmiech rozbrzmiał w chacie.

– Teraz muszę lecieć, ale obiecaj, że nie wyjedziesz bez pogaduszek. – Pogroziła mu palcem.

– Słowo harcerza! – Miłosz podniósł dwa palce w geście przysięgi.

– Trzymam cię za słowo, choć co do twoich harcerskich korzeni to mam duże wątpliwości. Panie Józefie, proszę pamiętać, że ten jegomość musi się u mnie stawić. Pan ma na niego większy wpływ niż ja. – Mrugnęła, po czym pożegnała się i wybiegła.

– Złoto, nie dziewczyna. Gdybym się urodził trochę później...

– Panie Józefie, a kto mi mówił, że miłość nie ma wieku?

– Ty mnie za słówka nie łap, tylko sam się do roboty bierz. Jak zatańczę na twoim weselu, to i o swoim pomyślę. Umowa stoi?

Miłosz nie zdążył odpowiedzieć, bo do chaty weszli zapowiedziani przez Iwonę studenci. Duże plecaki, przytroczone do nich gitary, uśmiechnięte twarze, ożywione rozmowy – tak, tego właśnie potrzebował. Zapowiadał się prawdziwie bieszczadzki wieczór.



Świtało. Zasznurował plecak, dopił herbatę i wyruszył. Miał przed sobą wiele kilometrów wędrówki, a dzień był znacznie krótszy niż latem. Plan był oczywisty. Przejdzie „bieszczadzką koronkę” – szlak, który jako ostatni przemierzili razem z Jakubem i Wojtkiem. Z Wetliny na Dział, potem Rawki, Krzemieniec, Rabia Skała, Jawornik i znowu Wetlina. Jeśli ma wrócić przed zmrokiem, musi się pospieszyć.

Oznaczenia szlaku namalowane na drzewach i skałach, trapersy bratające się z bieszczadzkim błotem, ramiona obciążone plecakiem – wszystko to sprawiało, że poczuł dobrze znajome włóczęgowskie podniecenie. Nasiąkał zapachami lasu, chłonał obrazy, sycił się dźwiękami. Z nostalgią odwzajemniał uśmiechy i powitania mijanych z rzadka turystów. Zastanawiał się, co robią, skąd są, a jednocześnie wiedział, że tutaj nie ma to większego znaczenia. Tu wszyscy są równi wobec gór, ich potęgi, stałości i uroku. Wszystkich łączy potrzeba popatrzenia z góry na to, co z dołu niezauważalne.

Wyszedł z lasu na Dział. Odetchnął głęboko i rozejrzał się. Choć najpiękniejsze widoki były jeszcze przed nim, to ten, który ukazał się jego oczom jako pierwszy po tylu latach, stał się jednocześnie symbolem powrotu do wolności, do przeszłości niezaburzonej wydarzeniami z sierpnia dwa tysiące pierwszego. Cały czas myślał o Wojtku i Kubie. Był pewny, że gdyby żyli, jeszcze nie raz wspólnie właśnie tu szukaliby wytchnienia. Tu wszystko wydawało się o wiele prostsze, a problemy widziane z góry malały. Jakby bieszczadzkie anioły z piosenek Ziemiańca i Myszkowskiego przystępowały do działania i z „zielonego kielonka” pozwalały sączyć napój ukojenia.

Wysokie trawy, połacie jagodzin, słońce wydobywające z liści wszelkie odcienie żółci i czerwieni i wiatr zatykający uszy na przyziemność – ta niezmienna prawda o jesiennych Bieszczadach ponownie stała się udziałem Miłosa. Przemierzał kolejne kilometry, przypominał sobie kolejne miejsca. Gdy oparty o wieżę na Wielkiej Rawce patrzył na rozciągające się po horyzont szczyty, po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że tu ziemia łączy się z niebem. Tu stykają się ze sobą dwa światy – tak od siebie dalekie, a jednocześnie tak bliskie. Kiedyś pan Józef powiedział mu, że w górach człowiek spotyka Boga. Nie tylko dlatego, że ich szczyty dotykają nieba wyżej niż szpiczaste dachy gotyckich katedr. Nie dlatego, że ich zbocza dyskretnie spisują historię świata niesioną na barkach tych, którzy przemierzają ich szlaki od wieków jako pielgrzymi, włóczędzy, posłańcy czy skazańcy. Przede wszystkim dlatego, że w górach człowiek rozmawia ze sobą, uważnie słucha, oczyszcza umysł i jest otwarty na prawdę o Bogu i sobie. Pozostaje mu tylko tę prawdę usłyszeć.

Kiedyś Miłosz zgadzał się z tym twierdzeniem, ale teraz? Jaką prawdę miałby usłyszeć? Co mógłby powiedzieć o ostatnich kilkunastu latach swojej relacji z Bogiem? Że wędrują innymi szlakami? Że wybierają inne góry? Miał wrażenie, że Bóg bawi się jego kosztem. Na trzydzieste piąte urodziny w ramach prezentu zafundował mu udział w jakiejś koszarnej grze niczym z filmu Davida Finchera. Problem w tym, że w przeciwieństwie do filmowego scenariusza jego gra się nie skończyła. Nie wjechał płonący tort, nie wystrzeliło konfetti i nikt nie zakrzyknął: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”. Więc jaką prawdę miałby usłyszeć?

Nie. Nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. W końcu przyjechał tu, żeby odpocząć od gonitwy myśli, od ciągłego szukania odpowiedzi na natrętnie wracające pytania, od dręczących emocji, analizowania akt. Ruszył stromą ścieżką w dół, a potem znowu w górę w kierunku Krzemieńca. Sprawnie

pokonywał kolejne metry, by poczuć prawdziwe zmęczenie i jak najszybciej dotrzeć do trójstyku. Szedł pewnie szlakiem wyznaczonym przez białoczerwone i żółto-niebieskie słupki. W ciągu kilkunastu minut był na miejscu. Spojrzał na obelisk, rozejrzał się wokół i oczyma wyobraźni wrócił do ich ostatniej wspólnej wyprawy.

Maj 2000.

On, Jakub i Wojtek stoją na styku trzech granic – Polski, Ukrainy i Słowacji. Znowu pokonują swoje granice. I nie chodzi o ich wytrzymałość. Zdobyć kolejny raz Krzemieńca nie jest żadnym wyczynem dla wysportowanych trzydziestoparolatków. Chodzi o coś ważniejszego. Tu stykają się granice, ale jednocześnie wystarczy niewielki krok, by je przekroczyć. Trzeba tylko go zrobić. Gdy byli tu po raz pierwszy, obiecali sobie, że nigdy nie dadzą się ograniczeniom. Że zawsze, nawet w najtrudniejszych momentach, starczy im sił na ten jeden krok. Teraz przywołują tę przysięgę. Dzięki niej mieli odwagę stworzyć i rozwinąć firmę. Oni – żółtodzioby bez doświadczenia, ale z wiedzą, pasją i wiarą w sukces. Śmieją się, przypominają sobie swoje początki, planują dalsze milowe kroki i świętują. Chleb, kultowy paprykarz szczeciński i rolada ustrzycka zwana bieszczadzką szynką – ucztą jak za starych dobrych studenckich czasów. Tradycji musi stać się zadość.

– Przepraszam, czy może mi pan zrobić zdjęcie? – Czyjś głos przywołał Miłosza do teraźniejszości.

– Słucham? A, zdjęcie. Pewnie.

To błahie zdarzenie sprowokowało kolejną falę wspomnień. Oni też prosili wtedy przypadkowego turystę o zrobienie zdjęcia. Tego zdjęcia, które po wyjściu z więzienia znalazł wśród rzeczy spakowanych przez Igora. Powróciło pytanie, kto je zrobił. Pogoda ich wtedy nie rozpieszczała. Na szlaku było niewielu turystów, ale ten szedł z nimi niemal całą drogę. Maszerował chyba w podobnym tempie i spotykali się na postojach. Chyba niewiele rozmawiali. Poprosili go o zrobienie zdjęcia. To wszystko. Coś jednak sprawiało, że Miłosz myślał o nim intensywnie. Miał wrażenie, że jakiś istotny szczegół domaga się uchwycenia, ale mgła niepamięci, która chwilami zdawała się rzednąć, ponownie gęstniała, nie pozwalając niczego dostrzec.

Wracał już po zapadnięciu zmroku. Biesy i Czady zasypiały w swoich kryjówkach, oddając góry w posiadanie nocy. Drzewa, które w promieniach

słońca sprawiały, że Miłosz zastanawiał się, jaki artysta nadał im tak finezyjne kształty, w nocy zamieniały się w upiorne straszdyła. W ich koronach nawoływały puchacze. Zwierzęta spłoszone krokami uchodziły w zarośla, a porywy wiatru utrudniały wędrówkę. Ale Miłosz nie bał się lasu, nie bał się gór. Dużo bardziej nieprzewidywalni byli ludzie.



Wieczorem, tak jak obiecał, zameldował się u Iwony. Jej dom różnił się od chaty pana Józefa. Jasne, surowe współczesne wnętrza ocieplały rzeźby i obrazy bieszczadzkich artystów. Sercem domu był kominek – zaciągnięty gliną i wybielony. To połączenie nowoczesności i tradycji miało swój urok. Wnętrze tchnęło spokojem.

Siedzieli w wygodnych fotelach i pili czerwone wino.

– Miłosz, wiem, że to wszystko bardzo trudne, ale popatrz teraz z innej strony. To, co najgorsze, masz już chyba za sobą – powiedziała, gdy skończył opowiadać, co działo się przez ostatnie lata. – Poza tym wierzę w ciebie, a ja mam nosa do ludzi. Wiem, że sobie z tym poradzisz.

– Skąd ty bierzesz tyle optymizmu? – Miłosz cały czas tkwił w klimacie swojej opowieści.

– Stąd. – Rozejrzała się wokół. – Sam wiesz, jak jest. Tu nie przyjeżdża się po wielkie górskie wyzwania, tylko po moc do życia. Słuchasz strumieni, opowieści wiatru, dajesz się prowadzić naturze, otaczasz się sztuką, tą autentyczną, ludową. Dopiero tu dociera do ciebie, że jak to mówią, na posadzenie jednego tyłka nie trzeba dwóch stołków.

– Jakbym słyszał...

– Pana Józefa? – Uśmiechnęła się życzliwie. – Uwielbiam człowieka. Misja, serce, pozytywna energia, bezinteresowność i ta jego tajemniczość. W dodatku wszystko w zgodzie z imieniem.

– Ty nadal w to wierzysz?

– Jak tu nie wierzyć, gdy wszystko się sprawdza. U ciebie też, więc nie przynieś hańby „Miłoszowi” – zażartowała.

– Że niby co?

– Nieprzeciętny intelekt, ciągle poszukiwanie wiedzy, dociekliwość, działanie. Sukces gwarantowany. Nie udawaj, że tego nie wiesz. – Mrugnęła.

– Wolałbym być dociekliwym inżynierem, bo na tym się znam, a nie detektywem. Żaden ze mnie Poirot.

– Ale to właśnie umysły ścisłe są najlepszymi detektywami. Jedno mnie tylko martwi – powiedziała z udawaną troską. – Z ciebie byłby dobry kandydat na męża, ale jak zapatrzysz się w swojego idola, to nie doświadczysz małżeńskiego życia, a ja, idealna kandydatka na twoją żonę, wpadnę w rozpacz.

– Humor jak zawsze ci dopisuje – stwierdził z uśmiechem i dolał obojgu wina.

– Nie miej mi za złe, że żartuję z twojej sytuacji, ale czasem tak trzeba. Gdybyś jednak poważnie potraktował moją deklarację, to pamiętaj, że nie będę za długo czekać. Nie ryzykuj. Poirot działał Agacie Christie na nerwy i podobno miała wobec niego mordercze zamiary.

– To groźba?

– Skąd. Póki co poczekam, a jak już się uporasz z zagadkami, wtedy ci się przypomnę. Co prawda mam już staropanieńskie nawyki i trudno będzie ze mną wytrzymać, ale coś za coś. – Roześmiali się oboje.

Tego potrzebował. Optymizmu i humoru Iwony oraz bieszczadzkiej mądrości pana Józefa. Kto wie, może przyjedzie tu kiedyś na dłużej.

– Iwona – zaczął poważniej – mam do ciebie prośbę. Mogłabyś mi pokazać dawne kroniki waszego pensjonatu? Szukam śladu pewnego człowieka, a jest cień szansy, że mógł być waszym gościem.

– Kiedy?

– Maj dwa tysiące.

– Dawno. Od tamtego czasu już niejedna kronika została zapisana. Muszę podpytać mamę, gdzie są poprzednie. Ja tu wtedy tylko pomagałam. Mogę też zajrzeć do ksiąg meldunkowych, chociaż nie bardzo wiem, kogo szukać.

– W tym cała trudność. Mógł być w podobnym wieku co my. I właściwie na tym kończy się moja wiedza. Zresztą nawet nie mam pojęcia, po co drążę ten temat. Po prostu męczy mnie to. Nie lubię nie pamiętać. Dotąd kombinuję, aż mi się przypomni.

– Pamiętasz dokładną datę?

– Początek maja, ale na pewno nie długi weekend. Unikaliśmy tego terminu. W okolicy nie było wielu możliwości noclegowych. U pana Józefa się nie zatrzymał, a musiał spać gdzieś tu. Gdybym miał dostęp do jakichś zdjęć, zapisków, to może coś by mi się przypomniało.

– Okej, poszukam. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro rano.

– Przeceniasz mnie, ale jak tylko coś mi się uda znaleźć, dam ci znać. Tylko zamiary zostaw. – Podsunęła Miłoszowi kartkę i długopis.

– Super! Będę czekał.

– Wiem, cierpliwość, w przeciwieństwie do mnie, też odziedziczyłeś wraz z imieniem.



Zaparkował kilkaset metrów od kamienicy. Zerknął na telefon. Rozładowany? To dlatego nie doczekał się wiadomości od Iwony. Zabrał plecak i ruszył w kierunku mieszkania. Krakowski bruk nie mógł się równać z bieszczadzkimi szlakami, ale... „Nie trzeba nigdy za dużo chcieć. Tylko tyle, co w sam raz. Pragnienia nie ugasi, najwyżej się upijesz. Trzeba się umieć w porę zatrzymać”⁴ – przypomniał sobie słowa, którymi pożegnał go pan Józef.

Wszedł do klatki. Gdy był na piętrze, usłyszał pospieszne kroki. Ktoś wszedł w ślad za nim. Nie zdążył zamknąć drzwi, gdy usłyszał pytanie:

– Miłoz Zdebski?

Odwrócił się. Miał przed sobą dwóch rosyłych mężczyzn. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni kurtki czarne etui i machnął nim przed oczyma zaskoczonego Miłozza.

– Krzysztof Sznajder, wydział kryminalny. Jest pan zatrzymany w związku z zaginięciem małoletniego Michała Tomczyka.

– Słucham?!

Bieszczadzki spokój zniknął w ułamku sekundy.

– Ma pan prawo milczeć. Inaczej wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Ma pan też prawo do adwokata.

– To jakiś żart?! Kurwa, co się tutaj dzieje?! Nie wrobiecie mnie kolejny raz! – Zaskoczenie, wściekłość, strach narastały w Miłoszu i groziły wybuchem niekontrolowanej agresji. Wiedział, że musi zrobić wszystko, by wyciszyć emocje. Tylko wtedy będzie mógł racjonalnie myśleć. – Dzwonię do adwokata.

– Bardzo proszę.

Miłosz wyciągnął telefon. Kurwa mać! Zapomniał, że się rozładował. Akurat teraz!

– Muszę najpierw znaleźć numer i skorzystać z waszego telefonu albo podładować swój.

– Może mamy jeszcze popatrzeć, jak bierze pan prysznic i robi sobie kolację?

– Znam swoje prawa. Macie obowiązek umożliwić mi kontakt z adwokatem.

Sznajder popatrzył porozumiewawczo na swojego kolegę i skinął głową.

Miłosz nerwowo przerzucał notes w poszukiwaniu numeru do Igora. Jest! Wyciągnął rękę po telefon. Sznajder podał mu go z niechęcią.

– Słucham – usłyszał w aparacie poważny i stanowczy głos.

– Igor, to ja...

– Gdzie ty, do cholery, jesteś?! Od paru godzin próbuję się z tobą skontaktować. Gliny cię...

– Wiem. Mam gości.

– Syn Kuby zniknął. Mam nadzieję, że na komendzie dowiemy się czegoś więcej. Pamiętaj, tylko nic im nie mów, póki się nie pojawię, i nie stawiaj oporu, bo cię zakują w kajdanki i pokazówka gotowa!

– Dobrze. Przyjedź jak najszybciej. – Rozłączył się.

Chwilę później był w radiowozie.

Tym razem kajdanek mu oszczędzono, ale jego strach i dezorientacja były dokładnie takie same jak po zabójstwie Jakuba. Nie da się spokojnie podejść do własnego aresztowania. Przekonanie o niewinności nie wystarcza, by

potraktować to jak ciekawostkę czy przygodę, która szybko się wyjaśni. Starał się zachować spokój, ale zewnętrzne opanowanie miało się nijak do emocji, wewnętrznego dygotu i galopady myśli. Do tego dochodził niepokój o Ankę i Michała. Co mogło się wydarzyć? I dlaczego Anka do niego nie zadzwoniła? A jeśli miała rację? Jeśli ktoś obserwował ich dom?

Dojechali na miejsce. Za chwilę pojawił się Igor.

– Gdzie pan przebywał w ostatnich dniach? – zaczął Sznajder.

– Pan wybaczy, ale najpierw chcielibyśmy wiedzieć, o co właściwie chodzi – przerwał adwokat.

– Wczoraj rano matka Michała Tomczyka zgłosiła jego zaginięcie. Wyszedł z domu poprzedniego dnia rano i nie wrócił. Sprawdzamy wszystkich, którzy mogą mieć jakikolwiek związek z tą sprawą. Tylko tyle mogę na razie powiedzieć.

– A jaki związek z tą sprawą może mieć mój klient?

– Panie mecenasie... Zatem powtórzę pytanie. Panie Zdebski, gdzie pan był w ostatnich dniach?

– Co pan insynuuje?! To syn mojego przyjaciela...

– Przyjaciela? Co pan powie.

– Zamiast mnie obrażać, zaczynajcie go szukać. Mam nadzieję, że to zniknięcie to tylko efekt młodzieńczego buntu Michała. Jeśli nie, to tracicie bezcenny czas.

– Gdzie pan był i co pan robił przez ostatnie trzy dni? – powtórzył Sznajder podniesionym głosem.

– Byłem w Bieszczadach.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

– Oczywiście, właściciel miejsca noclegowego i jego sąsiadka. Tankowałem w Brzesku i w Komańczy, więc jest jeszcze monitoring.

– No proszę, alibi jak na zawołanie. – Sznajder nie krył ironii.

– To są fakty – odpowiedział Miłosz. Czuł, że teza jest już postawiona, a cel to jak najszybsze jej potwierdzenie.

– Od ustalania faktów jesteśmy my.

– Wiem, jesteście świetni w ich tworzeniu.

– Proszę pana – wtrącił się Igor – mój klient ma niepodważalne alibi. Wystarczy je sprawdzić. Nie widzę potrzeby, by go tu dłużej trzymać. Nie ma podstaw do zatrzymania. Pan pozwoli, że opuścimy komendę.

– Bardzo mi przykro, panie mecenasie, ale pański klient zostanie u nas do czasu potwierdzenia tego, jak to pan nazwał, niepodważalnego alibi. Poza tym nie tylko ono ma tu znaczenie.

– Oszalesiście?! Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Michała! – zawołał Miłosz.

– To się jeszcze okaże.



Miłosz siedział samotnie w zimnej celi. Przez niewielkie zakratowane okno wpadało nagle światło latarni. Gdzieś w oddali toczyło się nocne życie odliczane hejnałem z wieży mariackiej. Struny skrzypiec i wiolonczeli, trącane zwinnymi palcami, uwalniały subtelne dźwięki, które po chwili nikły w ulicznym gwarze. Błyskały flesze, podkowy rytmicznie uderzały o bruk, a smugi świateł wydobywały z murów architektoniczną maestrię. W niebanalnych wnętrzach podawano wykwintne dania i wyszukane desery, serwowano drogie wina, napełniano kufle piwem. Wszystko to tworzyło niepowtarzalny melanz dźwięków, obrazów, smaków i zapachów.

To, czego doświadczał Miłosz, też było niepowtarzalne. Na pewno znaleźliby się tacy, którzy chętnie zapłaciliby za możliwość spędzenia nocy „na dołku”. „Chcesz obudzić się w celi? Zapraszamy! Za jedyne dwieście złotych za dobę możesz przespać się na pryczy, a rano zjeść pajdę chleba i napić się czarnej kawy w egzotycznych warunkach komisariatu. Dla celebrytów – miejsce w celi z nadzorem kamer, dla tych lubiących intymność – bez”.

Miłosza najwyraźniej zaliczono do tej drugiej grupy. Musiał wyglądać na twardego zawodnika, który nie wywinie numeru i nie powiesi się na sznurowadle.

Dania? Nie próbował.

Napoje? Pił tylko wodę.

Zapachy? Zapach stęchlizny bijący od brudnych ścian, smród potu i przetrawionego alkoholu.

Dźwięki? Szczęk otwieranych i zamykanych zasuw, krzyki policjantów, niewybredne przekleństwa prostytutek i filozoficzne dyskusje odurzonych tanimi trunkami stałych bywalców.


Niepowtarzalna mieszanka atrakcji świata, którego oblicze było mu aż nadto znane.

Siedział w bezruchu. Głowę oparł o ścianę i wpatrywał się martwo w jeden punkt. Od czasu do czasu ciężko wzdychał. Statyczność ciała kłóciła się z tym, co się działo w jego głowie. Nie mógł powstrzymać pędzących myśli, nie mógł okiełznać nasuwających się przed oczy obrazów. Miał wrażenie, że wepchnięto go do przedsionka piekła, a przekroczenie jego progu było tylko kwestią czasu. Bał się, że prawda znowu zostanie zakrzyczana, że ugnie się pod naciskiem „niepodważalnych” dowodów. Czy aby udowodnić niewinność, trzeba posłużyć się manipulacją i wykorzystać wszelkie możliwe kruczki prawne? Czy trzeba zrobić wszystko, by prawda coraz bardziej przypominała kłamstwo?

Usiadł na brzegu pryczy. Twarz ukrył w dłoniach. Jego myślami zawładnął chaos. Wściekłość i gorycz utkwily w gardle, zacisnęły żołądek. Strach spiął wszystkie mięśnie. Boże, o co tu, do cholery, chodzi? Teraz, gdy próbował na nowo poskładać życie, Bóg zaserwował mu nowe doświadczenia. Po raz kolejny chciał mu wszystko odebrać? Przecież nie jest Hiobem! A Anka? Ile ona może jeszcze znieść? Śmierć męża to za mało? Trzeba było jeszcze odebrać jej syna?! I co właściwie się z nim dzieje?

Wstał i zaczął nerwowo chodzić po celi, próbując rozluźnić mięśnie. Trzydziestą drugą godzinę czekał na decyzję, która powinna być całkowicie oczywista – brak podstaw do zastosowania aresztu tymczasowego. Ale doświadczenie nauczyło go, że to, co oczywiste, bywa złudne. Na szczęście poza zapisami z monitoringu o tym, że przebywał poza Krakowem, mogli jeszcze zaświadczyć pan Józef i Iwona. Miłosz nie chciał mieszać ich w tę historię, ale nie miał wyjścia. Ich zeznania mogły być kluczowe, szczególnie w sytuacji, gdy sam wepchnął w ręce policji obciążający go ślad.

Nagle usłyszał szczęk przekręcanego klucza. Zasuwa odsunęła się z impetem. W drzwiach stanął Sznajder. Miłosz zastygł w oczekiwaniu.



Odebrał swoje rzeczy i odpis protokołu zatrzymania. Włożył kurtkę i odprowadzany nieufnym wzrokiem Sznajdera opuścił komendę. Prawdziwą ulgę poczuł dopiero wtedy, gdy wszedł do samochodu Igora. Trzydzieści dwie godziny to niewiele w porównaniu z tym, co przesiedział, ale wystarczająco dużo, by dokładnie przypomnieć sobie, co to znaczy. Na szczęście to już za nim. Radość z tego, że prawda tym razem zwyciężyła, mącił jednak narastający niepokój o Michała, o którym nadal nic nie było wiadomo, i o Ankę.

– Miłosz, uważaj – zaczął Igor, gdy ruszyli. – Zrobiło się niebezpiecznie. Wygląda na to, że chłopak naprawdę zaginął, i jeśli Anka ma rację, jeśli ta informacja o obserwowaniu domu teraz i kiedyś nie jest tylko wynikiem jej hysterii, to może się okazać, że sprawa Kuby wróciła.

– Wiem, że to nie wygląda dobrze.

– Oni najwyraźniej są tego samego zdania, bo działają wyjątkowo szybko. Z reguły nie spieszą się tak z gromadzeniem dowodów i sprawdzaniem alibi.

– Gdybyś siedział na dołku, to nie miałbyś poczucia, że tak szybko pracują.

– Wierz mi, tempo imponujące. I, na Boga, następnym razem zastanów się, zanim zrobisz jakikolwiek ruch. Gdybyś nie plątał się w okolicach ich domu, gdybyś nie łąził do tej śniadaniowni...

– To co? Myślisz, że nie przyszłoby im do głowy, że to ja stoję za zniknięciem? Przecież oni poszli tam od razu z moim zdjęciem. To nie był przypadek. Ja po prostu jestem pierwszy w kolejce do pierdła, cokolwiek by się działo w tej sprawie.

– To niestety tak działa. Wszedłeś i zaczęły się problemy. Takie tropy zawsze sprawdza się na początku. Ale ty podrzuciłeś im poszlakę, która miała szansę stać się dowodem w sprawie. Masz szczęście, że do tego nie doszło.

– Moje największe szczęście polega na tym, że mnie tu nie było.

– Racja. Łażenie po górach to nie moja bajka, ale tym razem muszę przyznać, że ten wyjazd to był świetny pomysł.

Miłosz się zamyślił. Wyobraził sobie pana Józefa i Iwonę w zdumieniu odpowiadających na pytania policjantów. Miał wyrzuty sumienia, że zaburzył

idealną harmonię ich świata, że zasiał niepokój tam, gdzie wszyscy jeździli, by się go pozbyć.

– I jeszcze jedno – ciągnął Igor. – Sznajder ci nie ufa. Nie zdziwię się, jeśli będziesz miał opiekę. Ale w tej sytuacji to może nawet i lepiej.

– Prywatny ochroniarz? Bardzo dziękuję. – W głosie Miłosza dało się wyczuć złośliwość.

– W każdym razie uważaj na siebie i dzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

Igor zatrzymał się przed kamienicą. Pożegnali się. Miłosz chciał być jak najszybciej w domu. Gdy wchodził na piętro, usłyszał skrzypnięcie drzwi. Ostatnie wydarzenia nie pozwoliły mu zignorować tego dźwięku. Odwrócił się. Na parterze, w uchylonych drzwiach zabezpieczonych łańcuchem, zobaczył zaniepokojoną twarz pani Basieńki.

– Dobry wieczór, pani Basiu.

– O, to pan, dobry wieczór – odpowiedziała szeptem. – Martwiliśmy się o pana. Dobrze, że pan wrócił. Tylko dlaczego tak po nocy? – zapytała, kręcąc upominająco głową. Zaraz po tym zamknęła drzwi.

– Dobranoc – powiedział, choć nie mogła go usłyszeć.

Świadomość, że ktoś się o niego martwił, sprawiła mu nieukrywaną przyjemność. Prywatny ochroniarz i babcia w jednym, pomyślał.

Wszedł do mieszkania i choć nie należało do niego, poczuł, że jest u siebie. Jak dobrze mieć miejsce, do którego można wrócić. Jak dobrze doświadczyć spokoju emanującego z tego wnętrza – z siły i stałości dębowych mebli i subtelności ściennych makatek łączących prostotę z artystem. Niczym mieszkający tu kiedyś staruszkowie, zdawały się mówić: „Odpocznij. Zadbaj o siebie. Nie działaj w pośpiechu. Zdażysz”. W ciągu tych kilku tygodni, które minęły od wyjścia z więzienia, Miłosz rozpakował część kartonowych pudeł. Stopniowo wypełnił swoimi rzeczami wnętrze szafy, uwolnił książki, ustawiając je na półkach, pozwolił rodzinnym pamiątkom zaistnieć na nowo. Tak nienachalnie, po trochu. Z obowiązku, praktyczności, ale i potrzeby zbratania się z miejscem, czasem i samym sobą. Dzięki temu udało mu się osiągnąć swoistą symbiozę między tym, co minęło, a tym, co trwa. W tym osobliwym sanatorium pod klepsydrą po zamknięciu drzwi i założeniu staromodnego łańcucha świat zewnętrzny miał szansę zniknąć, by kuracjusz mógł nabrać sił do kolejnej potyczki z nieprzewidywalnością mającego nadejść dnia.

Wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Jaka cisza. Jakby wszystko wokół zamarło. Kraków spał. Wyjątkowo mocno spał. Cisza przed burzą. Księżyc oświetlał dachy kamienic, docierał do odsłoniętych uliczek, bawił się cieniami. Jaki złudny może być ten spokój nocy. Co ukrywał? W tym samym momencie, gdy jedni bawili się, śmiali, pili, inni płakali, bali się, nie radzili sobie z życiem. Złodzieje szukali okazji, mordercy ofiary. Gdzieś był też Michał i jego rozdygotana niepokojem matka. A wszystko pod osłoną tej samej nocy, w świetle tego samego księżyca. Zgasił niedopałek i wrócił do mieszkania, które kusilo go swoim spokojem. Chętnie poddałby się jego magii, ale plecak rzucony gwałtownie w progu kilkadziesiąt godzin wcześniej, niedające się uciszyć hałaśliwe myśli i wciąż dręczący go niepokój domagały się działania.

Podłączył telefon i uruchomił laptop. Od kilku dni był odcięty od informacji i możliwości kontaktu. Miał nadzieję, że Anka, mimo niekorzystnego dla niego obrotu spraw, próbowała się z nim skontaktować, i to połączenia od niej były dla niego najważniejsze. Tymczasem wyświetliły się cztery esemesy informujące o niezrealizowanych połączeniach od Iwony. Nic dziwnego, policja w progu to niecodzienny widok. A może znalazła coś w sprawie nieznanego? Oddzwoni do niej w wolnej chwili. Ktoś jeszcze? Igor i Sęp. Połączenia od Igora nie były zaskoczeniem, ale Sęp? Cholera! Na pewno już wiedział o zatrzymaniu. Oby nie próbował znowu działać w znanym sobie stylu. A może w mediach już krążą jakieś sensacyjne informacje?! Włączył telewizor i zaczął nerwowo przeglądać kanały. Cisza. Żadnych gorących newsów, przynajmniej na jego temat. Może policja zadbała, by nie nagłaśniano sprawy? Oby. W przeciwnym razie nie miał po co wychodzić z domu.

Znowu zerknął na wyświetlacz. Jest! Anka jednak dzwoniła. Kiedy? Zaraz po tym, jak wyruszył w góry. Jak to możliwe, że się nie zorientował?! No tak, wieczorem po przyjeździe do pana Józefa wyciszył telefon. Dzwoniła o szóstej trzydzieści cztery kolejnego dnia, czyli prawdopodobnie tuż przed zgłoszeniem zaginięcia Michała. Potrzebowała pomocy, a on w tym czasie laził sobie po górach. Szlag by to trafił! Zapomniał o telefonie, o jego sprawdzaniu, ładowaniu. Skutecznie odciął się od krakowskiego życia i teraz tego żałował. Później już nie dzwoniła. Policja najpewniej przekazała jej swoją wersję zdarzeń. Może powinien zadzwonić? Nie, teraz pewnie śpi. Zadzwoni rano. Świat za dnia wydaje się zawsze przyjaźniejszy.

Podszedł do laptopa i włączył pocztę. Oczy zmęczone wielogodzinnym czuwaniem z trudem śledziły rzędkie rozmazujących się liter. Już miał zamknąć komputer, gdy pośród nic nieznaczących maili wypatrzył znajomego nadawcę. Ostrość widzenia wróciła.



Nocną ciszę martwego domu zmaćił nagły hałas. Michał?! Anka zerwała się i pobiegła do drzwi. Nie. Podmuch wiatru znowu wywrócił ogrodowy fotel. Przejmujący chłód nocy wtargnął do środka. Zamknęła drzwi i wróciła do salonu. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy, ból kurczący mięśnie twarzy – każdy, kto by ją teraz zobaczył, nie miałby wątpliwości, że w życiu tej kruchej kobiety rozgrywa się dramat. Była jak w letargu. Ponownie sprawdziła telefon, choć wiedziała, że nie dzwonił. Z jednej strony oczekiwała na jego dźwięk, licząc na to, że w słuchawce usłyszy syna. Z drugiej wiedziała, że nie musi to być on, a informacja, którą otrzyma, może być druzgocąca. Owinęła się kocem, by poczuć ciepło wspierających ramion, których od dawna nie było. Skulona, usiadła na kanapie. Może jednak nie powinna być sama? Może trzeba było się zgodzić, żeby Beata, kuzynka Kuby, została na noc. Problem w tym, że jak tylko ktoś przychodził, chciała, by jak najszybciej wyszedł i dał jej spokój. Bo o czym tu mówić? Udawać, że się świetnie trzyma? Chociaż, gdy była sama, oczekiwała, że ktoś się pojawi, wypełni ciszę i zajmie jej myśli. Emocjonalny paradoks zdruzgotanego człowieka.

Nie o siebie się bała. Zresztą Sznajder zapewnił, że będą mieli oko na dom. Kazał tylko zamknąć na klucz furtkę i zabezpieczyć bramę. Ale ze strachem o Michała zupełnie sobie nie radziła.

Jej wzrok zawisł na smudze księżycowego światła przenikającego przez delikatne zasłony. Kiedyś lubiła patrzeć na rozgwieżdżone niebo i księżyc. Ale od kilku dni stał się symbolem samotności i strachu. Jasnowidza, który pod osłoną nocy zdradza najczarniejsze scenariusze. Gdy tylko oczy przymykały jej się ze zmęczenia, a pod powiekami pojawiały się przerażające obrazy, nadzieja kazała je natychmiast otworzyć i szukać promiennego uśmiechu zafascynowanego żeglarską wyprawą Michała. Takie bowiem zdjęcie pojawiło

się na plakatach, które Maks wraz z kolegami rozwiesili w całym Krakowie. Najbardziej aktualne, a jednocześnie skrzętnie ukrywane. Zrobili je w minione wakacje na obozie żeglarskim. Michał miał być u dziadków Maksa. Tymczasem na zdjęciu stał na żagłówce w żółtym sztormiaku, a jego opaloną, radosną twarz smagał wiatr. Boże, kiedy ostatnio widziała go tak szczęśliwego? Nie potrafiła się teraz złościć, że ją oszukał. Czy gdyby powiedział, że chce jechać, pozwoliłaby? Nawet nie próbował, bo wiedział, co mu odpowie. Góry były dla niej czymś oczywistym, a żagle – niepotrzebnym ryzykiem. To ciągle szukanie w Michale cech ojca, jego fascynacji, zdolności, było nie tylko obsesją Heleny. Ona robiła to samo. Ale koniec z tym. Niech tylko wróci, a wszystko poukładają na nowo. Niech tylko wróci... Nie zniesie dłużej tego otepiałego strachu i bezradności. Nie zniesie tej wewnętrznej emocjonalnej samotności. Cóż z tego, że wokół byli ludzie, którzy chcieli pomóc. Ciało można przytulić, objąć ramieniem, otoczyć aurą słów, ale dusza spękana niczym wysuszona ziemia potrzebuje znacznie więcej. Tymczasem pojawiały się kolejne problemy. Miłosz nie odbierał telefonu, nie oddzwonił, a potem ta informacja o śniadaniowni i jego zniknięciu. Wprawdzie powiedział jej, że przez ostatnie dni obserwował dom, zresztą była mu za to wdzięczna, ale o tym, że robił to wcześniej, już nie wspomniał. Czyżby okazała się aż tak naiwna? Nie chciała tak myśleć, bo to sprawiało jej jeszcze większy ból, ale jeśli to prawda, to do końca życia nie daruje sobie, że się z nim spotkała. Dobrze, że Helena nie wiedziała ani o wyjściu Miłosza z więzienia, ani o zniknięciu Michała. Leżała w szpitalu i dochodziła do siebie po niedawnym udarze. Ankę w opiece nad nią wyręczała Beata. Na wypadek pytań miała przygotowaną dla Heleny bajeczkę o skręconej nodze, która uniemożliwia Ance przyjscie. A zanim wróci ze szpitala, Michał na pewno się znajdzie. Innego scenariusza nie ma! Rozumiesz, Boże?! Nie ma!

Wstała. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Chodziła od okna do okna w nadziei, że za chwilę pojawi się Michał. Stanie w drzwiach, przeprosi, powie, że to był tylko głupi wybryk, że więcej nie ucieknie. Jednocześnie miała świadomość, że gdyby to była tylko ucieczka, Maks wiedziałby o tym, a co za tym idzie, nie zdradziłby wakacyjnej tajemnicy, nie angażowałby się tak mocno w poszukiwania.

Wiatr wzmógł się nagle. Gałęzie świerku uderzały o dach poruszane gwałtownie silnymi porywami. Księżycowy blask przysłoniły gęste chmury. Drobną deszcz w jednej chwili zamienił się w ulewę. Dudnił o dach niczym rozsypywany garściami groch. Głośne pomruki, błyski przeszywające niebo

sprawiwały, że niepokój Anki narastał. Jeszcze intensywniej wpatrywała się w ulicę i ogród. Nagle go zobaczyła. Znowu tam był i patrzył w stronę domu. Zrzuciła koc. Otworzyła drzwi na taras i wybiegła na zewnątrz.

– Kim jesteś?! Gdzie jest Michał?! – krzyczała. Nagle po całej przestrzeni ogrodu rozlał się błysk przypieczętowany przerażającym hukiem uderzającego gdzieś blisko pioruna. Powietrze zadrżało. Pobiegła w kierunku bramy. Bose stopy zapadały się w nasiąkniętej ziemi, nieskoszona trawa utrudniała poruszanie. Wywróciła się, raniąc kolana i dłonie o rozsypane na ścieżce kamienie. Zerwała się. Nie zważała na deszcz. Nie czuła bólu. Odgarniała mokre włosy i biegła dalej.

Dotarła do furtki. Chciała ją otworzyć. Zamknięta! Złapała się kurczowo prętów i zaczęła szarpać.

– Kim ty jesteś?! Dlaczego nas prześladujesz?! Stój!

W poczuciu bezradności osunęła się na ziemię. Powietrze przeszył kolejny huk, ale nie był w stanie zagłuszyć krzyku, który wydobył się z jej gardła.

Ktoś przeskoczył przez bramę.

– Pani Aniu, pomogę pani, pójdziemy do domu. Jest zimno, musi się pani ogrzać i wysuszyć.

– Nie! – krzyczała, szarpiąc się z sąsiadem. – Niech pan za nim biegnie! To on!

– Za kim? O kim pani mówi? Tu nikogo nie ma. Chodźmy do domu.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jak to?! Przecież tam był! Widziała go dokładnie. To był na pewno on. Trzeba go gonić. To był on.



Zatrzaśnięcie drzwi. Zdecydowane przesunięcie rygla. Szczęk klucza.

Miłosz zerwał się i usiadł na brzegu łóżka. Strzępy snu dźwięczały w uszach podbijane jazgotem budzika. Co za kretyn nastawia ten stary rupieć zamiast spokojnego dzwonka w telefonie! Jakby mało mu było wrażeń! Zapalił papierosa. Mocne zaciągnięcie się dymem, a potem powolny wydech –

ta chwila papierosowej celebry tworzyła iluzję spokoju. Areszt, późny powrót, mail, gwałtowna burza i nadmiar emocji – to wszystko nie pozwalało mu zasnąć, a gdy zmęczenie zawładnęło ciałem, umysł nadal mierzył się z codziennością w sennych koszmarach. Do tego nie da się przywyknąć. Na szczęście ten dzień miał szansę przynieść coś przełomowego. Odebrany w nocy mail informował, że w Biurze Ekspertyz Sądowych czeka na niego analiza nagrania z monitoringu. Może dzięki nowoczesnym technologiom udało się wychwycić jakiś szczegół, który, kiedyś niezauważony, stanie się nowym tropem? Niezależnie od wyniku chciał jak najszybciej znać treść analizy. Jeśli Anka się nie myli, jeśli obserwacja domu kiedyś i teraz jest faktem, to znaczy, że przeszłość osaczyła teraźniejszość bardziej, niż myślał. Nie było na co czekać. Wziął szybki prysznic, wypił kilka łyków herbaty i gnany potrzebą uzyskania informacji, wybiegł z mieszkania. Na schodach pomyślał jeszcze o telefonie do Anki, ale na razie się wstrzymał. Może po wyjściu z biura będzie mógł powiedzieć jej coś więcej, zamiast znowu się usprawiedliwiać.

Już miał wyjść z kamienicy, gdy przypomniał sobie ostrzeżenie Igora. A jeśli Sznajder faktycznie zapewnił mu opiekę? Nie chciał, by wiedzieli, dokąd się wybiera. Cofnął się i po raz pierwszy od zamieszkania tutaj uważnie obejrzał klatkę. Za schodami, w ukrytym przed wścibskimi oczyma zaułku, dostrzegł drzwi. Za nimi znajdowało się niewielkie, otoczone murem podwórko. Pustą, martwą przestrzeń ożywiały tylko przytulony do omszałych cegieł stary dąb – schorowany świadek dawnej świetności, samotnik łaknący słońca i powietrza. Jakże był mu bliski. Gdyby Miłosz trafił w to miejsce jako dziecko, uznałby tę przestrzeń za raj dla wyobraźni, scenę, na której mogą rozgrywać się najwymyślniejsze spektakle. Ale teraz, zanurzony po uszy w nieprzewidywalnej rzeczywistości, potrzebował jak najszybciej się stąd wydostać. Ostrożnie wspiął się na drzewo i przeskoczył na kolejne podwórko, zupełnie różne od sąsiedniego – obsadzone krzewami, bluszczem, kwitnące jesiennymi barwami astrów i wypełnione dziecięcymi zabawkami. Tylko pięćdziesiąt centymetrów muru, a dwa różne światy. Pięćdziesiąt centymetrów do szczęścia. Ciekawe jak gruby mur będzie musiał jeszcze pokonać, by móc rozpocząć nowy, nieobarczony cudzą winą etap w swoim życiu.

Pospiesznie, by uniknąć ciekawskich spojrzeń i mogących się zrodzić podejrzeń, przemknął przez podwórze i wyszedł na ulicę. Rozejrzał się uważnie, jednocześnie pamiętając, by nie zwracać na siebie uwagi przesadną ostrożnością. Jeśli ktoś obserwował jego mieszkanie, to tym razem udało się

go przechytryć. Satysfakcja nie trwała jednak długo. Miłosz uświadomił sobie, że gdy wrócił z Bieszczadów, zmęczenie kazało mu zaparkować samochód nie na oddalonym kilka przecznic parkingu, ale obok klatki schodowej. Trudno, będzie musiał sobie poradzić bez samochodu.

Ruszył w kierunku postoju taksówek. Mijając kiosk z gazetami, z niepokojem zerknął na tytuły prasowe. Afera w Wiśle Kraków, alkoholowe sensacje na zgrupowaniu kadry narodowej i oskarżenie o molestowanie na jednym z uniwersytetów – tym zajmowały się redakcje regionalnych i krajowych dzienników. Oby tak dalej. Dziennikarze nasyceni różnorodnością i urodzajem tematów nie szukają na siłę innych. Spokojny o niepotrzebną sławę dotarł na miejsce. Otworzył drzwi taksówki.

– Pan wolny?

– Nie, żonaty, ale mogę zawieźć do chaty.

Miłosz uśmiechnął się i wszedł. Znał to powiedzenie. Starszy mężczyzna ze śmiesznie wywiniętymi wąsami zdawał się przeniesionym z początku dwudziestego wieku fiakrem. Wystarczyłoby mu nałożyć cylinder albo przynajmniej melonik i pasowałby do dorożki. Stąd to powitanie, które krakusom mogło kojarzyć się tylko z jedną osobą – Janem Kaczarą, a Miłoszowi z teatrem i *Zaczarowaną dorożką*. Dobry początek tej ważnej podróży.

– Do biurowca przy Opolskiej poproszę.

– Robi się.

Sprawnie wjechali na obwodnicę. Na moście Dębnickim nie było tłoku, więc płynnie przemknęli przez Wisłę, ale w alei Mickiewicza, na wysokości Biblioteki Jagiellońskiej, stanęli w korku.

– Widzisz pan, stara się człowiek dogodzić klientowi, dowieźć jak najszybciej na miejsce i czasu nie tracić, ale korka nie przeskoczy. Odstać swoje trzeba. O, widzisz pan? Zielone mamy, a jechać nie da rady. Ludzie po dwa albo i trzy samochody kupują, to i potem, panie, te samochody się na ulicach nie mieszczą, o parkowaniu już nie wspomnę. A jeszcze turystów tylu. Nie powiem, zarobić się da, bo oni miasta nie znają, to i chętnie taksówkami jeżdżą – przerwał i popatrzył w lusterko. – A pan szanowny to przyjezdny czy swój? Bo mnie się zdaje, że ja szanownego pana już gdzieś widziałem.

Miłosz zamarł. Czyżby ten sympatycznie wyglądający kierowca miał być właśnie tym, kto pierwszy go rozpozna? Właściwie należało się spodziewać,

że kiedyś to nastąpi. Starał się zachować spokój, choć kierowca nadal wpatrywał się w jego odbicie w lusterku.

– Przyjezdny – odpowiedział spokojnie wbrew wewnętrznemu głosowi. Wymówienie tego jednego prostego słowa kosztowało go wiele wysiłku.

– Tak? A skąd, jeśli można spytać? Wie pan, wnuczka zbiera autografy, a ja jej w tym pomagam. – Nachylił się do schowka, wyciągnął gruby brulion w twardej oprawie i podał Miłoszowi. – Zdziwi się pan, kogo ja tu wozilem.

Miłosz wziął brulion do ręki i zaczął bezmyślnie przekładać kartki. Autograf?! Wpadł w panikę, był o krok od histerycznego przyznania się do narzuconej mu tożsamości bandyty, a chodziło tylko o autograf?! No to wnusia nie byłaby tym razem zadowolona.

– Widzę, że i na panu ten zestaw robi wrażenie. Kiedyś to ja nawet Holoubka wiozłem. Dawno to było. Wnuczki jeszcze nie miałem, ale dla siebie też czasem poprosiłem o autograf. Na widokówce z Wawelem się podpisał. I Hajduczek też. Znaczy Zawadzka. Ja to się nawet w niej kiedyś kochałem. Piękne to były czasy. – Ponownie z uwagą przyjrzał się Miłoszowi. – Pan wybaczy, ale coś mi mówi, że ja pana jednak znam. Może pan jest jakimś aktorem?

Miłosz pokręcił głową.

– A może z reklamy?

Zaprzeczył.

– To może chociaż dziennikarzem? Albo politykiem? – Kierowca nie odpuszczał, ale na Miłoszu nie robiło to już wrażenia. Zrozumiał, że każdy klient stawał się w jego oczach potencjalnym darczyńcą podpisu, którego wartość mierzyła się uściskami wnuczki. Nie było czego się obawiać.

Ruszyli. Kierowca zagadywał jeszcze o tym i owym, ale Miłosz ograniczył się tylko do kiwania głową i pomruków udawanego zrozumienia. Myślał o sytuacji, w której się znalazł. Nie ma nerwów ze stali jak prawdziwi mordercy, z którymi spotkał się w więzieniu. Grał jednego z nich, by przetrwać. Anonimowy reżyser, którego chciał za wszelką cenę poznać, wmanewrował go w ten scenariusz i robiące wrażenie honorarium. Szkoda tylko, że on się na tę rolę i honorarium nie zgadzał. Co miałyby powiedzieć kierowcy, gdyby ten go rozpoznał? Jak miałyby się tłumaczyć? Powiedzieć, jak było naprawdę? Sęk w tym, że sam nadal tego nie wiedział. Dodatkowo sprawę komplikowało zniknięcie Michała i związane z nim aresztowanie.

Dotarli na miejsce. Miłosz wysiadł. Zanim zatrzasnął drzwi, musiał jeszcze obiecać, że będzie polecał tę taksówkę wszystkim tym, których rozpoznawalność gwarantowała kolejny autograf. Sobie też coś obiecał – nigdy więcej wypraw cudzym autem.

Popatrzył na okazały biurowiec, w którego grafitowych szybach odbijało się jesienne słońce. Oby jego marzenie o dowiedzeniu się prawdy stało się faktem. Wszedł do środka i ruszył do windy. W pół drogi zatrzymał go kobiecy głos.

– Dzień dobry, pan w jakiej sprawie?

Odwrócił się. Stojąca za kontuarem młoda kobieta w eleganckiej garsonce przywitała go życzliwym uśmiechem. Tuż za nią przy komputerach siedziało kilku mężczyzn wpatrzonych w monitory.

– Dzień dobry. Ja do Biura Ekspertyz Sądowych.

– Bardzo proszę, siódme piętro, winda po lewej stronie.

– Tak, tak, wiem. Dziękuję.

Gdy przyjechał tu pierwszy raz, zdziwiła go ta kurtuazja i konieczność informowania, dokąd się udaje. Ale prawdę mówiąc, gdyby w Orlim Gnieździe tak właśnie to wyglądało, wiadomo by było, kto wchodził do budynku, co mówił, gdzie się udawał. O ile łatwiej byłoby ustalić, co się wtedy wydarzyło.

Wjechał na siódme piętro. Za przeszkloną ścianą zobaczył znajome wnętrze. Nacisnął guzik interkomu. Przedstawił się i wyjaśnił cel wizyty. Dopiero wtedy odblokowano drzwi. Nie dziwiły go te procedury bezpieczeństwa. Tu ważyły się losy wielu śledztw, tu ludzie otrzymywali nadzieję lub byli jej pozbawiani.

*JESTEŚMY, BO PRAWDA NIE OBRONI SIĘ SAMA...*⁵ – przywitało Miłosza motto firmy umieszczone na wprost wejścia.

Gdy przeczytał to zdanie po raz pierwszy, wiedział, że dobrze trafił. Podczas procesu prawda odważnie stanęła na barykadzie, prosząc o wysłuchanie, nawołując do rozsądku, ale wobec siły przeciwnika była bezbronna. Poległa poniżona, zakrzyczana, a wreszcie naznaczona piętnem kłamcy. Nie była w stanie się obronić. Wymiar sprawiedliwości pozostał na nią nieczuły. Może obroni się teraz?

Miłosz był pewien, że jeśli ktoś jest w stanie dostrzec na zapisie z kamery coś istotnego, to właśnie oni. Nowoczesność, rzeczowość, widoczna od progu

dbałość o bezpieczeństwo pracowników i powierzonych im materiałów, kilkunastoletnie doświadczenie, a także status prywatnej firmy, niezależnej od polityki czy organów ścigania – to wszystko sprawiło, że im zaufał.

– Trzeba chwilę poczekać, proszę usiąść. Chciałby się pan czegoś napić? Kawy, herbaty?

Sekretarka zadbała, by dobre wrażenie trwało nadal. Miłosz był wdzięczny za te drobne gesty. Nie mogły uspokoić jego narastającego zdenerwowania, ale sprawiały, że czuł się otoczony opieką.

– Wody, jeśli można.

– Bardzo proszę.

Klienci Ultrasonu chwalili kiedyś to profesjonalnie przyjazne przedpole, jakim był sekretariat. Marta potrafiła z dystansem, a jednak uprzejmie, bez zbędnych żartów i nachalnego nagabywania sprawić, by klienci czuli się komfortowo i otrzymali niezbędne informacje. Marta... To wspomnienie sprawiło Miłoszowi przyjemność i zapełniło myśli, dając odpocząć emocjom przed wyrokiem. Tak, to miał być wyrok, ułaskawiający albo skazujący na długie, być może bezowocne poszukiwania.

Do sekretariatu wszedł Mateusz Berg – prezes firmy. Ubrany ze sportową elegancją łączącą wygodę z szacunkiem do klienta już podczas pierwszego spotkania zrobił na Miłoszu bardzo dobre wrażenie, które potwierdziła rzeczowa i życzliwa rozmowa. To on, jako specjalista i biegły sądowy wydający opinie w zakresie badań monitoringu, zajmował się ekspertyzą.

– Dzień dobry. Proszę wybaczyć to drobne opóźnienie. Dużo pracy – powiedział. Uścisk dłoni przypieczętował powitanie. – Zapraszam.

Weszli do laboratorium informatyki śledczej i monitoringu. Profesjonalny sprzęt i najlepsze dostępne oprogramowanie graficzne i wideo gwarantowały, jak zapewniał Berg, gruntowną analizę materiału i wiarygodność badania.

– Zanim przekażę panu ekspertyzę, chciałbym, żeby pan coś zobaczył.

Usiedli przy stanowisku dowodzenia – tak swoje miejsce pracy nazywał Berg.

– Ten materiał, który pan dostarczył, to zapis samego obrazu. To, co poddaje się analizie, to kopia zapisu z rejestratora. Póki nagranie jest na rejestratorze, jakakolwiek ingerencja jest niemożliwa. Materiał zgrany bezpośrednio z niego na nośnik musi być zatem integralną całością. I taka całość powinna trafić do sądu jako dowód w sprawie, a wcześniej do biegłego.

Według tego nagrania to pan wchodzi ostatni do biura i pozostaje tam do przyjazdu karetki. Jest to oczywiste dla każdego, kto ogląda zapis na ogólnie dostępnym sprzęcie, a takim dysponowały i dysponują nadal prokuratura i sąd. Analizowaliśmy to nagranie kilkakrotnie. Kilka par oczu śledziło ten zapis i jego parametry. Proszę popatrzeć. Chodzi o datę i godzinę na dole ekranu. Przesunę nieco zapis. Proszę się uważnie przyjrzeć. Teraz.

– Drgnęła?

– No właśnie. Jest godzina siedemnasta dwadzieścia cztery, gdy drga po raz pierwszy. – Przesunął kursorem nagranie. – A teraz proszę – siedemnasta pięćdziesiąt pięć i drga po raz drugi.

– No tak, ale to może wynikać z jakości nagrania.

– Może, ale nie w tym przypadku. Ten fragment nagrania – trzydzieści jeden minut – został wycięty i zastąpiony innym. Widzi pan, tu wystarczy jeden piksel przesunięcia, niby nic, a jednak da się to wychwycić. Oczywiście ktoś mógłby próbować to podważyć, na przykład chwilowymi problemami rejestratora, ale to da się potwierdzić jeszcze inaczej.

– Czy ja dobrze rozumiem? Według pana nagranie jest sfalszowane?!

– Tak, bez cienia wątpliwości. Pan pojawia się w biurze kilka minut po drugim drganiu.

Miłosz nie dowierzał. Liczył na cudem ocalały ślad, choćby drobnostkę, cokolwiek, co pozwoli ruszyć z miejsca, a otrzymał jakby główną wygraną w totolotka – tak muszą się czuć ci, którzy wygrywają miliony. W jego przypadku ta wygrana stanowiła, tak przynajmniej sądził, procesowe trzęsienie ziemi.

– Ktoś pracował bardzo umiejętnie – kontynuował Berg – ale prawdopodobnie w pośpiechu, więc nie dopilnował szczegółów. Proszę popatrzeć na większym kontraście. Tego nie zauważył ktoś, kto tylko przegląda nagranie i ufa, zresztą nie bez powodu, ekspertyzie. Mamy do czynienia z ułamkami sekund. Wystarczy w tym czasie mrugnąć i niczego nie zauważymy. Chodzi o kąt padania światła. O tutaj. Widzi pan? I dzieje się to dokładnie wtedy, gdy drży napis. Ktoś wmontował tu fragment nagrania zrobionego innego dnia, o innej porze albo przy innej pogodzie, licząc na to, że nikt się tego nie dopatrzy. Sądząc po pana doświadczeniach, nie mylił się.

– Ale jak to się, do cholery, stało, że nikt tego wcześniej nie zauważył?!

Berg rozłożył ręce.

Miłosz wstał, zaczął nerwowo chodzić po pokoju, z niedowierzaniem kręcił głową. Euforia ustąpiła miejsca wściekłości. Jak to możliwe, że najważniejszym dowodem było coś, co nigdy nie powinno się nim stać, w każdym razie nie w jego sprawie. Przecież to się nie trzyma kupy. Wygląda jak ponury żart. Wszyscy dali się nabrać na nagraniowy bubel?! Dlaczego tak łatwo poszło? I kto za tym stoi? Ktoś mocno się zaangażował, żeby sprawy potoczyły się w wiadomy sposób.

– Myśli pan, że biegły robiący pierwszą ekspertyzę tego nie zauważył?

– Szczerze mówiąc, wydaje się to mało prawdopodobne. Kamera całkiem dobra. Rejestrator nieobciążony dużą liczbą kamer, więc i jakość nagrania w porządku, choć to piętnaście lat wstecz. Wszystko zależy od umiejętności, doświadczenia, sprzętu, ale jeśli ktoś zostaje biegłym, to znaczy, że ma w danym zakresie wiedzę i umiejętności na najwyższym poziomie. Nie może też być wobec niego jakichkolwiek podejrzeń o stronniczość czy nierzetelność – taki moralny kodeks biegłych. Tak jest przynajmniej w teorii. Jednak nie mnie wyrokować. Nasze zadanie to rzetelna ocena materiału i jego integralności.

– Rozumiem, oczywiście.

– A wracając do nagrania, mam dla pana coś jeszcze. To nie jest jakaś techniczna rewelacja. Ktoś powiedziałby, że banał, ale z procesowego punktu widzenia szczególnie nie do podważenia. Taki, który najbardziej zadziała na tych, którzy nie znają się na technice i nic im nie mówią fachowe sformułowania. To też po raz kolejny potwierdza pośpiech podczas przeróbek. Chodzi cały czas o moment drgania, ale interesuje nas konkretne miejsce – koniec korytarza. Poprawiliśmy jakość, żeby było to jeszcze bardziej widoczne. Na ekranie widzi pan teraz dwie następujące po sobie klatki. Przed drganiem i po nim. Oczywiście pracujemy na dużym zbliżeniu. To trochę zabawa w szukanie różnic między obrazkami. Zauważa pan coś?

– Prawdę mówiąc, nie.

– Proszę zerknąć tu i tu. – Berg wskazywał kursorem odpowiednie miejsca.

– O cholera! W życiu nie pomyślałbym, że to może kiedyś okazać się kluczowe.

– Wszystko czarno na białym.

– Chyba winien jestem komuś podziękowanie za to, że dbał o takie szczegóły.

– Najwyraźniej.

Miłosz poczuł, że wstępują w niego nowe siły. Świadomość jednoznaczności ekspertyzy sprawiała, że rosła w nim pewność siebie.

– Nie wiem, jak panu dziękować.

– Faktura w sekretariacie – zaśmiał się Berg.

– Lepiej nie mógłbym zainwestować swoich pieniędzy.

– Zdaję sobie sprawę, że to może być przełom w pana sprawie. Szczerze mówiąc, sami byliśmy zaskoczeni. Rzadko zdarza się, by nasza ekspertyza tak odbiegała od poprzedniej. Mam nadzieję, że teraz prawda się obroni.

– Też na to liczę.

– W razie czego wie pan, gdzie nas szukać.

– Jeszcze jedno pytanie. Pod ekspertyzą podpisany jest Eugeniusz Zagórny. Zna pan tego człowieka?

– Nie, nie słyszałem tego nazwiska. Sprawdzaliśmy w wykazie, czy ktoś taki nadal jest biegłym. Nie znaleźliśmy. Ale to było piętnaście lat temu. Biegłych jest wielu. Imię raczej starej daty, więc być może już nie pracuje.

– Tak, słuszna uwaga. Cóż, dziękuję jeszcze raz.

Silny uścisk dłoni zakończył wizytę.

Miłosz opuścił biuro. Pierwszy raz od wyjścia z więzienia poczuł, że mur, który dzielił go od nowego, lepszego życia, powoli zaczyna się kruszyć. No i czekała go wizyta u kogoś, kto szczególnie się do tego przyczynił.



Anka z trudem podniosła powieki. Próbowwała sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Jak przez mgłę pojawiały się kolejne obrazy – burza, człowiek w kapturze, bieg przez ogród, jej krzyk. W tym momencie, jakby na przekór okolicznościom, promienie jesiennego słońca wkradły się nieśmiało do salonu. „Gdzieś za chmurami zawsze jest słońce”, mawiała mama Anki. Nawet wtedy, gdy wokół szaleje burza, można być pewnym, że kiedyś jednak się pojawi. Oby życie też je przyniosło.

Anka nie czuła wszechogarniającego lęku, raczej otępienie, pewnie na skutek leków. Tak, w nocy ktoś u niej był. Lekarz? Kto wezwał karetkę? To sąsiad przyniósł ją do domu i to pewnie on zadzwonił po pogotowie. Później musiała zasnąć, bo nic więcej nie pamiętała.

Powoli usiadła, ale osłabienie kazało jej ponownie się położyć. Z kuchni dochodziły odgłosy codziennych czynności. Ktoś włączył czajnik, ustawiał naczynia, otwierał i zamykał szafki. Te dźwięki codzienności uspokajały. Czasem tak bardzo pragnęła ciszy, ale ta, która wkroczyła do domu nieproszona, kłuła w uszy, odbierała nadzieję. Anka czekała z utęsknieniem na ręce, które tę ciszę unicestwią, wprowadzając odrobinę błogosławionej normalności.

W drzwiach stanęła Beata z tacą w rękach. Musiała przyjechać w nocy. Dobrze, że jest.

Zapach kawy rozszedł się po salonie i choć nie był w stanie odczarować brutalnej rzeczywistości, która wdzierала się do jej oszołomionej lekami świadomości, to i tak Anka była wdzięczna Beacie za tę odrobinę luksusu.

Dźwięk dzwonka sprawił, że drgnęła, ale nie próbowała wstawać.

Beata otworzyła drzwi i przez chwilę rozmawiała z kimś półgłosem. Po chwili do salonu wszedł Sznajder, przywitał się i usiadł naprzeciwko Anki.

– Coś pan wie? Jest coś nowego? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Sprawdzamy różne tropy. Robimy wszystko, by jak najszybciej rozwiązać tę sprawę i odnaleźć pani syna.

Ścisnęła splecione dłonie, wsunęła między kolana i zaczęła miarowo kołysać się w przód i w tył.

– On tu wczoraj był – powiedziała półgłosem, patrząc w przestrzeń.

– Kto? – Sznajder zerknął na Beatę. – Rozumiem, ten człowiek, który obserwuje dom.

– Obiecał pan, że pańscy ludzie będą się tu kręcić, i co? Nikogo nie widzieli? – Spojrzała na Sznajdera. – Ma podejść, przedstawić się i poprosić o aresztowanie? Przecież on pcha się wam w ręce, a wy to ignorujecie. Może nawet chce, żebyście go zauważali, tak jak chce, żebym ja go widziała.

– Pani Anno, rozumiem pani rozgoryczenie, ale...

– Gównu pan rozumie. – Spokojny, cichy głos Anki potęgował zawarte w słowach wyrzuty. – To nie pan martwi się o swoje dziecko. Nie wiem, co

mam ze sobą zrobić. Żyję w zawieszeniu, jakby wszystko się zatrzymało w jakimś szalonym momencie. Cały czas boję się, co się stanie, gdy ta nieprzewidywalna machina ruszy. Już nie wiem, co jest gorsze, to przekłete czekanie czy wiadomość, że Michał...

Cierpka gorycz jej cichego głosu sprawiała, że Sznajder czuł się niezręcznie wobec presji, którą wywierały jej słowa. Czasem łatwiej znieść czyjeś krzyki.

– Niech pan przyzna, że nic nie wiecie. Działacie po omacku, a Michał gdzieś czeka na waszą pomoc. Doczeka się?

Wstał i podszedł do okna. Nie był w stanie znieść jej wzroku i łamiącego się głosu. Patrzył na ogród i ulicę. Z tej samej perspektywy każdego dnia patrzyła Anka.

– Doczeka się, pani Anno, doczeka.



Po wyjściu z biura Miłosz ruszył w kierunku centrum. Wynik ekspertyzy sprawił, że nie bał się już spojrzeń mijających go ludzi. Szedł wyprostowany, naładowany dobrą energią, gotowy na kolejne wyzwania. Miał nadzieję, że czas niepogody minął, i choć zdawał sobie sprawę, jak daleko jeszcze do rozwiązania zagadki, to jednocześnie czuł, że zrobił milowy krok, dzięki któremu wszelkie działania powinny nabrać rozpędu. Pomyślał o telefonie do Anki, ale zrezygnował. W obecnej sytuacji bardziej potrzebowała wiadomości o Michale niż o nim. Zastanawiał się też, czy nie powinien dać znać Sznajderowi. Może ekspertyza naprowadziłaby policję na jakiś trop i przyspieszyła odnalezienie Michała. Jednak obawa przed udziałem policji w całej sprawie skutecznie odwiodła go od tego pomysłu. Tak rozmyślając, dotarł do kwaciarni. Miał wobec kogoś dług wdzięczności, a kwiaty, szczególnie tym razem, wydawały się najlepszym podziękowaniem. Nie chciał z tym zwlekać, tym bardziej że w planie, poza kilkoma sprawami do załatwienia, była jeszcze wizyta w kancelarii Igora.

Teraz siedział w fotelu i czekał, aż jego adwokat skończy czytać ekspertyzę. Ot, zwykła kartka, myślał. Ile takich przerzucano z biurka na

biurko podczas jego procesu? Ilu wartość przeceniono, a ilu nie doceniono?

Ale z tą kartką będzie inaczej. Dopilnuje, aby potraktowano ją z należytą atencją.

Myślał o tym, co znajdowało się na wyciętym fragmencie nagrania zastąpionym bezużytecznym implantem, który zaburzył ciąg przyczynowo-skutkowy i pogwałcił jego prawo do prawdy. Nie miał wątpliwości, że było na nim rozwiązanie zagadki. Kto pojawił się w biurze? Kto zadał sobie tyle trudu, by prawda nie wyszła na jaw? Co ma z tym wspólnego biegły Eugeniusz Zagórny podpisany pod dokumentem? Odpowiedzi nadal nie było, ale udało mu się uchwycić nić prowadzącą przez labirynt. Nie pozwoli, by wypadła mu z rąk.

– I co o tym myślisz? – zapytał Miłosz, gdy Igor skończył czytać.

– No, ciekawe.

– Ciekawe? Przecież to sensacja!

– Z jednej strony tak, ale patrząc na to z innej...

– Jakiej innej? Tu masz czarno na białym: – „nagranie nie jest integralną całością”. Do tej pory twierdzono, że jest. Już samo to powinno wystarczyć, żeby wznowić dochodzenie.

– Wiem, że nie to chciałeś usłyszeć, ale pomyśl, to jeszcze nie dowód, to dopiero ekspertyza. W dodatku nie potwierdza twojej niewinności. Na razie wiemy, że ktoś pracował nad swoją wersją zdarzeń, ale to nie dowodzi, że na wyciętym fragmencie nagrania był zabójca. A może to twój współnik? Może odsiedziałeś wyrok za was dwóch, a teraz on będzie spłacał dług wdzięczności?

– Odbiło ci?! – Miłosz zerwał się z fotela, podszedł do biurka, za którym siedział Igor, i oparł dłonie o blat. – Po czyjej jesteś stronie?! Nie wmawiaj mi, że bomba, z którą do ciebie przyszedłem, to zwykły kapiszon.

– Ja ci po prostu pokazuję, jak będzie na to patrzył prokurator. On zawsze chce zobaczyć w dowodach coś zgoła innego niż adwokat. Jesteśmy na dwóch sądowych biegunach. Niewinność kontra wina, oczyszczenie z zarzutów kontra oskarżenie.

– Cóż za elokwencja, pogratulować. Szkoda tylko, że te dwa bieguny często wam się mylą.

– Miłosz, nie traktuj mnie jak wroga. Chciałeś mojej opinii, to ją masz. Zanim zrobi się jakiś krok, warto przewidzieć krok przeciwnika. Warto też mieć przewagę informacyjną. To podstawa. No i nie możesz dać się ponieść emocjom, bo to cię zgubi. *Poker face*, Miłosz.

– Teraz nie jesteśmy na sali sądowej. Nawet jeśli sąd będzie to interpretował tak, jak mówisz, to sam fakt manipulacji podaje w wątpliwość całość nagrania, a to podważa wyrok oparty na przekonaniu, że byłem jedyną osobą, która mogła zabić.

– No tak. To ma sens. Co teraz?

Miłosz podszedł do okna. Wpatrywał się w jesienny ogród, próbując wyciszyć emocje i zebrać myśli. Ale ten sielski obraz zakłócało mu odbicie w szybie, w którym widział siebie i regały pełne kodeksów, ustaw, praw. Wszystko napisano i uchwalono po to, by uczciwy obywatel czuł się bezpieczny i miał gwarancję sprawiedliwości, by szanowano jego godność, a w razie potrzeby zapewniono uczciwy i rzetelny proces.

– Masz jakiś plan? – zapytał ponownie Igor.

Miłosz usiadł w fotelu.

– Muszę znaleźć biegłego, który podpisał pierwszą ekspertyzę. Wstępnie wykluczam, że dostał przerobione nagranie i się na tym nie poznał. Berg uważa, że to mało prawdopodobne.

– Zakładasz, że wiedział, z czym ma do czynienia, i poświadczył nieprawdę?

– Tak. Mógł też sam wyciąć niewygodny fragment nagrania na czyjeś zlecenie. Tak czy siak, popełnił przestępstwo. Muszę znaleźć tego skurwiela.

– Pamiętaj, nie chcesz trafić do więzienia ponownie. No chyba że się mylę.

– Muszę wydusić z niego prawdę o tym, co było na tym nagraniu.

– Byleś nie przesadził.

– Jak sobie życzysz, będę tylko grzecznie prosił. Problem w tym, że nie wiem, gdzie go szukać. Na aktualnych listach biegłych nie ma Zagórnego. Sprawdziłem na stronach sądów. Możesz użyć swoich znajomości? Gdzieś w archiwum muszą mieć jego adres.

– Myślę, że to da się zrobić. Mam jednak wątpliwości, czy powinieneś go szukać na własną rękę. Jeśli on jest zamieszany w fałszerstwo, a może nawet w morderstwo, to powinna się tym zająć policja.

– Przed chwilą podważałeś wagę ekspertyzy, a teraz wysyłasz mnie na policję?

– Nie chcę, żebyś narobił sobie kłopotów.

Miłosz zabrał ekspertyzę i ruszył do wyjścia. Zanim zamknął za sobą drzwi, zatrzymał się, popatrzył na Igora i powiedział:

– Pomyśl. Jeśli coś działo się z tym nagraniem w czasie, gdy powinno być zabezpieczone przez prokuraturę, to kto mógł przy nim majstrować? *Curantes iura iuvant*⁶, czy jak wy to mówicie.

– *Da mihi factum, dabo tibi ius*⁷ – udowodnij fakt, a przyznam ci rację.

– Obyś nie musiał.



Marta wróciła z firmy późnym wieczorem. Od kilku tygodni było to normą. Robiła zestawienia i analizy sprzedaży, zajmowała się korespondencją, pilnowała terminów, umawiała spotkania. Jednocześnie mnóstwo czasu poświęcała sprawom marketingowym i reklamowym, a to nie koniec długiej listy jej obowiązków. Lubiała swoją pracę, a poza tym do czego miała wracać, do pustego mieszkania?

W ostatnich tygodniach w firmie, bardziej niż zwykle, odczuwało się napięcie. Właściciele, dotąd otwarci i życzliwi, coraz częściej bywali zdenerwowani i aroganccy. Ich już i tak wygórowane wymagania rosły. Ale rosły też zyski, pojawiały się zamówienia od nowych klientów, marka wyrobiona przez lata miała się dobrze. A jednak coś było nie tak – i to „coś” na tyle się rozpanoszyło, na tyle zawładnęło relacjami, że nie było już słycać radosnych rozmów podczas przerw, nie było też chęci do wspólnych spotkań czy wyjazdów. Czasem Marta myślała, że przesadza, że to jej osobiste problemy odbijają się na postrzeganiu firmowego świata, ale teraz, gdy uporała się (no prawie) ze swoim życiem, to firmowe wcale nie odzyskało barw.

Cholera! Do tego wszystkiego jeszcze ten piekielny zamek. Będzie musiała wezwać ślusarza. No, nareszcie! Już miała wejść do mieszkania, gdy

zaskrzybiały sąsiednie drzwi. Tylko nie to! Nie chciała się z niczego zwierzać, nie miała ochoty wysłuchiwać, co tym razem powiedziały karty tarota, ani zastanawiać się nad sensem zagadkowych wypowiedzi sąsiadki. Nie chciała też spotkać się z puchatym rudzielcem. Miała alergię na kocią sierść.

– Pani Martusiu, dobrze, że panią widzę...

– Pani Antonino, proszę wybaczyć, ale jestem padnięta.

– Zajmę pani tylko minutkę, proszę poczekać. – Cofnęła się w głąb mieszkania.

Choć było to irracjonalne, Marta trochę się jej bała. Hipnotyzujące spojrzenie, głęboki, dźwięczny jak na starszą panią głos i powłóczyste suknie robiły swoje. Wyobrażała sobie sąsiadkę, gdy w pokoju ze szczelnie zaciągniętymi zasłonami pochyła się nad szklaną kulą i powtarza sobie tylko zrozumiałe zaklęcia. Co prawda umaszczenie kota nie pasowało, ale poza tym czarownica jak nic, choć trzeba przyznać, że dystygowana.

Sąsiadka wróciła z ogromnym jak na jej filigranową postać bukietem. Pomarańczowe róże obłożone jesiennie wybarwionymi liśćmi krotonu i owinięte sizalem w słomkowym kolorze tworzyły niepowtarzalną kompozycję.

– Pani Antonino, jakie piękne. A cóż to za okazja? Od kogo dostała pani takie piękne kwiaty?

– Ja? Moja droga, to pani kwiaty. Bardzo proszę. Zabrałam z wycieraczki.

– Dziękuję. Ale jak to z wycieraczki?

– Zwyczajnie. Był tu pewien jegomość. Całkiem przystojny. Postał, postukał, zostawił bukiet i poszedł, ale nie godzi się, by tak piękne kwiaty leżały w nieposzanowaniu, więc je zabrałam i otoczyłam opieką. Pani ostatnio późno wraca z pracy, więc...

– Właśnie, późno już, proszę o wybaczenie, ale...

Rudzielec zamiauczał znacząco, jakby chciał skarcić Martę za jej obcesowe zachowanie. Bodyguard, cholera jasna!

– Trzeba przyznać, że one do pani pasują.

– Przepraszam, co do mnie pasuje? – zapytała Marta, nie spuszczać wzroku z kota.

– No, kwiaty oczywiście.

– Tak? Dlaczego?

– To pani kolory. Ów jegomość dobrze wiedział, co pani lubi. Właśnie takie kwiaty ceni pani najbardziej, nieprawdaż? – Uśmiechnęła się i popatrzyła na Martę znad okularów.

– Słucham?

– Nic takiego, kochaniutka. To kim był ten jegomość?

– Nie wiem, pani Antonino. Jeszcze raz bardzo dziękuję. Proszę wybaczyć, ale padam z nóg.

– Dobrze, dobrze. Jutro mi pani powie. Mamy czas. Byleby rydwan pędził w odpowiednim kierunku.

Marta z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Nie pierwszy i nie ostatni raz nie zrozumiała sąsiadki, ale nie robiło to już na niej wrażenia. Najważniejsze, że na dzisiaj ma ją z głowy. I rudzielca też. Zdjęła szpilki i płaszcz, odłożyła torbę i weszła do salonu. Usiadła na sofie i uważnie przyjrzała się różom. Piękne, eleganckie, pachnące – takie lubiła, a w otoczeniu krotonu wyglądały wprost bajecznie. Uwielbiała kwiaty. Na początku działalności Ultrasonu przekonała Miłosza, że powinny stanowić wizytówkę firmy. Miały być dowodem dbałości o detale, o jakość, atmosferę, a więc i o klienta. Co kilka dni osobiście kupowała je w pobliskiej kwiaciarni, dbając o to, by za każdym razem wybrać coś innego. Dzięki temu i korytarz, i sekretariat zawsze zdobyły świeże bukiety. Nowi szefowie nie dali się przekonać do tej wizji.

Zerknęła na bilecik: „Dzięki Tobie stanąłem dziś pewnie na nogi. Dziękuję! Gdybyś była ciekawa, o co chodzi, zadzwoń...”. Tu znajdował się numer telefonu i podpis. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nie wiedziała też, czy chce. Od kilku tygodni próbowała oczyścić swoje życie ze wszystkiego, co wiązało się z Miłoszem. Piwniczna kwarantanna związanych z nim przedmiotów miała dać jej czas na bezpieczne rozstanie. Za kilka, kilkanaście tygodni będzie łatwiej wyrzucić albo zniszczyć te sentymentalne szpargały. W każdym razie taki był plan, a on teraz przynosi jej ulubione kwiaty. Skąd pani Antonina o tym wiedziała? Przecież nigdy o tym nie rozmawiały. Mniejsza o to. Przynosi i znowu miesza te z takim wysiłkiem układane na nowo puzzle. Cholera! Jakby można było stworzyć coś nowego ze starych puzzli! Przecież te niepotrzebne się wyrzuca i kupuje kolejne, by móc układać z nich nowy wspaniały obrazek. Wspaniały? Gówno prawda! Nie zadzwoni, nie będzie się płaszczyć, dziękować, dociekać, o co chodzi. Postanowiła i tak ma być. Miłosz nie istnieje już w jej świecie. A bukiet? Powinna wyrzucić, jak

wszystko, co z nim związane, ale czemu winne kwiaty? Przynajmniej tyle się jej należy za te wszystkie lata.



Gdy kolejnego dnia Miłosz parkował na Szenwalda, w radiowej Jedynce rozbrzmiewały ostatnie takty hejnału mariackiego. Od rana bezskutecznie czekał na telefon od Marty. Chciał jej opowiedzieć, co się wydarzyło, ale ona uparcie milczała.

Tymczasem odezwał się Igor. Jak udało mu się tak szybko zdobyć adres Zagórnego? Najwyraźniej miły uśmiech i nienaganna prezencja pana mecenasa miały znaczenie. I dobrze. Miłosz nie zwlekał. Wybiegł z mieszkania zaraz po otrzymaniu esemesa. Nie próbował reżyserować spotkania ani zastanawiać się, jak powinien je rozegrać. Chciał jak najszybciej stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który zniszczył mu życie. Zerknął jeszcze raz na informację. Tak, to na pewno tu.

Odświeżona elewacja, nowe drzwi i okna, wole oko w połaci dachu – właściciel wykosztował się na remont. Ciekawe, skąd miał na to wszystko pieniądze. Z honorarium biegłego? Niewątpliwie.

Jak ma z nim rozmawiać? Od czego zacząć? A jeśli Zagórny po prostu się pomylił? Wróć! Tu nie można po prostu się mylić. Jest winny niezależnie od okoliczności. Niedouczony patałach czy perfidny skurwiel – skutek ten sam. Podpisując ekspertyzę, pierwszy rzucił kamień. Za nim poszły kolejne i spowodowały lawinę oskarżeń, które przygniotły Miłosza na lata. Jak wygląda ten, kto tak skutecznie spałał mu życie? Jak zareaguje, gdy zobaczy głównego bohatera sfalszowanego nagrania? Czy w ogóle go pozna?

Wysiadł. Zapiął kurtkę i postawił kołnierz, by choć trochę osłonić się od zimnego wiatru.

Wszedł na niewielkie podwórko. Adrenalina robiła swoje, bo serce waliło mu coraz szybciej. Emocje sprawiały, że to spotkanie wydawało się Miłoszowi coraz trudniejsze. Nie wiadomo, z kim zadziera. Pożałował, że w kieszeni nie ma czegokolwiek, co mogłoby stanowić zabezpieczenie, gdyby spotkanie przebiegło... No właśnie, jak? Czego właściwie się spodziewał? Nieważne. Za

późno teraz na budowanie koncepcji. Nie wycofa się przed samymi drzwiami. Nacisnął dzwonek. Boże, jaki jazgot! Dopracowywanie szczegółów nie jest pana najmocniejszą stroną, co, panie Zagórny? Ironia zakrólowała nad wątpliwościami i dodała Miłoszowi animuszu.

Kroki.

Odgłos przekręcanego klucza.

Klamka naciśnięta od wewnątrz.

Pełne napięcia oczekiwanie i...

Kim ona, u diabła, jest? Żoną? Nie, raczej córką. Irytacja zawładnęła Miłoszem. Wyobraził sobie spotkanie oko w oko z Zagórnym. Tymczasem w drzwiach stała młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Rozciągnięty T-shirt, zmęczona twarz bez śladu makijażu, włosy zwinięte w byle jaki kok – nie planowała przyjmować gości. Dziecko z wielkim niebieskim smoczkiem poruszającym się rytmicznie w umorusanej pomarańczową papką buzi patrzyło na Miłosza zapłakanymi oczyma.

– Dzień dobry – wydusił, zdezorientowany. – Szukam Eugeniusza Zagórnego. Zastałem go może?

– Boże, następny. Pomyłka. Tutaj nikt taki nie mieszka – powiedziała kobieta pretensjonalnym tonem niepasującym do delikatnej dziewczęcej twarzy. – Wszyscy nagle przypomnieli sobie o jakimś Eugeniuszu. – Cofnęła się i zaczęła zamykać drzwi.

Miłosz je przytrzymał.

– Jacy wszyscy?!

– Co pan robi?! Mam wezwać policję?

– Przepraszam. – Zabrał rękę i odsunął się. – Dostałem adres od znajomego. Szenwalda piętnaście. Nie może być pomyłki. Muszę się spotkać z tym człowiekiem, a adres to jedyna informacja, jaką posiadam.

– Już mówiłam, nie znam go.

– Rozumiem. A może mi pani powiedzieć, kto pytał o Zagórnego i kiedy?

– Nie wiem, nie znam ich. Zresztą to nie pana sprawa. Proszę zostawić mnie w spokoju!

Niebieski smoczek wypadł na terakotę i zadziałał jak zawlecзка. Wrzask dziecka i rosnąca wściekłość kobiety wieszczyły rychłe zakończenie wizyty.

Potwierdziło je zatrzaśnięcie drzwi przypieczętowane odgłosem przekręcanego klucza.

Kurwa mać! Niemal poczuł rozsadzającą go wściekłość. Gdzie, jak nie tu, ma szukać Zagórnego?! Kto jeszcze się nim interesował? Policja? Raczej nie. Czy to mogło mieć coś wspólnego z nagraniem? A może to tylko przypadek? Niech to szlag! Chciał walić w drzwi, aż znowu się otworzą, ale wiedział, że prędzej pojawi się tu radiowóz, niż ta kobieta zdecyduje się z nim porozmawiać. Pozostało bombardować wzrokiem antywłamaniową zaporę i liczyć na cud.

– Zagórnych pan szuka?

Miłosz się odwrócił. Na chodniku stał podpierający się laską starszy mężczyzna. Beżowy prochowiec, postawiony kołnier, czarny kapelusz i przyciemniane okulary sprawiły, że wyglądał jak podstarzały bohater dawnych filmów szpiegowskich.

– Zna ich pan?! – Miłosz podbiegł do niego z nadzieją, że mimo wszystko czegoś się dowie.

– Czy znam? Sąsiadami byliśmy, jakże mógłbym nie znać. Ale oni już tu nie mieszkają.

– A wie pan, gdzie mogę ich znaleźć?

– No prawdę mówiąc, to nie. Jak się wyprowadzali, to powiedział tylko, że daleko. Ja to nawet pomyślałem, że on mi nie chce powiedzieć gdzie, żebym przypadkiem nie przyjechał w odwiedziny i głowy nie zawracał. Czasem żeśmy wypili razem, bo prawdę powiedziawszy, to lubił. Oj, lubił. Rozumie pan? Ale pod koniec to on się jakiś dziwny zrobił. Na piwo nie dał się namówić, ludzi unikał. A co to takie piweczko, grzech? – Rozchylił nieco górę płaszcza, pokazując zakapslowaną zieloną butelkę ukrytą w wewnętrznej kieszeni. – Nawet takim dziadkom jak ja czasem piwko się należy, a on przecież ode mnie sporo młodszy.

– A ktoś tutaj może znać jego nowy adres? – Miłosz drążył temat. Trop wymykał się z rąk.

– Tutaj? Takich jak ja ze świecą szukać. No chyba że na cmentarzu. Ale tam to bym się nikogo rozmownego nie spodziewał. – Zaśmiał się, zadowolony z żartu.

Miłoszowi nie było do śmiechu.



Gdy wsiadał do samochodu, zawibrował telefon. Zerknął na ekran.

„Miłosz, mam nadzieję, że Cię wypuścili. Jeśli tylko będziesz miał taką możliwość, daj przynajmniej znać, czy wszystko w porządku. Martwimy się o Ciebie!”

Iwona uparcie próbowała się z nim skontaktować. Dzwoniła wielokrotnie, gdy był w areszcie. Po naładowaniu telefonu widział połączenia, ale nie miał siły na rozmowę. Planował zadzwonić później, gdy nieco ochłonie. Ale później była wizyta w biurze ekspertyz, głowę miał zaprzątniętą Zagórnym. No i zapomniał.

Nacisnął na ikonę słuchawki.

– Miłosz, Bogu dzięki! Nareszcie. Wszystko w porządku? – zapytała podekscytowana Iwona.

– Tak. Wypuścili mnie.

– Co to za chora sprawa? Ten nagły najazd policji i...

– Iwona, przepraszam. Nie miałem innego wyjścia. Gdy byłem u was, zniknął syn Kuby. Uznali, że mam z tym coś wspólnego. Tylko wy mogliście dać mi alibi.

– Przestań, przecież nikt nie ma do ciebie pretensji. Mówisz, że chłopak zaginął, a policja myśli, że ty go porwałeś?! Przecież to absurd. Nic nam o tym nie powiedzieli. Pytali tylko, czy byłeś, co robiłeś, kiedy przyjechałeś i wyjechałeś.

– Jak widać, dla nich to nie jest absurd. Kto wie, co by było, gdybym nie wyjechał w Bieszczady. Tu o alibi nie byłoby tak łatwo.

– Wniosek jest prosty, w górach jest twoje miejsce.

– Niewykluczone. – Miłosz oczyma wyobraźni przeniósł się na bieszczadzki szlak. Tam wszystko wydawało się prostsze, a góry łagodziły nawet najdotkliwszy ból.

– Mam nadzieję, że ten chłopak się znajdzie. – Głos Iwony wyrwał go z chwilowego zamyślenia. – Gdybym mogła ci jakoś pomóc...

– Dzięki. Podziękuj też panu Józefowi i przeproś go ode mnie.

– Przepraszać nie będę, bo mnie wygoni, ale podziękuję. Ucieszy się, że wyszedłeś. Od razu wydobrzeje. Bo widzisz, trochę zaniemógł.

– Boże, mam nadzieję, że to nie...

– Nie, to nie ma związku z policją. Pan Józef choruje od dawna. Jakieś problemy z sercem. Ale nie martw się. Już ja dopilnuję, żeby zadbał o siebie i nie omijał lekarzy. Obiecuję.

– Jak dobrze, że ktoś jest obok – powiedział z ulgą. Nie wybaczyłby sobie, gdyby przez niego coś stało się panu Józefowi.

– Pewnie, że dobrze. I nie ktoś, tylko ja, a to robi wielką różnicę. – Zaśmiała się.

Miłosz też mimowolnie się uśmiechnął. Ta dziewczyna zawsze umiała zneutralizować jego napięcie. Choćby tak jak teraz, na chwilę, by miał czas na uspokojenie oddechu, wyrównanie pulsu, zanim niepokój znów nim zawładnie. Powinna zostać terapeutką. Kozetka z widokiem na bieszczadzkie szczyty – brzmi nieźle.

– Miłosz, wybac – ciągnęła – nie miałam głowy ani czasu, by zająć się wertowaniem książek meldunkowych. Może teraz będzie łatwiej. Podeślij mi adres mailowy. Jak coś znajdę, napiszę.

– Nie ma sprawy, podeślę. Wiesz, w tak zwanym międzyczasie pojawił się pewien trop. Mam nadzieję, że do czegoś mnie doprowadzi, o ile go nie utracę... – westchnął.

– Uważaj na siebie. – W głosie Iwony dało się wyczuć niepokój.

– Staram się, jak mogę.

– Ja cię nie proszę o staranie. Uważaj i tyle.

– Postaram się.

– Miłosz!

– No dobrze, dobrze. Muszę kończyć. Dziękuję za wszystko.

– Podziękujesz, jak przyjedziesz. A póki co, odzywaj się, żebyśmy wiedzieli, że wszystko gra. Pa.

Rozłączył się. Trop? Jaki trop! Gdzie niby miał teraz szukać Zagórnego? Oparł się o zagłówek. Tępy ból rozsadzał mu czaszkę. Mimo to starał się przeanalizować rozmowę z sąsiadem Zagórnego. Zaraz. Co on powiedział? Że Zagórny lubił wypić, ale potem mu się odmieniło? Jeśli tak, to być może próbował się leczyć. Grupy AA są jak wspólnoty. Wszyscy wiedzą o sobie wszystko. Wystarczy dotrzeć do odpowiednich ludzi. O ile to oczywiście dobry trop. Tylko jak? Żaden ośrodek terapii uzależnień nie udzielił informacji na temat pacjentów. Prezencja Igora też na nic się tu zda. Ale jest ktoś, kto do takich poszukiwań nadaje się jak nikt. Miłosz musiał to przyznać. Trzeba zostawić na boku animozje i poprosić o pomoc. Zadzwoń do Sępa jeszcze dziś.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Zanim odjechał, rzucił okiem w stronę domu Zagórnego.

Młoda kobieta stała za przezroczystą zasłoną i wpatrywała się w Miłosza. Przy uchu trzymała telefon.



Iwona stała przy oknie. Deszcz zalewał szyby i rozmywał widok za oknem, jakby uparcie chciał zmyć z obrazu kolejne warstwy farby. Znikała chata pana Józefa, jego ogród i wiekowy sad. Rzeźbione postacie, które wprawna ręka gospodarza powołała do życia, rozplływały się jak upiory. Las stanowiący zazwyczaj naturalne, urokliwe tło dla tego gościnnego miejsca, sprawiał wrażenie czeluści, chcącej pochłonać wszystko wokół. Iwonę przerażał ten widok. Bała się, co może nastąpić. Okłamała Miłosza. Pan Józef od dwóch dni leżał w rzeszowskiej klinice. Operacja wszczępienia by-passów była jedyną opcją leczenia, ale jego stan nadal był poważny. Rozległy zawał okazał się kolejnym, pierwszym nigdy się nie pochwalił. Kilkutygodniową nieobecność jesienią dwa lata wcześniej wyjaśnił nagłą potrzebą zmiany klimatu. Wrócił błądy i kilka kilogramów chudszy, ale i na to znalazł wyjaśnienie. W pensjonacie źle karmili, a słońca nie zaznał, więc nie było co dłużej siedzieć nad Bałtykiem. Trzeba było wracać do swoich, bo po prawdzie już

tęsknica go brała, gdy wyglądając z okna pokoju, widział tylko ciągnące się po horyzont morskie fale.

Może powinna powiedzieć Miłoszowi prawdę? Nie. Ma wystarczająco dużo żmartwień. Tyle nerwów kosztuje go obecna sytuacja. Jeszcze zaczęłyby się obwiniać o to, co się stało, a to zwykły zbieg okoliczności, że kilka godzin po wizycie policji musiała wzywać pogotowie. A jeśli nie? Może Miłosz znaczył dla Józefa znacznie więcej, niż to się mogło wydawać?

Wzięła z komody klucze, założyła gumowce i goretexową kurtkę. Kaptur naciągnęła szczelnie na głowę i ruszyła do chaty Józefa. Ścieżka zamieniona w błotnisty potok nie pozwalała pewnie stawiać kroków. Gumowce zapadały się jak w grzęzawisko. Kaptur ograniczał widoczność. Pomyślała o Miłoszu, Józefie i ciągle zalanej deszczem, niedającej się przewidzieć przyszłości.

Zabłocone gumowce zostawiła na progu i weszła do środka. Przywitał ją zapach tego domu, ale brakowało w nim kawowej nuty. Nikt codziennie rano nie parzył teraz czarnej kawy i nie zasiadał z nią przy kominku. O nie. Tak nie może być. To miejsce ma żyć i będzie żyło. Pan Józef wróci szybciej, niż się wszystkim wydaje, i znowu w kominku zapłonie ogień, z wędzarki popłynie zapach bukowego drewna i Józefowej kiełbasy słynnej na całą okolicę. Będzie słyhać dźwięki fujarek i gitar, śmiech wypełni przestrzeń, a traperzy oblepione bieszczadzkiem błotem będą suszyły się na przygotowanej dla nich ławie. Iwona uparcie starała się przekonać, że tak właśnie będzie. Jednocześnie intensywniej niż zwykle docierała do niej świadomość nieuchronnego upływu czasu. Ona zawsze daje o sobie znać wtedy, gdy dzieje się coś, czego chcielibyśmy za wszelką cenę uniknąć. A pan Józef był dla niej jak ojciec. Swojego straciła w dzieciństwie. Zginął na jej oczach przygnieciony drzewem, które ścinał wraz z sąsiadem. Śmiał się, żartował, był i za chwilę go nie było. Ale pan Józef nadal jest. I niech tak zostanie.

Otworzyła kufer. Wśród różnych dokumentów znalazła książki meldunkowe i kroniki, po które przyszła. Tylko na ich podstawie mogła dokładnie określić czas pobytu Miłosza, a potem zacząć szperać w dokumentacji prowadzonej przez mamę. Wybrała dokumenty sprzed kilkunastu lat i wcześniejsze. Już miała zamknąć kufer, gdy dostrzegła owinięty w skórę i zawiązany sznurkiem duży brulion. Wyciągnęła go. Na okładce wykaligrafowano dwa słowa: *Życie moje...* Otworzyła. Rządki drobnych, starannych liter wypełniały kolejne strony, dziesiątki stron. Nie miała wątpliwości. To była historia pana Józefa zapisana jego drżącą ręką.

Zamknęła brulion. Nie miała prawa czytać. Pan Józef to człowiek wielkiego serca, wielkiej mądrości, ale jednocześnie ktoś, kto nigdy nie zdradził tajemnicy swojej przeszłości. Jeśli zechce, sam kiedyś opowie. Owinęła starannie brulion, zawiązała sznurkiem i odłożyła pieczołowicie do kufra.

Wróciła do domu. Zrobiła sobie kubek rozpuszczalnej kawy z mlekiem. Rozłożyła na stole przyniesione księgi i dołożyła te, które skrupulatnie prowadziła jej mama. Poczuała się jak archiwistka, która zasiada do przeglądania zgromadzonych skarbów. Za takie uważała szczególnie kroniki, do których wpisywali się goście. Nie wiedziała, czy uda jej się znaleźć cokolwiek, co zainteresowałoby Miłosza, ale na pewno wkraczała w sentymentalny świat swojego rodzinnego domu ukryty w podziękowaniach i pozdrowieniach. Zatrzymany w anegdotach, zdjęciach, a nawet rysunkach. Zapowiadała się długa i pełna wrażeń noc.

Życie moje... – pomyślała, otwierając pierwszą z kronik.



Kraków oglądany z dwunastego piętra Gniazda Orłów, niezależnie od pory roku i pogody, budził zachwyt klientów. Fotele oczekujących na spotkanie celowo ustawiono tak, by nic nie mogło przeszkodzić w podziwianiu widoku. Doznania wzrokowe stawały się doskonałym preludium do rozmowy o możliwościach firmy, szerokim spojrzeniu na kwestie biznesowe, dbałości o klienta. Na Marcie ten widok od dawna nie robił wrażenia, szczególnie w takie poranki jak ten. Wiatr, który tak dawał się we znaki w ostatnim czasie, wprawdzie ustał, ale przygnał gęste, ciężkie chmury, które okrywały miasto szaroburym toksycznym kożuchem niepozwalającym przebić się promieniom słońca. Tylko czekać, a Kraków zaleje się deszczem i pogąrzy w depresyjnym półśnie, a razem z nim wszyscy wrażliwi, chorzy, nieszczęśliwi.

Zapaliła jarzeniówki, próbując zrekompensować sobie brak naturalnego światła. Dobrze by było, gdyby w życiu dało się zrobić tak samo – pstryk i wszystko jest jasne, wyraziste, bezpieczne. Utopia. Pozostawało pogąrzyć się w firmowej codzienności i tkwić w oszustwie, nazywając pracoholizm

zawodową pasją, a puste mieszkanie wymarzonym azylem dla nowoczesnej kobiety.

Prezes Gozdroń był już po drugiej kawie i po trzeciej wizycie księgowego. Ta mieszanka kofeiny i adrenaliny, której poziom wzrastał pod wpływem budżetowych dyskusji, nie wróżyła nic dobrego.

Gdy Marta przygotowywała trzecią filiżankę, pojawił się Tomala, drugi z prezesów. Wpatrzony w komórkę burknął coś pod nosem, co prawdopodobnie miało oznaczać „dzień dobry”, i wszedł do gabinetu Gozdronia. Drzwi, pchnięte zbyt lekko, nie zamknęły się.

– Widziałeś? – zapytał, rozemocjonowany.

– Co takiego?

– W takim razie nie widziałeś. Cały Kraków jest oblepiony takimi plakatami. – Tu zapewne pokazał zdjęcie w telefonie, bo Marta nie zauważyła, by miał jakąś kartkę.

– No widzę, ale o co właściwie chodzi?

– Powiększ i przeczytaj – powiedział Tomala z narastającą złością. – No i?

– Jakiś gówniarz zwiął z domu i tyle. Co się tak przejąłeś? Znasz go?

– Żartujesz?! Przeczytaj jeszcze raz. Uważnie! – mówił coraz głośniej.

Marta zbliżyła się do drzwi. W rękach trzymała tacę, ale nie śmiała wejść.

– Nie znam go.

– Nazwisko. Popatrz na nazwisko. Nic ci nie mówi?

– O kurwa! Myślisz, że to jego syn?

– Ja nie myślę, ja wiem. Rozumiesz, co to oznacza?! Jak pismaki się zwiedzą, to...

– Nie drzyj się i zamknij, do cholery, drzwi!

Zatrzaśnięcie, choć spodziewane, sprawiło, że Marta drgnęła. Rozlana kawa wsiąkała powoli w śnieżnobiałą serwetkę, tworząc nieregularną plamę. Plamę, która tym razem wykraczała daleko poza przestrzeń lustrzanej tacy.



Dochodziła czternasta. Chmury nie ustępowały. Pesymistyczna aura osaczyła miasto. Deszcz siąpił i sprawiał, że zimno stawało się coraz dotkliwsze. Miłosz czekał przy Miodowej na spóźnionego Sępa. Liczył na to, że informacje, które udało mu się zdobyć, warte są zmoknięcia.

– Bardzo przepraszam! – zawołał Sęp, zbliżając się do Miłosza. – Nie mogłem się wcześniej wyrwać. Już wchodzimy. To tu umówiłem się z moim informatorem.

– Gdzie?

Sęp wskazał głową starą opuszczoną kamienicę.

– Żartujesz? – Miłosz patrzył to na Sępa, to na dom.

– Jak się nie ma, co się lubi...

W zasięgu wzroku mieli dwie synagogi i cmentarz. W tej części Kazimierza wciąż jeszcze rozbrzmiewała klezmerska muzyka, a szyldy dawnych rzemieślników zdobiły ściany budynków. Kazimierz zawsze zachwycał Miłosza. Tu dawał się ponieść wyobraźni. Słyszał śpiewy chasydów, odgłosy bar micwy, rzenie koni oczekujących przy dorożkach na stałych klientów. Czuł zapach kadzideł i wosku świec stojących na baczność w menorach. Zachwycał się urokiem starych kamienic.

Teraz patrzył na nagie ściany, które tu i ówdzie próbowano zakryć niedbale narzuconą zaprawą, na okna pozbawione szyb, puste doniczki na parapetach czy falujące strzępy firanek i boleśnie uświadamiał sobie nietrwałość świata. A może to tylko okoliczności sprawiły, że to, co kiedyś wydawało się urokliwe, dzisiaj przynębiało?

Weszli do środka. Ku zdziwieniu Miłosza mozaikowe kafle pokrywające podłogę klatki schodowej, choć zniszczone i pokryte brudem, nadal pobudzały wyobraźnię, podobnie jak kamienne kręcone schody z finezyjną barierką. Jak to jest, że takie architektoniczne perły wytrzymały wojnę, a współczesność nie kwapi się, by pomóc im trwać?

Weszli na piętro. Wilgoć, stęchlizna i opary moczu nie pozwalały skupić się na niczym innym. Oczy porażał ogrom zniszczeń. Jak w Krakowie mogą istnieć takie miejsca? Współczuł tym, którzy byli tu lokatorami.

Podeszli do wyjątkowo solidnych drzwi w głębi korytarza. Sęp nie zastukał zwyczajnie, ale wybił jakiś rytm. Miłosz poczuł się jak bohater kryminalnego filmu, zresztą nie pierwszy raz.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się i w szparze ograniczonej długością zamontowanego łańcucha pojawiła się głowa niewysokiego człowieka.

– A, to pan – powiedział do Sępa, po czym zmarszczył brwi, spojrzał na Miłosza i znowu na Sępa. – A ten to kto?

– Przyjaciel. Nie musisz się obawiać. Zaufany człowiek.

– Zaufany, zaufany, a potem gliny w nocy wpadną i...

– Znasz mnie, wiesz, że nikogo trefnego nie mógłbym przyprowadzić.

Człowieczek powoli zdjął łańcuch i otworzył drzwi. Uważnie przyglądał się Miłoszowi spod ściągniętych brwi. Miał około czterdziestki. A może tylko tak wyglądał? Spod jego kolorowej kamizelki wystawały różnokolorowe ubrania, niepasujące do siebie, ale na pewno ciepłe. Na głowie miał czerwoną kaszkietówkę z wizerunkiem Myszki Miki.

Miłosz patrzył na niego pełen wątpliwości. Czy od tego cudaka miało zależeć jego dalsze życie? Człowiek jakby czytał w jego myślach, bo wyprostował się i powiedział:

– Wyklęty przez prawo, zapomniany przez sprawiedliwość, ale trzeźwy. – Ostatnie słowo zabrzmiało dobitniej niż pozostałe.

Mieli zatem ze sobą coś wspólnego. Wyklęty przez prawo, zapomniany przez sprawiedliwość, ale wolny przynajmniej oficjalnie. Ale co ten człowieczek miałby mu niby do powiedzenia?

– Panowie raczej do Profesora niż do mnie, nieprawdaż? – dodał, jakby myśli Miłosza znowu nie stanowiły dla niego tajemnicy. Ukłonił się jak kamerdyner i uśmiechnął szeroko. – Profesor za chwilę będzie. Pardon! Już tu jest! – powiedział w chwili, gdy w drzwiach prowadzących do kolejnych pomieszczeń pojawił się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna około sześćdziesiątki. Miał długie, kręcone, przyprószone siwizną włosy związane w kucyk. Okrągłe okulary, koszula w kwiaty, czerwony bezrękawnik i gruby żółty szalik zrobiony na drutach i zarzucony finezyjnie na ramię dopełniały całości. W tym miejscu, pośród tych zapachów wyglądał dość niekonwencjonalnie, a nawet intrygująco.

– Komes, dałbyś spokój – skarcił współlokatora, po czym przywitał się z Sępem, spoglądając na niego znacząco. Sęp skinął głową. Wtedy mężczyzna podał rękę Miłoszowi.

– Profesor – przedstawił się. – Moje imię i nazwisko nie są panu potrzebne. Podarujmy też sobie zbędną kurtuazję.

- W porządku. Miłosz.
- To ja panów zostawię. Czekam na zewnątrz – powiedział Sęp i wyszedł.
- Zapraszam do naszej oranżerii. Proszę za mną.

Przeszli do wąskiego korytarza, a z niego do przestronnego pokoju. Miłosz, zaintrygowany, spowolnił krok. Oczy chłoneły szczegóły przestrzeni. Głównym wyposażeniem były wysłużone sienniki oddzielone parawanami ze skrzynek i starych mebli. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. A więc tylu było tu mieszkańców. Przy każdym pościu stały torby i tekturowe pudełka wypełnione po brzegi zapewne dobytkiem właścicieli. Wypłowiwały koc przysłaniał duże okno, które czyjaś zapobiegliwa ręka ogaciła szmatami i watą. Przy drzwiach leżała sterta złożonych tekturowych pudeł. Obok znalazło się miejsce na taboret, dużą plastikową miskę, odrapane emaliowane wiadro i mydło.

Na zrobionym z palet stole w brązowej butelce po piwie stał bukiet sztucznych kwiatów. Przetarta w kilku miejscach marynarka w beżową kratę, z wystającą z brustaszy sfatygowaną, ale jednak jedwabną, poszetką w kolorze butelkowej zieleni, wisiała równo na oparciu wysłużonego dębowego krzesła. Miłosz dostrzegł też serwetkę zrobioną szydełkiem i porcelanową białą filiżankę z obtłuczonym uchem. Było w tym coś niesamowitego. Ludzie wyklęci przez świat dawali drugie życie wyklętym przedmiotom. Tym, które szpeciły luksusowe wnętrza.

Przy jednym z sienników w drewnianej skrzynce leżały zniszczone książki w sfatygowanych okładkach, zdobyte zapewne podczas śmietnikowych łowów. Miłosz chętnie przejrzałby zawartość skrzynki. Zerknął na jedną z książek położoną na sienniku grzbietem do góry – *Sto lat samotności*. Uśmiechnął się. Kto zgłębiał historię rodu Buendiów? Co sprawiło, że zamieszkał właśnie tu?

Profesor czekał cierpliwie, aż jego gość oswoi przestrzeń. Gdy Miłosz zbliżył się do zabytkowego pieca, powiedział:

– To prawdziwa perełka. Ręcznie malowane kafle. Mają na pewno grubo ponad sto lat.

Miłosz przeciągnął dłonią po powierzchni. „Gdzie jest piec, jest dom, jest życie” – mawiała jego babcia. W tym wnętrzu te słowa nabierały nowego znaczenia, a ich moc była silniejsza niż kiedykolwiek.

Przeszli na niewielki taras osłonięty od wiatru przezroczystymi płytami z pleksi. Całość gęsto obrastał bluszcz o dorodnych liściach, ograniczając widok na przygnębiające wyglądem mury.

Usiedli na prowizorycznych ławkach.

– Nie możesz się nadziwić? Nie rozumiesz, co tu się dzieje? Tu się żyje. Kamienicę, którą urzędnicy najchętniej by rozebrali, a plac sprzedali za horrendalną sumę, my trzymamy przy życiu. Wspieramy się nawzajem i cieszymy swoją obecnością. Ta kamienica dzięki nam jest komuś potrzebna, my dzięki niej mamy swój pałac na miarę czasów, kondycji i relacji ze światem. A te bywają trudne. Zresztą pewnie domyślasz się, kto tu mieszka.

– Tak. Ale ty nie wyglądasz na alkoholika czy bezdomnego.

– Operujesz stereotypami. Wiesz, jak wielu alkoholików jest wśród wykształconych i zawodowo spełnionych ludzi? Nie wytrzymują ciśnienia, presji otoczenia, stanowiska, a alkohol jest wszędzie i zawsze. Jako artykuł pierwszej potrzeby. Na stres, na humor, na początek i na koniec, na odwagę, na przypiecztowanie dobrego interesu i na jego klapę. Zobacz, nawet na stacji benzynowej kupisz go prędzej niż bochenek chleba. A potem tacy jak ja mają pełne ręce roboty.

– Może i tak. Ale pić to jedno, a trafić w takie miejsce to drugie. Oni naprawdę nie mają gdzie mieszkać?

– Niektórzy tak. A inni nie chcą wracać do rodzin.

– Przecież są noclegownie, przytułki.

– Nie zmusisz kota do zrobienia tego, czego sam nie chce. Oni szukają niezależności. Wiem, to brzmi jak paradoks – uzależniony chce być niezależny – ale tak to właśnie wygląda. Oni tutaj czują się u siebie. Czasem tak się dzieje, że człowiekowi lepiej w takim miejscu niż w wygodnym łóżku. A nałóg? Walczą z nim, z lepszym lub gorszym skutkiem, ale jednak.

Profesor intrygował Miłosza. Imponował mu swoją elokwencją, pewnością siebie i opanowaniem. Patrzyli na siebie przenikliwie, czujnie.

– A ty tu mieszkasz? – zapytał Miłosz.

– Nie na stałe. Czasem jestem tu dłużej, czasem krócej. Mam gdzie wracać i z tego korzystam, choć tak naprawdę tu czuję się najlepiej. Oni rozumieją mnie, ja rozumiem ich. Czasem kogoś opieprzę, czasem poklepię po ramieniu. Takie psychoterapeutyczne czary-mary. Nie wiem, jak długo to potrwa, bo w końcu ktoś weźmie się za tę kamienicę i trzeba będzie szukać innego lokum.

Ale rozgadałem się, a ty przecież przyszedłeś nie po to, żebym zabawiał cię rozmową. Podobno szukasz Staszka?

– Staszka? Nie. Szukam Eugeniusza Zagórnego. Był kiedyś biegłym.

– Czyli Staszka. To jego drugie imię.

– Ciekawy sposób na rozpoczęcie nowego życia: zaczynasz się przedstawiać drugim imieniem i wszystkie problemy znikają.

– To twoja ocena.

– A ty uważasz, że to dobry gość? Opuściłeś mu wszystkie grzechy i nie pozwoliłeś powiedzieć o nim złego słowa. Mylę się?

– Ja tu nie jestem od oceniania ludzi. Staszek szukał pomocy i znalazł mnie. Zaufał, a ja zaufałem jemu. Alkohol spowodował, że omal nie stracił pracy, ale jeszcze trudniejsza była dla niego utrata spokoju. A ty szukasz go, bo...

– Bo też próbuję odnaleźć spokój, a on pomógł mi go stracić.

Miłosz wstał. Popatrzył w dół na zrujnowane podwórko, sterty śmieci i gruzu, na odarte z tynku mury, na ziejące pustką przestrzenie za wybitymi szybami.

– Kiedyś miałem wszystko. Teraz jestem niczym ta zrujnowana kamienica. A Zagórny ma w tym swój ogromny udział. – Miłosz stał odwrócony od Profesora, ale cały czas czuł na sobie jego przenikliwy wzrok. Profesor stanął obok niego.

– O tym, kto i ile stracił, musicie sobie porozmawiać w cztery oczy. Pamiętaj jednak, że to, co z daleka wydaje się bardzo oczywiste, z bliska często wygląda inaczej. Patrzysz na Komosa i co myślisz? Że to nieudacznik? Nierób? Że zasłużył na swój los? Tymczasem prawda nie jest tylko czarna albo biała. Im szybciej to zrozumiesz, tym łatwiej dogadasz się z ludźmi.

– Mówisz jak nawiedzony psychoterapeuta.

– Bo nim jestem. Ale to nie są puste słowa. To najważniejsza zasada w kontaktach z ludźmi. Słuchasz i poznajesz odcienie ich życia, dajesz im przestrzeń do wyznań. Jesteś jak ksiądz w konfesjonale, ale szukasz rozwiązań i motywów głębszych niż tylko wina i kara.

– Na razie nie potrafię tak myśleć. Nie stać mnie na taką wspaniałomyślność.

– A szkoda. Nasze życie jest takie, jakim uczyniły je nasze myśli.

– Psychoterapeuta i filozof. Dużo takich złotych myśli masz w zanadrzu? – Miłosz już zaczynał się niecierpliwić. Nie przyszedł tu po nauki moralne.

– To nie moja myśl, ale Marka Aureliusza.

– Ktokolwiek to powiedział, nie wziął pod uwagę, że na nasze myśli wpływa wiele czynników. Niestety w moim przypadku jednym z tych czynników jest Zagórny. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

– Wiem.

– Więc?

– Wiem, że to spotkanie może być dla Staszka równie ważne jak dla ciebie, dlatego ci powiem. Mieszka kilkaset kilometrów stąd.

– Gdzie?

– We Włodawie.

– Też znalazł sobie miejsce...

– Dokładnego adresu nie znam, ale Włodawa to nie Kraków. Powiesz, że szukasz Staszka Barana, i na pewno ci powiedzą.

– No proszę, nazwisko też zmienił. Jak to powiedziałaś? Nasze życie jest jak nasze myśli? No to sobie wymyślił i żyje na nowe konto.

– To nie nazwisko. Pojedziesz, zrozumiesz.

– Niczego bardziej nie pragnę. – Miłosz wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Dziękuję za informacje.

– Obyś umiał je odpowiednio wykorzystać.

Ruszył do drzwi. Jeszcze raz rzucił okiem na tę fascynującą przestrzeń, która już zawsze kojarzyć mu się będzie z Macondo. Z zadziwiającym zderzeniem światów, napiętnowaniem mieszkańców i wszechobecną, choć osobliwą, magią.

Gdzie właściwie zniknął Komes? Siedział na parapecie zanurzony w lekturze. *Sto lat samotności* pochłonęło go bez reszty.



Sęp czekał w samochodzie. Miłosz ruszył w jego kierunku. Na tylnym siedzeniu zauważył dziecięcy fotelik. Łysy skurwysyn ojcem?! Wyobrazenie go sobie, jak wiąże dziecku sznurówki lub czyta na dobranoc, było poza zasięgiem wyobraźni Miłosza. A może powinien w końcu przyznać, że więcej w Sępie człowieka niż hieny?

– Dziękuję – powiedział, po raz pierwszy wyciągając do niego rękę. Sęp wysiadł. Mocny męski uścisk zdradzał, że ten gest był dla niego ważny.

– Mam nadzieję, że spotkanie z Profesorem pozwoli panu ruszyć z miejsca.

– Też na to liczę.

– Ja uparcie podążam swoim tropem. Wiem, że każdy szczegół może być ważny. Szczególnie teraz, gdy zaginął młody Tomczyk.

A zatem wiedział, a mimo to sprawa nie trafiła do mediów. To co prawda kwestia czasu, ale dotychczasowy medialny spokój świadczył o tym, że Sęp grał czysto.

– Bądźmy w kontakcie – skwitował Miłosz, nie podejmując tematu.

– Oczywiście. Do widzenia.

Sęp odjechał, być może w kierunku przedszkola. Odbierze dziecko, dla którego jest jedną z najważniejszych osób w życiu, może opłaci rachunki, zrobi zakupy i da się pochłonać domowi, tak jak Komes krainie Macondo. A kiedy on, Miłosz, zatopi się w swoim na nowo stworzonym świecie?

Ruszył w stronę parkingu, rozmyślając o spotkaniu z Profesorem. Rozmowa z nim znacznie ułatwi odnalezienie Zagórnego. Staszek Baran. Dobre sobie. Wyjechał, kazał się nazywać baranem i myśli, że w ten sposób zmyje z siebie winę? O czym mówił Profesor?

Wibrujący telefon przerwał rozmyślenia. Marta? Od akcji z kwiatami minęło kilka dni. Zwątpił już, że zadzwoni.

– Cześć. Mam nadzieję, że kwiaty dotrwały do twojego powrotu. – Był pewien, że właśnie one i ciekawość skłoniły ją do kontaktu. Ewentualnie kolejność motywacji mogła być odwrotna.

– Miłosz, nie wiem, co mają znaczyć te kwiaty. Było, minęło, nie chcę do tego wracać.

– Posłuchaj, poszedłem do ciebie, bo...

– Nie, to ty posłuchaj. Dzwonię, bo wydarzyło się coś, co być może jest dla ciebie ważne. – Zrelacjonowała rozmowę prezesów. Miłosz słuchał

zaintrygowany.

– Tomala wyszedł dopiero po godzinie. Miał chyba obawy, czy za dużo nie słyszałam, bo patrzył na mnie podejrzliwie. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Mówili o Michale, synu Kuby.

– Więc wiesz?! Ja nie miałam o tym pojęcia. Podczas przerwy przeszłam się po okolicy. Nie musiałam długo szukać. Gdy zobaczyłam plakat, dotarło do mnie, że ta rozmowa dotyczy również ciebie, a pośrednio być może każdego z nas tworzących Ultrason.

Miłosz starał się zebrać myśli. Brał pod uwagę firmowy wątek sprawy, ale do tej pory nie wiedział, czego miałyby szukać. Informacje od Marty dawały mu punkt zaczepienia.

– Co ich tak zdenerwowało? Nie znali Kuby, więc tym bardziej nie znają Michała – zastanawiał się.

– Mam wrażenie, że tu nie chodzi o Michała, ale o rozgłos. Boją się, że jak sprawa trafi do mediów, to dziennikarze wrócą też do zabójstwa, sytuacji firmy, jej sprzedaży. A to najwyraźniej jest im nie na rękę.

– Ale dlaczego? Marta, mogę mieć do ciebie prośbę? Gdyby cokolwiek działało się w firmie...

– Oczywiście, dam znać.

– Tylko obiecaj, że będziesz ostrożna.

– I vice versa.

Rozłączyli się.

Miłosz, podobnie jak szefowie Ultrateamu, obawiał się zainteresowania mediów. Dziennikarze nie daliby mu żyć, a przede wszystkim utrudniliby poszukiwania. Ale co kierowało Gozdroniem i Tomalą? Czy trop prowadzący do Zagórnego jakoś się z nimi wiązał? Los podrzucał Miłoszowi kolejne elementy skomplikowanego układu scalonego, które sprzężone ze sobą, okazały się piętnaście lat temu niezawodne. Genialna inżynierska robota czy sekwencja przypadków? Potrzebował znacznie więcej danych, by złamać ten elektroniczny szyfr. Oby ich gromadzenie nie trwało zbyt długo.



Zofia od kilku dni czuła się gorzej. Zgryzota drażyła jej serce, odbierała siły. Sprawiała, że strach rozpanoszył się jak nieproszony gość, zawładnął jej myślami, dyktował warunki. Reagowała drżeniem na niespodziewane dźwięki. Natrętnie sprawdzała, czy zamknęła drzwi, zdając sobie sprawę, że dla jej największego wroga nie stanowią żadnej zapory.

Usiadła w fotelu, przymknęła oczy. Zmarszczki przypominały wąwozy, po których w deszczowy czas płyną potoki bezsilnej goryczy. Oczy zapadły się, a skóra sprawiała wrażenie przezroczystej, pozbawionej życia. Siwe kosmyki opadały na wychudłe ramiona. W kościstych palcach przesuwiała paciorki różańca.

Delikatne skrzypnięcia wybudziły ją z modlitewnego letargu. Tym razem nie drgnęła. Po twarzy przebiegł jej uśmiech, ale nie otworzyła oczu. Chciała pozostać w świecie, który przywołany dźwiękiem ożył jej pod powiekami.

Zobaczyła siebie – kilkuletnią dziewczynkę biegającą wokół ogromnej lipy, przy której dziadek przygotował dla niej niespodziankę. Świeżo oheblowany kawałek deski pomalował zieloną farbą, przez otwory przeciągnął łańcuchy, a potem przerzucił je ponad konarem i połączył w całość. Potem posadził ją uroczyście i huśtał, huśtał, huśtał... Najpierw nisko, a potem wyżej i wyżej, do samego nieba. Miała się mocno trzymać, bo upadek bardzo boli. Bała się bólu, ale tak bardzo chciała dotknąć błękitu, że nie zważała na ryzyko.

Potem, gdy nauczyła się odpowiednio poruszać nogami, dziadek już nie musiał jej pomagać. Od czasu do czasu musiał skracać łańcuch, by nogami nie dotykała ziemi.

Gdy huśtanie się jej nudziło, ciągnęła dziadka do sadu, żeby tam opowiadał jej historie o drzewach. O rajskiej jabłoni, o cichej gruszy zasianej przez idący polem wiatr, o wiśniowych gałązkach, które uchroniły dom od czartów. A później o lipie, bzach, jarzębinach, a nawet sosnach i bukach. W każdym drzewie widział kogoś lub coś, dla każdego miał dobre słowo. Nawet gdy w andrzejkowe wieczory lali wosk, szukał w rzucanych na ścianę cieniach swoich drzew.

Kilka lat później dziadek ponownie wydłużył łańcuchy – dla braciszka. Teraz ona z dumą uczyła go sztuki huśtania się, poruszania nogami, sięgania

nieba. A gdy dziadka zabrakło, opowiadała bratu historii o drzewach.

Wiele lat później wprowadzała w ten tajemniczy świat swojego synka – cherubinka o niebieskich oczach i zawsze rumianych policzkach. Huśtał się chętnie, ale opowieści o drzewach nie fascynowały go tak, jak by chciała. Za to godzinami mógł się przyglądać terkocącemu na wietrze odpustowemu wiatraczkowi albo przekręcać przyłożony do oka kalejdoskop.

Mały rósł, rozwijał się i prawie nigdy nie płakał. Sąsiadki zawsze zazdrościły jej tak grzecznego dziecka. I słusznie. Jakaż była dumna, gdy przyniósł do domu pierwsze świadectwo. Jej syneczek. Jej pociecha i podpora. Były też trudne dni, ale o nich nie chciała pamiętać.

Gdy zdał maturę, a potem dostał się na studia, przechadzała się po swojej ulicy i niby przypadkowo spotkanym sąsiadkom opowiadała, jaki to mądry chłopak i jak wiele w życiu osiągnie. Na pewno znajdzie sobie piękną i równie mądrą dziewczynę, ożeni się, a ona będzie mieszkała z nimi i wychowywała wnuki. A może ma kogoś, tylko ona o tym nie wie? Nie. Na pewno by jej powiedział. Albo sama by się domyśliła. Zna go jak nikt.

Szum za oknem przerwał falę wspomnień. Otworzyła oczy. Powoli wstała i podeszła do okna. Z czarnych deszczowych chmur, wiszących nad miastem od wielu godzin, lunął deszcz. Popatrzyła na huśtawkę. Duże krople spływały strumieniami po pokrytych rdzą łańcuchach i zalewały siedzisko. Naga lipa nie była w stanie niczego osłonić.

Tak. Zofia nie miała wątpliwości, że spadła ze swojej huśtawki. Ze swojego sielskiego świata, do dołu wygrzebanego własnymi stopami. I mocno się potłukła. Lipa i huśtawka płakały teraz razem z nią. Gdzieś w sadzie płakały drzewa dziadka i on sam.

Nagle pod oknem dostrzegła jakąś postać. Ich spojrzenia przyciągnęły się niczym magnes. Różaniec wypadł jej z ręki.



Zanim wsiadł do samochodu, rozejrzał się uważnie. Od wyjścia z aresztu robił wszystko, by jak naj- skuteczniej zmylić ewentualnych opiekunów.

Parkował daleko od mieszkania czy miejsc, do których się udawał. W sieci uliczek, podwórek, galerii handlowych z kilkoma wejściami łatwiej było zniknąć z pola widzenia, ale... Dopiero teraz dotarło do niego, że to bezcelowe. Zacořany inżynier. Przecież nikt nie musi za nim chodzić. Wystarczy, że namierzą telefon. Wszystko mają na tacy – gdzie jeździ, z kim rozmawia, a może nawet o czym. Gdy go zamknęli na dołku, rzeczy osobiste zabezpieczono. Telefon też? Szperał intensywnie w pamięci. Nie. Rozładował się podczas powrotu z Bieszczadów i został w mieszkaniu. Czyli podsłuchu raczej nie ma. Chociaż tyle dobrego. Miłosz był wściekły. Nie na Sznajdera, ale na siebie i swoją głupotę. Jeśli chce przechytrzyć policję, musi myśleć i działać jak przestępca. To przecież paranoja! On, który walczył o oczyszczenie z zarzutów i zmycie piętna mordercy!

Był tak zajęty analizowaniem sytuacji, że nawet deszcz zalewający szyby samochodu nie mógł go rozproszyć. Pomyślał o konsekwencjach swojej ignorancji. Co może wiedzieć o nim Sznajder? Że był w biurze ekspertyz? Oby nie. Czy mogą powiązać wizytę na Szenwalda z Zagórnym? Trudno powiedzieć. Zależy, ile sami wiedzą i jak mocno w całej sprawie umocznona jest policja. Telefony do Marty i Iwony nie powinny budzić żadnych podejrzeń. Jest jeszcze Sęp – jako dziennikarz może ich zainteresować, a to nie byłoby dobre dla dalszej współpracy. Musi go uprzedzić. Przez chwilę miał obawy o mieszkańców kamienicy, ale ona była raczej jak Trójkąt Bermudzki. A poza tym, kto mu zabroni spacerować po Kazimierzu? Może nie jest jednak tak źle, jak myślał. Najważniejsze, że otrzeźwienie przyszło, zanim wyjechał szukać Zagórnego. Nie chciał mieć towarzystwa. Przypomniał sobie rozmowę z Martą i pytanie, które zaprzętało mu głowę jeszcze kilkanaście minut wcześniej. Czy istnieje jakiś związek między Zagórnym a Tomalą i Gozdroniem? Okaże się. Zanim wyjedzie, musi jeszcze coś sprawdzić.



Robiło się coraz ciemniej. Studzienki zapchane jesiennymi liśćmi nie nadały przyjmować wody. Światła samochodów odbijające się od zalanej deszczem jezdni ograniczały widoczność i męczyły oczy. Jeszcze dwie

przecznice i będzie na miejscu. Nie anonsował się. Wiedział, że Igor pracuje nad jakąś sprawą i siedzi do późna w kancelarii.

Chciał przejrzeć umowę sprzedaży firmy. Gdy ją finalizowali, był pewien, że Ultrason trafia w dobre ręce. Nie rozumiał, co mogła oznaczać podsłuchana przez Martę rozmowa. Nie wiedział też, czy umowa na coś się przyda, ale na razie tylko to w tej sprawie przyszło mu do głowy.

Z trudem znalazł miejsce do zaparkowania. Już miał wysiąść, gdy w drzwiach budynku pojawił się Sznajder. Zrzucił kaptur, podbiegł do zaparkowanego przy wejściu land rovera i odjechał. Czyżby pracowali nad tą samą sprawą? Z tego, co zdążył zaobserwować, panowie nie pałali do siebie sympatią. Koleżeńską wizytę można więc było wykluczyć. Mimo to w Miłoszu zaczęły się rodzić podejrzenia, a te sugerowały ostrożność. Nie wysiadł. Odczekał chwilę i zadzwonił. Igor był jeszcze w kancelarii, ale za chwilę zamierzał wyjść.

– To pilne? – zapytał.

– Nie aż tak, żeby nie mogło poczekać do jutra.

– A jak Zagórny? Udało ci się coś ustalić?

– Nic ponad to, co już wiesz. Przepadł bez śladu. Martwię się o Ankę i Michała. Znasz może jakieś szczegóły śledztwa?

– Mam wrażenie, że sprawa utknęła w martwym punkcie.

– Skąd wiesz? Widziałeś się ze Sznajderem?

– Ze Sznajderem? Nie. Dlaczego? – Igor się zawahał.

– Bo to on jest głównym źródłem informacji.

– Może jest, ale mnie się nie spowiada. – W głosie Igora dało się wyczuć zdenerwowanie. – Wpadnij jutro. Gdyby mnie nie było, sekretarka udostępni ci dokumenty. Zgoda?

– Zgoda. Do jutra.

Miłosz nie odjechał. Myślał o tym, co się wydarzyło. Igor kłamał. Jaki miał ku temu powód? Dlaczego powiedział, że nie widział się ze Sznajderem? Dlaczego powiedział, że się spieszy, a potem przez co najmniej godzinę nie wyszedł z kancelarii? A może Miłosz powinien do niego pójść i powiedzieć, kogo widział? Nie, to może zrobić zawsze. Jeśli coś jest na rzeczy, to lepiej mieć przewagę. Niech myślą, że on niczego nie podejrzewa, a będzie mógł

nimi manipulować. Plan wydawał się słuszny, choć w głowie Miłosa wciąż pojawiała się natrętna myśl: Igor, w co ty grasz?



Deszcz osłabł. Z subtelnością artysty malował impresje na kałużach, trącał pozostałe na drzewach liście, muskał nielicznych o tej porze przechodniów. Jego monotonny, miarowy dźwięk rozchodzący się po dachach, po ścianach domów, opływający okienne szyby sprawiał, że Kraków zasypiał. Gasły ostatnie światła. Beata, która od kilku dni cały czas była przy Ance, przygnieciona ciężarem bezradności również zasnęła. Anka snuła się po domu jak duch szukający sposobu, by uwolnić się z udręki ziemskiego życia. Zapadnięte policzki, oczy pozbawione blasku, chudość ciała podkreślona cienkim szlafrokiem i bosa stopy marznące na zimnej podłodze. Cień kobiety. Cień matki.

Czekanie, najbardziej bierna z czynności, paraliżowało jej życie. Sprawiało, że balansowała na cienkiej linii, poza którą była już tylko ciemność. Drażek, pozwalający utrzymać równowagę, co chwila wypadał z jej rąk, ale jednocześnie jakaś niewidzialna siła wpychała go z powrotem i kazała zaciskać na nim palce. Więc zaciskała. Aż do bólu.

Piętnaście lat wcześniej też czekała. Przy pięknie zastawionym stole miała zasiąść wraz z Kubą i naprawić to, co się popsuło. Nie zdążyła. Czekać nie znaczy doczekać się.

Weszła do pokoju Michała. Który to już raz próbowała szukać tu pewności, że wszystko się ułoży? Nasłuchiwała jego głosu, choćby nawet zdenerwowanego. Patrzyła na niskie niepościelone łóżko – centrum jego świata. Na nim spał, uczył się, odpoczywał, grał. Obok stały piramidy książek i gazet. Te czytane ostatnio leżały na łóżku, podobnie jak na wpół wypita butelka wody mineralnej. Ubrania rzucone w przypadkowych miejscach, hantle wystające spod turystycznego plecaka, rozrzucone papiery – nie, to nie był pokój pedanta.

Ileż razy złościła się na ten nieład! Potem sprzątała, układała, wycierała kurze i obiecywała sobie, że nigdy więcej tego nie zrobi. On przecież musi

nauczyć się porządku. Gdy wracał do domu, wygłaszała emocjonalne kazania, czasem krzyczała, że nie jest sprzątaczką i ma dosyć tej ciągłej segregacji odpadów – tak nazywała porządkowanie jego pokoju.

Teraz patrzyła na ten bałagan i cieszyła się, że daje jej ułudę normalności. Nie pozwoliła policji na przeszukanie pokoju, nie pozwoliła na zatarcie śladów obecności Michała. Dała tylko laptop. Gdy go zwrócili, położyła go dokładnie w tym samym miejscu – na niewielkiej szafce obok łóżka. Histeryczne domaganie się porządku wydało jej się teraz śmieszne. Jak też hierarchia wartości potrafi zmienić się z dnia na dzień...

Bezgłośnie zamknęła drzwi. Niech śpi. Niech będzie mu ciepło. Niech wie, że ona czuwa.

Przemknęła po schodach jak zjawa. Zajrzała do pustego pokoju Heleny i zatęskniła za nią. Pierwszy raz w życiu poczuła, że chciałaby móc się do niej przytulić jak do matki. Jej rodzice zmarli dawno temu. Jeśli nie Helena, to kto miałby ją teraz pocieszyć? Ale jej też nie było. Czekanie. Znowu czekanie.

Na wieszaku w przedpokoju dostrzegła granatowy garnitur i białą koszulę. Tuż przed zaginięciem Michała odebrała je z pralni. Jak on elegancko w nich wyglądał! Do tego mucha w kolorze butelkowej zieleni i lakierki. Ogromna odmiana dla chłopaka chodzącego zazwyczaj w glanach i w skórzanej kurtce, ale są okazje, które wymagają odpowiedniej oprawy jak bal gimnazjalny czy egzaminy. Przed maturą trzeba będzie kupić drugi zestaw. Przed maturą...

– Gdzie jesteś? – wyszeptwała, wpatrując się w ubrania. – Dlaczego nie wracasz?

Łzy napłynęły jej do oczu i kapały coraz szybciej mimo zaciśniętych powiek. Drżenie warg opanowało całe ciało. Szloch przeszedł w łkanie. Chciała przylgnąć do synowskich ubrań, ale mokra twarz przylepiła się do przezroczystego ochronnego worka. Odsunęła się gwałtownie. Worek! Znowu worek! Pobiegła do salonu. Ze srebrnego listka leżącego na komodzie wyłuskała tabletki i zacisnęła je w dłoni. Drugą ręką sięgnęła po butelkę. Usiadła na sofie. Przerazonymi oczyma patrzyła w stronę przedpokoju. Delikatne światło lampki załamujące się na foliowym worku nie pozwalało dostrzec garnituru. Białe tabletki widziała jednak wyraźnie. Bardzo wyraźnie. Ukoją jej myśli, uspokoją ciało, pozwolą rozplątać się w błogiej nieświadomości. Tak czasem trzeba, by móc znowu żyć. Tak czasem trzeba.

Bursztynowy płyn poruszył się w pochylonej butelce. Jej oczy patrzyły martwo w ten sam punkt.



Dochodziła pierwsza. Wstała, by rozprostować kości. Wokół panowała ciemność. Prawdziwa ciemność, której można doświadczyć tylko tu. Dzięki niej w pogodną noc nawet początkujący obserwator dostrzeże na rozgwieżdżonym niebie najwymyślniejsze konstelacje. Zachwyci się deszczem meteorytów, których próżno wypatrywać w pełnym latarni wielkim mieście. Doceni niepowtarzalne światło księżyca, przy którym budzi się do życia nocna odsłona Bieszczadów. Ale tej nocy nie było gwiazd. Nie było księżyca. Nisko wiszące chmury rozsiadły się w dolinach i nie wróżyły dobrego poranka. Iwona nie chciała myśleć o tym, co będzie. Dlatego zaszyła się w bezpiecznej przeszłości.

Dołożyła drewno do kominka, zrobiła sobie kolejną kawę i wróciła do przeglądania kronik.

Od kilku dni, gdy tylko czas pozwalał, oddawała się temu pasjonującemu zajęciu, nie zapominając jednocześnie, że to nie sentyment, a prośba Miłosza skłoniły ją do tej podróży. Udało się jej znaleźć informacje, które mogły go zainteresować, zwlekała jednak z ich wysłaniem. Kto wie, może wpadnie na coś jeszcze?

Przy okazji przypominała sobie ludzi, ich przyzwyczajenia, zachowania. Uświadomiła sobie, jak wiele przez te lata się zmieniło. Na szlakach przybyło turystów, również tych przypadkowych, dla których wejście na szczyt to tylko uciążliwy obowiązek. Nie wystarczały już im pokoje ze wspólną łazienką. Nawet studenci coraz częściej szukali apartamentów, a nie wieloosobowych kwater. Jednocześnie ubyło harcerzy. Już nie budził jej równy krok zmierzających na szlak drużyn, na które tak lubiła patrzeć, będąc dzieckiem. Zastanawiała się wtedy, co takiego niosą w swoich wypełnionych po brzegi plecakach. Zdarzało się, że pomagali w ogrodzie czy w polu, a potem, ugoszczeni kompotem i szarlotką, zostawiali po sobie atramentowy ślad. Młodość, spontaniczność i radość – to była ich wizytówka w kronikach. A jakie wizytówki zostawiali inni? Niektórzy zegnali się pospiesznie, w kilku słowach. Inni rozpisywali się na temat pobytu, pogody, serwowanych dań i uroczej gospodyni. Same superlatywy. Takie prawo kronik. Jak pisać, to dobrze. Co złe, zabiera się ze sobą i po prostu nie wraca w to samo miejsce. Były też ambitniejsze zapiski. Jakieś cytaty, złote myśli, fragmenty piosenek,

no i zdjęcia robione polaroidem. Mama dostała go w prezencie gwiazdkowym na początku lat dziewięćdziesiątych. Dawał możliwość otrzymania zdjęcia już po chwili, więc odżałowała drogie wkłady i cieszyła się tym cudem techniki pozwalającym na uwiecznienie gości, oczywiście o ile sami tego chcieli. Skrzętnie wklejała i opisywała zdjęcia.

Dzięki temu Iwona mogła teraz przypomnieć sobie twarze, zestawić wpisy z konkretnymi osobami. I tu zaczynała się prawdziwa zabawa, grafologiczna, psychologiczna, a nawet kryminalistyczna. Kiedyś interesowała się kształtem pisma i ukrytymi w nim sekretami ludzkiej natury. Taki młodzieńczy konik, podobny do poszukiwania znaczeń imion czy związku układu gwiazd i planet z życiem. Zapiski w kronice nie stanowiły co prawda najlepszego źródła informacji, bo każdy chciał je sformułować jak najlepiej, jak najstaranniej, zatem więcej mówiły o tym, jacy chcieli być goście, niż jacy naprawdę byli. Ale to przecież tylko zabawa. Iwona podjęła grę. Litery staranne, z zawijasami charakterystycznymi dla nauki kaligrafii – to twardy orzech do zgryzienia dla specjalistów, bo takie pismo jest wyuczone, pozbawione spontaniczności. Popatrzyła na zdjęcie. Dwójka starszych ludzi uśmiechała się życzliwie do obiektywu. Skąd byli? Chyba z Lubartowa. Przyjeżdżali wielokrotnie. Najpierw by wędrować, potem, gdy nogi już nie pozwalały na wycieczki, odpoczywać w miejscu, które kochali. A to? Duże, okrągłe, zamaszyste litery – grafolog powiedziałby, że to wpływ pozytywnych emocji. Słusznie. Przecież o to się starały, i ona, i kiedyś jej mama – by turyści wyjeżdżali stąd w dobrym nastroju. Tekst był dowodem na to, że się udało. Kolejny wpis. Litery owalne, niepochyłone, duże, z niewielkimi odstępami – miła kobieta, przyjaźnie nastawiona do świata. Zerknęła na zdjęcie. Czyżby? Jeśli opierać się na wyrazie twarzy, absolutnie nie. Ale Iwona przez te wszystkie lata nauczyła się nie oceniać ludzi po pierwszym wrażeniu. Dlatego w tym wypadku skłonna była przyznać rację swojej amatorskiej znajomości grafologii. A tutaj? Próby odcyfrowania bazgrołów nie przyniosły efektu. Czyżby ktoś o nieprzeciętnej inteligencji? Na zdjęciu uwieczniono kilka osób. Która mogła to napisać? Może ten łysiejący pan z wysokim czołem? O, a to? Drobne drukowane litery z charakterystycznym „a”. Z tego, co pamiętała, tekst pisany drukiem nie był najlepszym materiałem badawczym. Ale co tam, spróbować można. Niewielkie litery i ich szerokość mogły świadczyć o nieśmiałości. Tymczasem margines rozszerzający się ku dołowi to impulsywność. Podpis, a właściwie same inicjały, różnił się nieco od całości. To też o czymś świadczyło, ale nie mogła sobie przypomnieć o czym. Brakowało zdjęcia. Gramatyczna forma

tekstu nie zdradzała płci gościa. Im dłużej się przyglądała, tym bardziej była przekonana, że ten rodzaj pisma już widziała.

Tak. Na pewno. Tylko gdzie? Zaintrygowana, wróciła do przejrzaných już opasłych tomów. Zaczęła gorączkowo przerzucać kartki.



Setki dźwięków bombardują uszy. Jakby muzycy ogromnej orkiestry stroili bezskutecznie instrumenty albo celowo mylili nuty, improwizując kakofoniczny koncert. Moc dźwięków narasta. Są wszędzie. Osaczają go. Zatyka uszy, broniąc się przed mającym nadejść bólem. Chce biec, uciec, ale zawieszony w pochłaniającej go czerni nie potrafi zrobić kroku. W panice obraca się na wszystkie strony. Z trudem łapie powietrze. Nie słyszy swojego oddechu. Czuje, że serce bije mu znacznie szybciej, niż powinno. Próbuje dostrzec jakikolwiek element przestrzeni. Na próżno. Nieużyteczny wzrok i upośledzony słuch sprawiają, że coraz mocniej czuje roznoszące się wokół zapachy. Pod stopami ma świeżo przekopaną ziemię. Ale to nie ją czuje najwyraźniej. Klęka. Dłonie obmacują podłogę. Wokół tylko ziemia, wilgotna, zimna, rozpulchniona. Próbuje przesunąć się na klęczkach, ale coś mu przeszkadza. Szarpie się. Przeszywający ból rozrywa lewą stopę. Odruchowo łapie ją obiema rękami. Palce natrafiają na chropowatą metalową powierzchnię. Już wie, co to za zapach. Mdły zapach jego krwi. Sączy się z ran i wsiąka w ziemię. Ziemię, która wszystko przyjmie. Gotowa przyjąć też jego. Tu i teraz. Nie da się tak łatwo. Próbuje rozgiąć metalowe zęby. Nadludzkim wysiłkiem udaje mu się je rozewrzeć, ale wilgotne od krwi palce nie są w stanie utrzymać ich dłużej. Z impetem przywierają do pogruchotanych kości i poszarpanego ciała. Do uszu dociera zwierzęce wycie, które wybija się ponad nieustającą kanonadę dźwięków. Jego wycie.

Traci przytomność. Gdy świadomość wraca, nie słyszy już fałszywego koncertu na setki rąk. Zmrużone oczy wychwytyją niknące w ciemności błyski, nadchodzące z różnych stron. Są coraz bliżej. Jest pewien, że to pomoc. Chce wołać, ale nie może wydobyć z siebie głosu. W rozedrganym powietrzu mającą coraz mocniejsze światła, drżą nowe dźwięki. Czuje na

sobie czyjś wzrok. Słyszy przyspieszone oddechy. Dostrzega delikatnie oświetlone twarze i wpatrzone w niego oczy. Zna je doskonale. Wyciąga ku nim ręce, ale znikają jakby w reakcji na jego gest. Słyszy złowroźbny znajomy śmiech. To chrapliwy śmiech karła. I do tego te szepty, świszczące, nakładające się na siebie. Dostrzega powykrzywiane w grymasie twarze. Wiele twarzy. Chude, złowrogie, raniące spojrzeniami. Widział je wielokrotnie. Już wie, że to nie pomoc. To zacieśniająca się obława. Jest w pułapce. Jak zaszczute, osaczone zwierzę. Śmiech narasta. Szepty dudnią w uszach. Postacie zbliżają się. Wyciągają dłonie. Na jednej z nich dostrzega tatuaż. TEN tatuaż. Kuli się, próbując uniknąć kontaktu. Kościste palce zaciskają się na szyi. Próbuje je rozerwać. Bezskutecznie. Chce zaczerpnąć powietrza, ale z gardła wydobywa się tylko charkot. Na przekór wszystkiemu chce żyć. Tak bardzo chce żyć.

Miłosz zerwał się. Siadł na łóżku. Chciałby powiedzieć, że to tylko sen, który zaraz zniknie, rozmyje się w codzienności. Ale nie. Ten, jak i wszystkie wcześniejsze, wnikle w pamięć jak inkaust. Nałoży się na poprzednie senne plamy, których nie da się wywabić. Sny będą wracać i ranić. To jego wnyki – wnyki traum, niepokojów, wątpliwości, ale też przeczuć, zaskakujących wydarzeń, wciąż niepewnej przyszłości.

Ludzie miewają podobno piękne sny. Potem szukają ich znaczeń. Zapisują. Chwalą się nimi. Czekają na kolejne. Miłosz nie czekał i nie przeszukiwał senników. Po co? By dolewać czerni tam, gdzie był już wystarczający mrok?

Senne postacie, równie realne jak on teraz, tkwiły nadal w jego głowie. Widział oczy Anki – opuchnięte, zalane łzami, przerażająco odległe. I oczy Igora – obce, nieufne, czujnie rozglądające się wokół. A jak wyglądają teraz jego oczy? Co zobaczyliby w nich inni? Jeśli naprawdę są zwierciadłem duszy, to lepiej, by nikt w nie teraz nie zaglądał.



Ogień w kominku dawno wygasł. Iwona otulona szalem siedziała przy komputerze w świetle niewielkiej lampki i kończyła pisać mail. Po kolejnych trzech godzinach wyteżonej pracy, przeszukiwania kronik i ksiąg, zarówno

z jej domu, jak i tych od pana Józefa, nabrała pewności, że pod nietypowymi wpisami kryje się jakaś tajemnica. Przyplącała to zaangażowanie bólem pleców i kolejną zarwaną nocą, ale jeśli jej ustalenia pomogą Miłoszowi, to było warto.

Jeszcze raz sprawdziła załączone skany i ponownie przeczytała list. Czy napisała o wszystkim? Chyba tak. A może powinna wspomnieć o panu Józefie i dać Miłoszowi znać, że sytuacja jest poważniejsza, niż wynikałoby to z ich ostatniej rozmowy? Że stan się nie poprawia. Że lekarz nie odbiera nadziei, ale też nie pociesza. Że jest mu za to wdzięczna, podobnie jak za zgodę na wizyty, której jako formalnie obca osoba nie powinna uzyskać. Że jeździ i trzyma pana Józefa za rękę, by czuł obecność kogoś bliskiego. I jeszcze o tym, jak wiele to ją kosztuje. Że się boi. Tak cholernie się boi! Otarła zabłąkaną łzę.

Nie. Nie teraz. Da znać, jak stan się poprawi, a najlepiej, jak pan Józef wróci do domu. Wysłała wiadomość. Wyłączyła komputer i lampkę. Noc rozgościła się na dobre. Co przyniesie świt?



Świtało. Z samochodowego radia sączyła się muzyka. Poranne mgły, niczym odchodzące senne mary, rozpląwały się po polach, rozpełzały po podwórkach, snuły między drzewami. Niebawem przepadną bez śladu, ale kolejnej nocy wrócą, by wzbudzać niepokój, odbierać pewność działania, przywoływać upiory.

Miłosz myślał o swoim śnie, o swoim drugim życiu. Niemal każdej nocy zmagał się z czyhającymi w nim tajemnicami, przesiąkał stęchlizną przesuwających się przed oczyma obrazów. Odczuwał lepkość powietrza, które spłycało oddech, obrzydzało dotyk. Kurcząca się przestrzeń pełna toksycznych dźwięków nie pozwalała na ucieczkę. Wracał ból, dojmujący strach i to niezrozumiałe poczucie winy. Odpychał je jak znienawidzonego natręta, ale na próżno. Po takich doświadczeniach obudzenie się w prawdziwym życiu przynosiło ulgę, jednak krótkotrwałą.

Teraz szykował się do kolejnej potyczki, tym razem z rzeczywistością. Telefon zostawił w mieszkaniu, żeby niepotrzebnie się nie narażać. Niech

myślą (jeśli myślą), że nadal jest w Krakowie. Najważniejsze numery wpisał do nowego aparatu i wykorzystał pierwszy z kilku zakupionych wieczorem starterów, które za sowitą opłatą zarejestrował na siebie jeden z bywalców okolicznego sklepu monopolowego.

Wyposażony w środki obrony koniecznej, czyli nóż i teleskopową pałkę, ruszył do Włodawy. Nadal nie wiedział, czego może się spodziewać po Zagórnym. Portret naszkicowany w myślach pod wpływem rozmów z Profesorem i przypadkowo poznanym sąsiadem daleki był od wizerunku bezwzględного przestępcy. Ale to tylko szkic. O jakie szczegóły go wzbogaci, gdy stanie z Zagórnym twarzą w twarz? Jakie barwy przeważą? Jak wyostrzą się rysy? Kim jesteś, panie Zagórny vel Baran?

Gdy po blisko pięciu godzinach minął tablicę z napisem Włodawa, wybiła dziewiąta. Radiowe wiadomości skutecznie przypomniały, jaki jest świat początku dwudziestego pierwszego wieku. Bo czyż może być bardziej wymowny komentarz niż to, że sąsiad zabija sąsiada, bo pod wpływem dopalaczy zobaczył w nim demona? Ale Miłosz wjeżdżał do miasteczka, które, dzięki wielokulturowej i wielowyznaniowej tradycji, mogłoby stać się antidotum na współczesność. Gdy zatrzymał się na parkingu nieopodal synagogi, przywitały go drewniane rzeźby rabina, popa i zakonnika stojące obok siebie w przyjaznych pozach. Czy to tylko pamiątka bogatej przeszłości, czy dowód życzliwości i akceptacji?

Zagórny też tu żył. I jego przyjęło to miasto. Z tolerancji czy nieświadomości? Któż mógł tu wiedzieć o jego przeszłości. Zresztą Miłosz też niewiele wiedział. Przyszedł czas, by to zmienić.

Ruszył w stronę rynku, poszukując kogoś, kogo mógłby zapytać o Zagórnego, ale wokół było niemal pusto. Wszedł do piekarni. Zapach świeżego pieczywa przypomniawszy mu, że jeszcze nic nie jadł. Młoda dziewczyna w białym czepku i fartuchu wykładała na półki okrągłe bochenki chleba. Miłosz poprosił o palucha z serem, zapłacił i zapytał:

– Szukam Staszka Barana. Wie pani może, gdzie mieszka?

– Staszek Baran? Niestety nie znam. Ale ja nie mieszkam we Włodawie. Trzeba pytać kogoś tutejszego.

– Maślane dojechały? – zawołała starsza kobieta, stając w drzwiach piekarni. Przy witrynie postawiła rower z koszykiem przyczepionym do kierownicy.

– Są. Odłożyłam dla pani.

– To daj, kochaniutka. Zapłacę i jadę. Do wnuków się spieszę – powiedziała i wyciągnęła dłoń z bilonem.

Dziewczyna wyniosła zapakowane w papierową torebkę maślane rogate.

– Proszę bardzo. Wyliczone?

– A jakże. Co ma być niewyliczone.

– A może pani zna Staszka Barana? Pan pyta, a ja niestety nie mogę pomóc.

– A co mam nie znać. On to przecież nasza złota rączka.

Pewnie, że złota rączka. Sam tego doświadczyłem, pomyślał Miłosz.

– Pokaże mi pani, gdzie on mieszka? – zapytał.

– Pokażę. A co mam nie pokazać. Podprowadziłabym pana, ale ja w drugą stronę. Bo widzi pan...

– Wnuki czekają, wiem – powiedział Miłosz z wymuszonym uśmiechem i wyszedł na zewnątrz.

– Pójdzie pan w stronę kościoła. O tam, gdzie widać wieżyczki. Przy kościele jest droga w dół. Na początku asfalt, a potem gruntowa. Oj, biegano się za młodu nad Bug, to się dobrze drogi zna.

– Asfalt, a potem gruntowa... – powtórzył Miłosz.

– Za Włodawką, za mosteczkiem znaczy, skreśli pan w prawo, a tam za jakieś dwieście metrów dom. Innego tam nie ma, więc trafi pan na pewno. A pozdrowi pan pana Staszka ode mnie.

– Oczywiście. Co mam nie pozdrowić. Dziękuję.

Kobieta uśmiechnęła się na te słowa. Machnęła ręką na pożegnanie, wskoczyła dziarsko na rower i odjechała.

Miłosz ruszył. Minął kościół, niewielkim mostem przeszedł na drugą stronę Włodawki i skręcił w utwardzoną tłuczniem drogę gęsto obrosniętą drzewami. Gdzieś za nimi płynął Bug – naturalna granica niby podobnych, a jednak różnych światów. Na tej granicy mieszkał Zagórny. Dlaczego wybrał właśnie to miejsce? Może to ucieczka przed tymi, którzy szukali go w ostatnim czasie? Miłosz miał nadzieję znaleźć odpowiedzi na swoje pytania.

Czuł, jak z każdym krokiem rośnie w nim napięcie. Coraz szybciej bijące serce i zaciskający się żołądek dawały znać, że zewnętrzny spokój to tylko

nieudolny kamuflaż. Maską, która spadnie, gdy przekroczona zostanie granica wewnętrznej gorączki.

Po kilku minutach marszu dostrzegł wyłaniający się zza drzew dom. Zatrzymał się. Osłonięty kępą krzewów, mógł przyjrzeć się obejściu. Dom był niewielki, parterowy. Na tle bielonych ścian rosły krzewy dzikich róż. Nagie gałęzie gęsto oblepione czerwonymi owocami nadawały temu miejscu niepowtarzalny urok. Z ceglanego komina wydobywała się pionowa smuga dymu. Dalej, wzdłuż drogi, rozciągały się łąki ograniczone z lewej strony zakolami Bugu, a z prawej niespiesznym nurtem Włodawki. W tym sielskim krajobrazie, w niewielkim domu mieszkał Zagórny, cieszący się szacunkiem i sympatią sąsiadów. Wiódł tu normalne życie, podczas gdy on ciągle walczył o swoje. Narastająca złość sprawiła, że Miłosz nie zastanawiał się dłużej. Podszedł do furtki. Prawą rękę trzymał na wszelki wypadek w kieszeni kurtki, gdzie miał nóż. Miał właśnie nacisnąć klamkę, gdy zauważył jakieś zwierzę, wielkie, czarne, kudłate. Przy drzwiach wejściowych leżał baran i wpatrywał się w Miłosza z taką uwagą, jakby zastanawiał się, czy należy go wpuścić.

Drzwi się otworzyły. Ukazała się w nich młoda kobieta ze skórzaną torbą w ręce. Wychodząc, pospiesznie narzucała na siebie płaszcz.

– Panie Stasiu, biegnę. Będę jutro. Poproszę panią doktor o receptę. I co, od razu wykupić?

– Jeśli pani może, będę wdzięczny – odpowiedział głos z wnętrza domu.

– O, widzę, że ma pan gościa – powiedziała i uśmiechnęła się do Miłosza.
– To do jutra! – zawołała i pobiegła drogą w kierunku miasta.

W drzwiach pojawił się szczupły starszy mężczyzna z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami. Adam Słodowy – takie było pierwsze skojarzenie Miłosza.

– O, niech pan wejdzie. Spodziewałem się pana nieco później, ale nic nie szkodzi, bardzo proszę.

Miłosz stał zdezorientowany. Nie dość, że miał przed sobą sympatycznego człowieka podobnego do idola z młodych lat, to jeszcze okazało się, że jest oczekiwanym gościem.

– Śmiało. Baron nie gryzie – zaśmiał się. – Kiedyś miałem tu wielkie stado, ale tylko on został. A wierny jest jak pies.

Miłosz stał przed furtką i wpatrywał się w Zagórnego.

– Pan jest tym nowym rehabilitantem, prawda?

– Nie – odpowiedział Miłosz surowym głosem.

– Nie? – Spoważniał. – To przepraszam. Zatem co pana do nas sprowadza?

– Nie poznaje mnie pan?

Zagórny patrzył dłuższą chwilę zmrużonymi oczyma, po czym zgarbił się, westchnął i powiedział cicho:

– Proszę.

Miłosz wszedł za nim. Prawą rękę wyciągnął z kieszeni pewny już, że nie będzie musiał korzystać z noża. Wyobrażał sobie ten moment wielokrotnie, ale nigdy tak. Nie sądził, że spokojnie wejdzie do domu Zagórnego, zasiądzie przy stole nakrytym obrusem i będzie czekał na rozwój wypadków. Nagle usłyszał czyjś głos, bełkotliwy, ale na pewno kobiecy. Zagórny przeprosił na chwilę i zniknął za drzwiami prowadzącymi do kolejnego pomieszczenia. Miłosz wstał i podążył za nim. Otworzył drzwi. Zagórny stał pochylony nad ortopedycznym łóżkiem, na którym leżała filigranowa kobieta. Zaskoczenie, ale też intymność tej sceny kazały Miłoszowi się wycofać. Ponownie usiadł przy stole. Patrzył na skromne, ale schludne wnętrze, na wysłużone meble, na wyblakły dywan, na drewnianą podłogę, z której dawno zszedł lakier. Dom wymagał remontu. Nie były w stanie tego ukryć ani ręcznie dziergane serwety, ani wełniana kolorowa narzuta, ani białe firanki w oknach. Paradoksalnie ich biel uwydatniała brudną szarość ścian.

Zagórny wrócił po kilku minutach. Usiadł naprzeciwko Miłosza.

– Może to pana zdziwi, ale cieszę się, że pan do mnie przyjechał.

– Co pan powie? – parsknął Miłosz.

– Wiem, że ktoś mnie szukał w ostatnim czasie, ale nie sądziłem, że to pan.

– Dlaczego pan to zrobił? – Miłosz pochylił się i patrzył natarczywie w oczy Zagórnego.

– Nie miałem innego wyjścia.

– Ciekawe.

– Przyszedł, położył na stole ekspertyzę i kazał podpisać.

– Kto przyszedł? Kto był taki przekonujący, że pan podpisał na mnie wyrok?

– Nie.

– Co: nie?!

– Nie podpisałem. Powiedziałem, że jestem biegłym. Nie podpisuję czegoś, czego sam nie ocenię. Ale on był przygotowany. Cholernie dobrze przygotowany.

– Zapłacił panu? Na ile wycenił pan moją wolność?

Zagórny wstał. Chwilę chodził po pokoju, po czym stanął przy oknie i patrzył w dal.

– Wie pan, co to jest SM?

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– *Sclerosis multiplex*, przewlekła demielinizacyjna choroba ośrodkowego układu nerwowego. Wtedy niewiele o niej wiedziałem.

– Co to ma do rzeczy? – W Miłoszu narastało zniecierpliwienie.

– Gdy żona zaczęła mieć pierwsze objawy, baliśmy się, że to guz mózgu. Gdy go wykluczono i powiedziano, że to SM, cieszyliśmy się jak dzieci. Byliśmy pewni, że ze wszystkim innym na pewno sobie poradzimy. Ale choroba się zaostrzyła. Leczenie było i jest objawowe. Dostępny lek miał opóźnić rozwój choroby, ale okazało się, że postać, którą ma moja żona, nie jest objęta refundacją. Nie było nas stać. Wtedy to było około dziewięciu tysięcy miesięcznie.

– Boże! Pogrzyżył mnie pan dla pieniędzy?

Zagórny zdawał się nie słyszeć pytań Miłosza. Mówił dalej, jakby w transie. Błądził nieprzytomnym wzrokiem, robił pauzy.

– Udało się wpisać ją do programu, dzięki któremu otrzymywała lek za darmo. Ale program trwał dwa lata. Formalnie nie można jej było wpisać na kolejny. Zapłaciłem. Wciągnęli ją na listę. On o tym wiedział.

– Jaki on?!

Zagórny odwrócił się i usiadł.

– Nie mam pojęcia, skąd wiedział. Zagroził, że jeśli nie podpiszę, żona zostanie z tej listy skreślona, mną zajmie się sąd, a o pracy biegłego mogę zapomnieć. Nie. On mi nie zapłacił. To mój podpis miał być zapłatą za jego milczenie. Dał mi czas do namysłu. Żonie nic nie powiedziałem. Ale gdy patrzyłem na jej drżące ręce, gdy przypominałem sobie upadki na prostej drodze i patrzyłem w oczy pełne strachu, to wiedziałem, że tak naprawdę nie mam wyjścia.

Miłosz wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wyciągnął papierosa. Chciał zapalić, ale zerknął na drzwi, za którymi był pokój żony Zagórnego i powstrzymał się. Zgniół papierosa w dłoni. Tytoń i kawałki bibuły rozsypały się po dywanie. Podeszedł do stołu. Uderzył dłońmi o blat i zbliżył twarz do twarzy Zagórnego.

– Bardzo szlachetnie. Problem w tym, że ja jestem niewinny.

– Śledziłem proces. Widziałem wszystkie materiały telewizyjne i prasowe. Wycinki z gazet mam do dziś. Boże, jak ja chciałem, by sąd ponad wszelką wątpliwość uznał pana winnym. By znalazły się inne dowody.

– Co ty mówisz, człowieku?!

– Znaczyłoby to, że przyczyniłem się do osadzenia zabójcy. Ale nie znaleziono. Wtedy zrozumiałem, że będę musiał z tym żyć. Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Nie mamy dzieci. Zostałaby sama.

– Mam panu współczuć?! – krzyknął Miłosz. – Pan nie zdaje sobie sprawy, co to jest więzienie! To jak siedzieć w cudzym gównie i nigdy nie móc pozbyć się smrodu, który wszyscy uważają za twój. Ja ten smród czuję nadal. Rozumiesz, człowieku? Dociera coś do ciebie?!

Zagórny milczał.

– Kto to był?! Słyszysz? Kto kazał ci podpisać ekspertyzę?!

– Nie znam go.

– Nie znasz?! – Miłosz nie mógł uwierzyć. – Dałeś się zastraszyć obcemu człowiekowi i całe życie nie próbowałeś się dowiedzieć, kim był?

Zagórny wstał i podeszedł do regału. Otworzył jedną z szafek i wyciągnął z niej metalowe pudełko po wedlowskich czekoladkach. Postawił je na stole i zaczął wyklądać zawartość.

W środku znajdowały się wycinki z gazet – dziennikarska kronika życia Miłosza. Nieprofesjonalna i tendencyjna. Zagórny spośród wszystkich kartek wyciągnął jedną. Na zdjęciu zrobionym z okazji Święta Policji stała grupa funkcjonariuszy. Głowa jednego z nich została oznaczona czerwonym kółkiem.

– To on. Nie wiem, jak się nazywa, ale jestem pewien, że to on.

Miłosz przyjrzał się uważnie sfotografowanym policjantom. Żadnego z nich nie znał. Zyskał jednak pewność, że policja miała w tej sprawie swój niemały udział. W ręku trzymał klucz do kolejnego zamka, może

najtrudniejszego do sforsowania. Niemal słyszał otwierające się rygle. Pozostało tylko zdjąć łańcuch, by zobaczyć, co kryje się za drzwiami. W pokoju zagadek robiło się coraz widniej. Zanim Miłosz złożył kartkę i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki, poprosił jeszcze Zagórnego o zapisanie na niej numeru telefonu. Gdy, zagubiony, chodził po pokoju w poszukiwaniu długopisu, Miłosz uświadomił sobie, że ten przygarbiony, drobny starszy człowiek naprawdę żyje na granicy dwóch światów – tego stworzonego dla żony, którego wizytówką był jego życzliwy i ciepły uśmiech, tak dobrze znany okolicznym mieszkańcom, i tego, który ciągle ukrywał. Pełnego poczucia winy, ale też świadomości, że nie mógł inaczej. To pewnie owa świadomość kazała mu zaglądać do kieliszka, a potem zaprowadziła ostatecznie do Profesora. Gdy Zagórny wręczał Miłoszowi kartkę, z sąsiedniego pokoju znowu dało się słyszeć bełkotliwy głos.

– Oczywiście powtórzy pan to wszystko w sądzie – powiedział Miłosz zdecydowanym tonem.

Zagórny pokiwał głową. Miłosz ruszył do wyjścia.

– Panie Miłoszu...

Odwrócił się.

– Mam nadzieję, że kiedyś pan zrozumie.

Miłosz wyszedł. Zanim ruszył w drogę powrotną, popatrzył jeszcze na dom, na gęste, splecione ze sobą gałęzie dzikich róż i dorodne owoce, których strzegły drobne, ale ostre jak brzytwa kolce. I wtedy pojął, że to one tak dotkliwie go poraniły. W starciu z miłością nie miał szans.



Miarowe dźwięki odbijały się od ścian. Słyszała ich studzienny pogłos. Nie potrafiła określić czasu ani ogarnąć przestrzeni. Nie mogła podnieść ciężkich powiek. Siła woli nie wystarczała. Nie panowała nad ciałem. W studni dźwięków zaczęły pojawiać się nowe. Po chwili zanikały, rozmywały się w powietrzu, by wrócić z większą siłą i znów rozpuścić się w niebycie.

Jakieś rozmowy... Odgłos kroków. Szurnięcia. Uderzenia obcasów o podłogę. Krzyk. Jęk. Śmiech. Płacz. Znowu szurnięcia. Zaraz, śmiech?! Tak. Śmiech. Nawet teraz, w tej nieokreśloności, udało się go wyłowić ponad wszelką wątpliwość. To był jego śmiech – spontaniczny, radosny, dziecięcy. Sprawiał, że chciała żyć. Życiodajny śmiech jej synka. Więc on tu jest. Na pewno. Jest obok niej. Jakie to szczęście! Jej mały syneczek. Michaś. Chciała go zobaczyć, ale powieki pozostawały obojętne na jej pragnienia. Nagle poczuła ciepło. Promienie słońca ogrzewały jej twarz, oświetlały jej wewnętrzny świat. Poczua się bezpieczniej. Bo jeśli jest słońce, to się nie zgubią. Będą zawsze razem. Zawsze obok siebie. Jego głos dodawał jej sił. Chłoneła każde słowo, każdy oddech. Śmiej się, synku, śmiej.

– Spad-ła bom-ba do piw-ni-cy, na-pi-sa-ła na tab-li-cy... – Biegał wokół niej i zziajany sylabizował ulubioną wyliczankę. – A teraz licz, mamusiu, do dziesięciu. Tylko nie podglądaj. Schowam się, a ty mnie szukaj. Słyszysz, mamusiu? Szu-kaj, aż mnie znaj-dziesz. Będę siedział cichutko w kryjówce i czekał. Musisz mnie znaleźć. Szu-kaj!

– Nie! Synku! Zaczekaj! Pobawmy się inaczej. Nie tak, nie tym razem. Słyszysz? Wracaj. Nie rób mi tego! Chciała go gonić, szukać, ale nie mogła się poruszyć. Chciała wołać, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Pragnęła słońca, ale zaczęło gasnąć.

– Śmiej się, synku, śmiej, nie przestawaj! Gdzie jest twój śmiech?! Gdzie twoje światło?! Znowu ta dojmująca ciemność. Wszędzie tylko cisza i ciemność...



Zbliżał się do Krakowa. Jesienna szarówka dnia powoli ustępowała miejsca ciemnościom wieczoru. Myślał o Zagórnym. Czy kiedykolwiek zrozumie jego postępowanie? Zapewne ci, wśród których teraz żył, udzieliliby mu rozgrzeszenia. Tam, gdzie miłość wychodzi na pierwszy plan, łatwo pominąć inne elementy opowieści. Z historii stopniowo znikają postacie, które dla tej miłości poświęcono. Znikają wydarzenia. Dramaty innych stają się epizodami, o których najlepiej jak najszybciej zapomnieć.

Ale Zagórnego dręczyło sumienie. Uśpione, przykryte grubym kocem codziennego zmagania się z chorobą żony, zarabiania na jej leczenie i rehabilitację, ale nadal żywe. Miłosz zrzucił ten koc. Obudził przeszłość. Do diabła! Troska o najbliższych nie rozgrzesza, co najwyżej łagodzi wyrok. Wina pozostaje winą. Inaczej patrzysz na całą historię, gdy to ty z głównej postaci stajesz się nagle postacią epizodyczną. Nie widzisz szlachetności uczuć, ale draństwo, które zmarnowało ci życie. I, do cholery, masz do tego prawo!

Nagły błysk czerwonego światła. Hamowanie. Pisk opon. Stłuczka?! Nie. Udało się! Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Musi uwolnić się od nachalnych myśli. Nie chce stać się bohaterem tragicznych wiadomości z polskich dróg.

Przeszukiwał radiowe programy w poszukiwaniu czegoś, co pomoże skupić się na jeździe.

Dźwięk gitar zadziałał jak balsam. Tego szukał. Słuchając koncertu Marcina Stycznia przemierzał kolejne kilometry. Nazwisko nic mu nie mówiło, ale pełne treści piosenki w instrumentalnej oprawie przeniosły go do krainy łagodności, której tak bardzo potrzebował. Wjechał w aleję 29 Listopada, gdy z radia popłynęły słowa kolejnej piosenki.

Madonna od popaprańców

Przychodzą do niej ci

Co w życiu tak jak w tańcu

Zgubili nagle rytm

Te słowa zawładnęły nim na dobre. Kolejne frazy coraz głębiej drążyły jego myśli, docierały do wspomnień, osiadały w zakamarkach podświadomości. Tak, był adresatem tych słów. Jakby ktoś wiedział, czego potrzebuje, co dzieje się w jego wnętrzu. Jednocześnie ten proces penetrowania życia nie był traumatyczny. Czy sprawiała to łagodność melodii? Może. Nie mógł się jednak oprzeć przekonaniu, że chodzi o coś więcej. Wsłuchiwał się w kolejne zwrotki, chłonał po wielokroć powtarzane słowa i wreszcie pojał. Na najbliższym skrzyżowaniu zawrócił i pojechał w stronę Prądnika. Do niej.

Po kilkunastu minutach dotarł na miejsce. Wysiadł i rozejrzał się wokół. Jak dawno tu nie był. Jakże to miejsce się zmieniło. Zniknęły wysokie

wiekowe drzewa, rozległe trawniki zastąpiła kostka, a rozłożyste krzewy pachnących bzów, stanowiące kiedyś naturalne ogrodzenie, wyparł wypiełgnowany żywopłot. Znajdujące się nieopodal boisko, na którym spotykały się dzieciaki z okolicznych osiedli, zamieniło się w ogromny płatny parking. Tylko budynek wydawał się taki sam. Tynk nieco wyblakł i poszarzał, ale nic poza tym się nie zmieniło. Podeszedł i nacisnął mosiężną kłamkę. Uchyliły się ogromne masywne drzwi. Wszedł. Uderzył go bijący z wnętrza chłód. Przestrzeń spowijał mrok. Gdzieś tam sączyło się delikatne światło. Przez chwilę wpatrywał się w wieczną czerwoną lampkę zawieszoną w centralnym miejscu, po czym udał się do lewej nawy. Był pewien, że tam ją znajdzie. Nie mylił się. Stała w tym samym miejscu, w którym widywał ją niejednemu raz. Usiadł w ławce i przyglądał się jej oczom z taką uwagą, jakby chciał odnaleźć w nich stracony czas. Patrzyła na niego łagodnie jak zawsze i wyciągała otwarte dłonie. W tej sukience koloru nieba, z tym subtelnym uśmiechem i bosymi stopami wyglądała tak pokornie, tak dużo miała w sobie ciepła i empatii. Czekala, by przyszedł, pochwalił się albo zwierzył ze swoich niepokojów. Tak mówiła babcia, gdy przyprowadziła go tu pierwszy raz, kilka tygodni po śmierci rodziców. Wtedy nie rozumiał, dlaczego miałyby się zwierzać figurce. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, że babcia w ten sposób chroniła go przed samotnością. Na wszelki wypadek. Gdyby i jej zabrakło.

Patrzył na Madonnę i myślał o swoim życiu. On, popapraniec, w niemym monologu opowiedział jej swoją historię. O rozsypanych barwnych szkiełkach kalejdoskopu z trudem układanych na nowo przez dziadków. O nadspodziewanie tłustych latach biznesowej ułudy. O złodziejach, którzy ukradli wszystko, co kolorowe i poranili jego oczy bezbarwnymi szklanymi okruchami, tymi samymi, które nadal tkwiły mu pod powiekami. O szukaniu sensu. O upartym dochodzeniu do prawdy. I o tej pieprzonej samotności. Tak, był popaprańcem. Nie błaznem czy nieudacznikiem, ale człowiekiem, któremu spaprano życie. Ale da radę. Rozwiąże tę cholerną zagadkę.

W kościele zaczęli gromadzić się ludzie. Rozbłysły światła. Zbliżała się wieczorna msza. Poczłł się niekomfortowo. Mrok dawał mu intymność, światło poczłłucie wyobcowania. Popatrzył na Madonnę z wdzięcznością, przeżegnał się i wyszedł.

Przed kościołem przystanął na chwilę. Kiedy był tu po raz ostatni? Czyżby to było... wtedy? Tak. Przyszedł, szukając rozgrzeszenia, ale nie miał odwagi

powiedzieć jej wszystkiego. Potem skutecznie wyparł to, co się stało, z pamięci. Aż do dziś.



Gdy Miłosz wrócił do mieszkania, dochodziła dwudziesta. Ciężka noc, wielogodzinna jazda, emocje towarzyszące spotkaniu i finał dnia – niezaplanowany, ale jakże istotny – wszystko to złożyło się na ogromne zmęczenie. Ciało domagało się snu, ale równie silna była potrzeba sprawdzenia kilku kwestii. Zerknął na stary telefon – żadnych połączeń, żadnych esemesów. Ciągle miał nadzieję, że Anka będzie chciała się z nim skontaktować. Najwyraźniej nie chciała. Zdecydował za nią. Wybrał numer. Nie odebrała. Zadzwoił jeszcze raz. To samo. Nie chce z nim rozmawiać, czy wydarzyło się coś, o czym nie wiedział? „Aniu, bardzo zależy mi na rozmowie. To ważne. Odezwij się, proszę. Miłosz” – wysłał wiadomość i włączył telewizor. Ustawił jeden z kanałów informacyjnych. Czerwony pasek zdominowały informacje dotyczące Trybunału Konstytucyjnego i trzęsienia ziemi we Włoszech. Żadnych policyjnych dochodzeń, żądań okupu, żadnych rozwiązanych zagadek kryminalnych, znalezionej ciała. Na szczęście. Wariant optymistyczny był ciągle aktualny – Michał żyje i czeka na pomoc. Tylko gdzie? Czy policji udało się ustalić coś nowego? Są profesjonalistami czy tkwią w jakimś chorym układzie? Jaki związek z całą sprawą ma Igor, który wyparł się spotkania ze Sznajderem? No i kim jest człowiek na zdjęciu? No właśnie. Zdjęcie. Wyciągnął z kieszeni otrzymany od Zagórnego wycinek z gazety. Krótki podpis niewiele wnosił. Żadnych nazwisk, żadnej daty. Brak tytułu i autora. W tle Komenda Wojewódzka Policji w Krakowie. Czas – 21 lipca – data polskiego Święta Policji. Ale który rok? Co najmniej dwa tysiące drugi, ale równie dobrze każdy kolejny. Zdjęcie zapewne wydrukowano w którymś z krakowskich dzienników lub w regionalnym dodatku do gazety ogólnopolskiej.

Miłosz włączył laptop. W artykułach dotyczących odznaczonych i awansowanych policjantów znajdowały się szczegóły uroczystości, życzenia równie rzetelnej (dobre sobie) jak dotychczas służby, fragmenty listów gratulacyjnych oraz liczby awansowanych i odznaczonych. Liczby, nigdy

nazwiska. Z setek zamieszczonych w internecie zdjęć żadne nie pochodziło z uroczystości uwiecznionej na otrzymanym od Zagórnego wycinku.

Żeby dotrzeć do nazwisk, należało znaleźć artykuł. Opcja pomocna pod warunkiem, że nazwiska zostały w nim zamieszczone. Jeśli nie, jedynym źródłem informacji pozostanie policja. Miłosz sięgnął po nowy telefon. Na kartce, którą przygotował sobie rano, znalazł numer. Napisał wiadomość i wysłał. Odpowiedź z deklaracją pomocy otrzymał błyskawicznie. Nie przypuszczał, że kiedyś się do tego przyzna, ale cieszył się, że zna Sępa. Wierzył, że spotkanie z nim okaże się owocne.

Organizm coraz nachalniej domagał się swoich praw. Miłosz wiedział, że długo nie da się go oszukiwać. Weźmie prysznic i położy się do łóżka, licząc na to, że tym razem jego udręczona dusza zaśnie mocno, dając mu urlop od kolejnej odsłony koszmarów podświadomości.

Sprawdzi tylko pocztę. Mail od Iwony? Otworzył, podekscytowany.

Cześć, Miłosz!

Trochę to trwało, ale wreszcie zasiadłam do realizacji Twojej prośby. Zabawiłam się w pannę Marple. Wiekiem jej jeszcze nie dorównuję (na szczęście), ale w ramach solidarności star(sz)ych panien – sam rozumiesz ;) – postanowiłam pójść w jej ślady.

Ale do rzeczy. Poszperałam nieco w książkach meldunkowych i kronikach, nie tylko naszych, ale też tych od pana Józefa (musiałam dokładnie sprawdzić, kiedy byliście). Ustalenie daty nie było wielkim wyczynem, więc bez problemu znalazłam nazwiska gości. Skan z książki meldunkowej (podobnie jak kilka innych) masz w załączniku. Tłumów nie było, a tym bardziej z Krakowa. Od Was raczej większość na weekend jedzie w Tatry. Myślałam, że znajdę zdjęcia. Niestety z tego czasu w kronice są tylko wpisy. Zastanowił mnie jeden z nich. Wszyscy wspominają pobyt, dziękują, zapewniają o chęci powrotu. Tymczasem ten to cytat. W dodatku dość nietypowy. Nie mam zielonego pojęcia, co ma oznaczać i dlaczego taki. Zerknij, może Tobie z czymś się skojarzy. Zaintrygował mnie autor wpisu. Podpytywałam mamę, ale ona niewiele pamięta. Choroba postępuje i trudno wymagać, żeby mama kojarzyła kogoś sprzed kilkunastu lat. Dobrze, że wie, kim ja jestem. Ale wracając do rzeczy: przeszukałam kolejne książki meldunkowe, licząc na to, że autor tamtego wpisu bywał u nas później, więc może sama skojarzę. Nic nie znalazłam. Najwyraźniej go nie było. I nagle

przyszło mi do głowy, to chyba świadczy o detektywistycznej intuicji ;), żeby sprawdzić, czy bywał u nas wcześniej. I wyobraź sobie, że znalazłam jego nazwisko jeszcze trzy razy. Zerknęłam na wpisy w kronice z tych pobytów. Są tylko dwa. Wcześniej nie miał ochoty się wpisywać? Kto wie, to nie jest obowiązek. Niewykluczone, że ostatecznie uległ namowom mamy. Jej zawsze bardzo zależało na kronice. No i jak już dał się namówić, to postanowił być oryginalny, szczególnie za drugim razem, choć ja czuję, że za tym kryje się coś więcej. A może po prostu chciałam, by się kryło. To oczywiście wszystko gdybania, ale nie poprzestałam na tym. Co to, to nie! Sprawdziłam, kiedy Wy byliście w Bieszczadach. To dokładnie te same terminy! Zbieg okoliczności? Może. Ale Wy nigdy nie przyjeżdżaliście w typowym czasie. Jeśli przyjmując, że on też nie lubił tłoku, mogło się zdarzyć, że kiedyś przyjechaliście w tym samym terminie, ale żeby za każdym razem w tym samym? Może fantazuję, może za bardzo się nakręciłam, ale przyznasz, że jest w tym coś zaskakującego. Dla porządku zerknęłam też na pozostałe nazwiska. Jeden z gości mieszkał u nas tylko ten jeden raz, drugi bywał wcześniej i później, ale nigdy wtedy, gdy Wy gościliście u pana Józefa. Właściwie to nie wiem, do czego zmierzam. Ze zwykłych zbiegów okoliczności łatwo wyciągnąć mylne wnioski. Przyznasz jednak, że to zastanawiające. W każdym razie zerknij i daj znać, czy te informacje pomogły Ci choć trochę. Tak bym chciała, żeby się to wreszcie skończyło.

Uważaj na siebie!

Całuję

Iwona

PS Nie byłabym sobą, gdybym nie sprawdziła znaczenia jego imienia. Nakręcania ciąg dalszy ;). I co znalazłam? Podobno wojowniczy i niezależny, stale w stanie wrzenia. I co Ty na to? Znasz kogoś takiego?

Miłosz, zaintrygowany, otworzył załączniki. Oglądał jeden po drugim i analizował informacje przekazane przez Iwonę. Nazwisko nic mu nie mówiło. Zbieżność dat? Ciekawe, ale równie dobrze mógł to być zbieg okoliczności. Zerknął na wpisy. Oba dało się powiązać z Bieszczadami. Może ten drugi nie był typowym tekstem z kronik, ale żeby od razu doszukiwać się w nim czegoś podejrzanego? A tym bardziej związku z jego życiem? Nie. Nie było ku temu przesłanek. A może jest zbyt zmęczony, by je teraz dostrzec?



Dochodziła dziesiąta. Stał w oknie i dopijał herbatę. Słońce nieśmiało oświetlało mury kamienicy naprzeciwko, dając nadzieję na odrobinę złotej polskiej jesieni. W takiej aurze łatwiej o optymizm, ale Miłoszowi towarzyszyło od rana zwątpienie. Kolejny raz podszedł do stołu, przy którym spędził cały poranek. Na znalezionym w szafie arkuszu szarego papieru rozpisał dotychczasowe ustalenia. Ta mapa faktów, domniemań, wątpliwości uświadomiła mu, że trzyma w ręku rozmaite sznurki, ale na razie nic z tego nie wynika.

To, co tworzyło związek przyczynowo-skutkowy, to historia Zagórnego powiązana z zaznaczonym na zdjęciu policjantem. Reszta to szereg pytań bez odpowiedzi. Kim był policjant? Czy to on zabił? A jeśli nie, to kogo krył? Czy Sznajder wiedział o wszystkim i na czyjeś zlecenie próbował powstrzymać Miłosza przed odkryciem prawdy? Jaki był związek prezesów Ultrateamu z całą sprawą? Jaką rolę odgrywał Igor? Czy ustalenia Iwony w jakikolwiek sposób wiązały się z morderstwem? Trzymał w garści informacje, za które jeszcze niedawno oddałby wszystko, tymczasem ogarniała go bezsilność, tym większa, że nie miał z kim o tym porozmawiać. Świadomość podwójnej gry Igora bolała. Był jego adwokatem i przyjacielem, jedynym, jakiego teraz miał. O ile jeszcze miał. Ale coś się tu nie kleiło. Przecież to dzięki niemu wyszedł na wolność, a wszystkim zamieszany w sprawę zabójstwa Kuby powinno zależeć, by nadal siedział. O co zatem chodziło?

Zerknął na zegarek. Za pół godziny miał się spotkać z Sępem. Czas się zbierać. Ubrał się, zdjęcie otrzymane od Zagórnego włożył do plastikowej teczki i wyszedł. Na ławce nieopodal wejścia do kamienicy zwrócona ku niemu siedziała pani Basieńka. Oczy miała zamknięte, twarz, choć pokryta pajęczyną zmarszczek, promieniała. Basieńka miała w sobie mnóstwo dziecięcej fascynacji i radości, choć przepuszczonej przez filtr dostojnego wieku. Jak dobrze móc się cieszyć z drobiazgów takich jak odrobina słońca po wielu słotnych dniach. On jeszcze nie potrafił.

Nie miał czasu na rozmowę. Postanowił przemknąć niezauważony.

- Nieładnie, panie Miłoszu, nieładnie tak bez słowa minąć starą sąsiadkę.
- Przepraszam, nie chciałem pani przeszkadzać ani pani przestraszyć – zreflektował się, próbując ukryć zmieszanie. Oni oboje, Basieńka i Stanisław,

wprawiali go w ten stan zakłopotania, który towarzyszył mu zawsze, gdy jako dziecko nabroił, a dziadkowie spokojnie, z wyrozumiałością i klasą tłumaczyli mu tajniki savoir-vivre'u.

– Nie przestraszył mnie pan. Taką osobę jak ja trudno wystraszyć. Zbyt wiele przeszłam. Chociaż jest coś, czego się boję. Albo raczej coś, co wpędza mnie w przygnębienie. Ludzie potrzebują słońca. Bez niego zapadają się w mrok. Tracą chęć do życia. Dlatego my, starzy, tak boimy się jesieni. Ona odbiera nam życie.

– Jak poetycko to pani ujęła.

– Poetycko? W każdym z nas jest tyle poety, na ile sobie pozwolimy. A w panu jest choć trochę poety?

– Raczej autora powieści sensacyjnych – westchnął.

– Tak? Chętnie posłucham pańskich opowieści. Zapraszam do nas na kawę.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”, musi się pan zrehabilitować za dzisiejsze faux pas. Zatem jesteśmy umówieni, dzisiaj o osiemnastej. – Uśmiechnęła się i ponownie zamknęła oczy.

Miłosz chciał zaprotestować albo raczej grzecznie się wymigać, ale nie śmiał znowu przerywać Basieńce tej słonecznej chwili. Z tego samego powodu nie odebrał wibrującego telefonu. Oddzwonił dopiero, gdy wystarczająco się oddalił.

– Rozumiem... Zależy mi na czasie... Mogę przyjechać do mieszkania? Świetnie. Jaki adres? Koźmiana? Tak, wiem, gdzie to jest. Trafię. Numer? Dobrze, zapamiętałem. Do zobaczenia.

Koźmiana. Tak dawno tam nie był! Od wyjścia z więzienia skutecznie omijał tę część miasta. Cóż, czas wrócić na stare śmieci.



Blok Sępa znajdował się na skraju osiedla. Kiedyś stał tu niewielki jednorodzinny dom otoczony ogromnym, jak na wyobrażenie dziecka, sadem.

Chodzili tam z Kubą i Wojtkiem na papierówki. Żadne nie smakowały jak tamte. A teraz nie było już domu ani sadu. Nie było też Kuby i Wojtka. Tamten świat przepadł na zawsze.

Miłosz znalazł odpowiednią klatkę. Wchodząc po schodach, myślał o tym, że przekracza kolejną granicę relacji z Sępem. Za chwilę miał poznać prywatny świat człowieka, którego jeszcze niedawno uważał za jednego z największych wrogów.

Sęp przywitał go z kilkumiesięczną córeczką na ręku.

– Proszę, niech pan wejdzie. Przepraszam za to zamieszanie. Żona musiała pilnie wyjść, więc sam pan rozumie.

Zaprosił Miłosza do salonu z aneksem kuchennym – schludnego, ale dalekiego od przepychu. Mieszkanie sprawiało wrażenie pustego, jakby właściciele nadal się urządzali. Na dywanie siedział kilkuletni chłopczyk i z zaangażowaniem składał magnetyczne klocki.

– Dawno tu mieszkasz? – zapytał Miłosz, zajmując wskazane przy stole miejsce.

– Od kilku lat. Kupiliśmy to mieszkanie, bo było w dobrej cenie i pozwalało od razu się wprowadzać. A poza tym to zielona dzielnica. Dzieci mają się gdzie bawić. I w ogóle jakoś tu spokojnie – powiedział, kładąc córeczkę do wózka.

– Od kilku lat... A wiesz, że ja tu... Zresztą, nieważne.

Wyciągnął z teczki zdjęcie i podał Sępowi, gdy ten usiadł obok.

– Dostałem je od Zagórnego. Zwróć uwagę na policjanta oznaczonego kółkiem. Kojarzysz go?

– Prawdę mówiąc, nie – powiedział po chwili zastanowienia. – Nie kojarzę też zdjęcia, a wiele ich widziałem, poszukując materiałów. Zresztą pokazywałem panu część z nich. Może to jakieś okolicznościowe wydawnictwo komendy?

– Może. Zrób sobie kopię. Nie chciałbym zostawiać.

– Oczywiście, rozumiem.

– Tatusiu, pomożesz mi? Nie wiem, jak to zrobić – powiedział chłopiec, patrząc na ojca ogromnymi piwnymi oczyma.

– Tak, Antosiu, za chwileczkę, tylko porozmawiam z panem. Dobrze?

– No dobrze – zgodził się synek, przeciągając oba słowa, po czym pochylił się nad klockami i próbował dopasować do siebie elementy.

Sęp podszedł do biurka ustawionego w rogu pokoju, by zeskanować zdjęcie.

Miłosz przyglądał mu się uważnie. Sęp, który z taką gorliwością dręczył go i opisywał jako zwyrodnialca, teraz z łagodnością i miłością zwracał się do swojego synka. Jak życie potrafi zmienić człowieka! Miłosz myślał też o swoim życiu. Czy gdyby nie ten absurdalny wyrok, miałby teraz rodzinę i dzieci? A może pochłonęłyby go kariera i zarabianie pieniędzy?

– Jak tylko żona wróci, przyjrzę się uważniej, porównam z tym, co udało mi się zgromadzić. W razie czego podpytam, gdzie trzeba, i dam znać – powiedział, zwracając Miłoszowi zdjęcie.

– Zidentyfikowanie tego człowieka to kluczowa sprawa. Być może dzięki temu będę mógł powiązać ze sobą pozornie odległe informacje.

– Przepraszam, nawet nie zaproponowałem panu herbaty. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję. Muszę już iść.

Wstał. Antoś również wstał, zmarszczył brwi, ściągnął usta i podszedł do ojca.

– Tatusiu, obiecałeś.

– Tak, Antosiu, już ci pomagam. Chwileczkę.

– Obiecałeś.

To słowo odbiło się echem w świadomości Miłosza i pobudziło uspięne wspomnienia. Pożegnał się z Sępem. Zanim zamknął za sobą drzwi, powiedział:

– Pamiętaj, zawsze dotrzymuj słowa danego dziecku. Zawsze.

Wyszedł. Gnany jakąś wewnętrzną potrzebą, ruszył w głąb osiedla. Minał kilka odnowionych bloków. Przeszedł obok parterowego budynku, w którym kiedyś mieściły się pralnia i magiel.

Gdy zobaczył rozłożystą wierzbę, zwolnił. Żółciły się na niej liście. Tak jak wtedy. Przeszedł pod konarami i zatrzymał się. Miał przed sobą blok. Swój dawny blok. Popatrzył w okno na pierwszym piętrze, trzecie od prawej. W ułamku sekundy przypomniał sobie tamten dzień.

Był piętnasty września, wtorek, tuż przed dwudziestą. We wtorki zawsze chodził na zajęcia teatralne do domu kultury. Tego dnia były pierwsze zajęcia w nowym roku szkolnym i układano plany na nadchodzące tygodnie. Gdy minął wierzbę, wiedział, że wrócili. W ich sypialni świeciło się światło. Wbiegał po schodach jak oszalały. Nie było ich zaledwie kilka dni, ale i tak się za nimi stęsknił. Otworzył z impetem drzwi.

– Mamo! Tato! Już jestem! Nawet nie wiecie, co się dzisiaj stało!

Pobiegł prosto do sypialni rodziców, ale była w nim tylko babcia. Stała nieruchomo i wpatrywała się w okno.

– A rodzice gdzie? Mam im tyle do powiedzenia.

Babcia odwróciła się, wytarła oczy, a potem nos.

– Przeziębiałaś się? To pewnie przez to, że się wczoraj za lekko ubrałaś. Mama zawsze mówi, że trzeba na cebulkę. No ale gdzie oni są? – Biegał po wszystkich pokojach. – Poszli zrobić zakupy? Przecież wczoraj wszystko kupiliśmy! Babciu...

– Miłoszku, rodzice nie przyjadą...

– Zostali jeszcze nad morzem? Jak to? Przecież mama mówiła, że będą dzisiaj, zanim wrócę z zajęć. To nie fair.

– Miłoszku, rodzice nie zostali nad morzem. Jechali do nas, ale...

– Ale?

– Ale mieli wypadek.

– Są w szpitalu? Tak? Babciu, powiedz coś! Jedźmy do nich! Dlaczego nie jedziemy? Babciu!

– Bo... Bo rodzice nie żyją...

Stanął, osłupiały. Słyszał, co powiedziała babcia, ale te słowa były tak bezsensowne, że nie potrafił ich zrozumieć. Rodzice pojechali tylko na kilka dni. Mieli wrócić i na pewno wrócą. Oni zawsze dotrzymują słowa. Jak prawdziwi przyjaciele. Przecież ma im tyle do powiedzenia. Będą z niego dumni. Zagra główną rolę w przedstawieniu. W dodatku to nie takie zwykłe przedstawienie. Nie dla dzieciaków, tylko takie poważniejsze. Panto coś i teatr cieni. Oni muszą to zobaczyć! Muszą! Teatr cieni... Muszą...

To „muszą”, powtarzane wielokrotnie w akcie zaprzeczenia rzeczywistości, sprawiało, że długo nie potrafił myśleć o ich braku inaczej niż jak o niedotrzymaniu słowa. To pozwalało wierzyć, że kiedyś się pojawią

i udowodnią, że obietnica to rzecz święta. Dlatego chodził na zajęcia, ćwiczył rolę, powtarzał ruchy, by w teatrze cieni jak najwierniej oddawały emocje.

Na premierze grał najlepiej, jak potrafił. Nie mógł się doczekać finałowej piosenki, by móc zobaczyć publiczność, a na niej – mamę, która ze łzami w oczach patrzy zachwycona na swojego artystę, i dumnego tatę wołającego, że są, że przecież zawsze dotrzymują słowa. Błądził wzrokiem po całej sali, ale na widowni z bliskich mu ludzi byli tylko dziadkowie. Śpiewał piosenkę i wpatrywał się w drzwi, przekonany, że przyjdą. Spóźnił się, ale na pewno dotrą. Piosenka się skończyła, skończyły się brawa, ludzie zaczęli się rozchodzić, a on stał na scenie i wpatrywał się w drzwi. Nie słyszał wołania zachwyconych dziadków. Nie słyszał pochwał instruktora. Zaciskał drżące usta, spoconymi pięściami ocierał strużki łez i wciąż patrzył na drzwi. Nie pojawili się. Nie dotrzymali słowa.

Teraz Miłosz wpatrywał się w dawne okno sypialni rodziców. Cienie rzucane przez gałęzie wierzby pełzały leniwie po ścianie. Przyglądał się temu osobliwemu teatrowi, w którym widział wszystkich najważniejszych dla siebie ludzi. Tylko on, samotny widz, był wciąż po drugiej stronie i czekał z ufnością dziecka, by ziściło się dane przed laty słowo.



Zbliżała się osiemnasta. Wracał, zmęczony. I nie chodziło tu o fizyczne osłabienie, ale o wycieńczenie spowodowane przyspieszonym rytmem serca, nieokiełznanym pulsowaniem w czaszce i zaciśniętym gardłem. Jedno przypadkowe słowo wypowiedziane w nieprzypadkowym miejscu otworzyło drzwi prowadzące w korytarze labiryntu wspomnień. Tam, gdzie jeden obraz pociąga za sobą drugi i czy chcesz, czy nie, prowadzi cię do kolejnych zaułków. Te obrazy pochłoneły go na dobre. On – archeolog własnego życia, poszukiwał na „swoim” osiedlu artefaktów przeszłości. Wzruszony, rozdarty między dramatycznymi i dobrymi wspomnieniami, przemierzał kolejne alejki. Tę, którą jako dziecko, zgodnie z harmonogramem domowych dyżurów, chodził po bułki. Potem tę, która prowadziła do kiosku z gazetami, by najpierw tata... a potem dziadek mogli przeglądać wiadomości przy porannej

kawie. I tę, na której końcu, obok magła, stała najlepsza cukiernia świata. I choć szarlotka nie mogła się równać z tą robioną przez mamę, to wszystkie pozostałe słodkości mógł jeść bez opamiętania. Dziś w miejscu cukierni i magła stała pralnia chemiczna, osiedlowy sklepik został zastąpiony dużym marketem, ale kiosk z gazetami był tam nadal, nowocześniejszy, lepiej zaopatrzony, ale był. Podobnie jak trzepak. Rozebrano co prawda towarzyszącą mu rozklekotaną karuzelę, zniknęła też drewniana skrzynia przeciwpożarowa, ale trzepak miał się dobrze. Ciekawe, czy nadal jest miejscem spotkań i punktem orientacyjnym? Czy przy nim albo na nim najlepsi kumple planują, co będą robić danego dnia? A może nikt już nie rozumie magii trzepaka? Świat się zmienia, nie zawsze na lepsze.

Wszedł do kamienicy. Jak na komendę otworzyły się drzwi na półpiętrze i pojawiła się w nich rozpromieniona Basieńka.

– Jakże pan punktualny.

A niech to szlag! Zupełnie zapomniał. Ma serdecznie dość. Towarzyskie spotkania nie dla niego. Nie dziś.

– Dzień dobry, pani Basiu, czy moglibyśmy...

– Czuje pan? Przed chwilą wyciągnęłam z piekarnika – powiedziała, nachylając się do niego, jakby powierzała mu wielką tajemnicę. – Rzadko teraz piekę, ręce nie te, ale na naszą pierwszą sąsiedzką wizytę nie wypada podać ciasta z marketu.

Znał ten zapach. Cynamonowo-jabłkowy zapach dzieciństwa. Popatrzył na Basieńkę, na jej życzliwe, radosne oczy otoczone gęsto utkanymi zmarszczkami, na uniesione w uśmiechu policzki okraszone pajęczyną czerwonych naczynek, na jej nieco przygarbioną sylwetkę. I co teraz?

– Ale proszę wybaczyć, przerwałam panu. Czy moglibyśmy co?

– Czy moglibyśmy... wejść i spróbować tych wspaniałości, zanim skuszą się na nie wszyscy sąsiedzi?

Miłosz nie potrafił powiedzieć jej, że jest zmęczony, że nie tym razem, że nawet szarlotka nie jest w stanie go przekonać. Może właśnie tak miała zakończyć się jego nieplanowana sentymentalna podróż? Zapachem i smakiem ciasta dzieciństwa? Wszedł do środka. Pod stopami zaskrzypiały stare dębowe klepki. Miłosz miał wrażenie, że wkracza do innego świata, do królestwa secesyjnych mebli, starych obrazów, finezyjnych lamp. Tu każda serweta, narzuta, firanka to rękodzielnicze dzieło sztuki, nie wspominając

o malowanej porcelanie ustawionej w witrynie czy oprawionych starych książkach ciasno wypełniających oszkloną biblioteczkę. Miłosz nie mógł się oprzeć czarowi tego miejsca. Chodził, przyglądał się, chłonał szczegóły. Tym, co zaintrygowało go najbardziej, była ściana pełna zdjęć, rysunków i obrazów oprawionych w stare ramy i ramki.

– To mapa naszego życia – powiedziała pani Basieńka, wchodząc do pokoju. – Panie Miłoszu, jakby był pan tak miły...

– Tak?

– W kuchni stoi wszystko, co potrzebne.

– Oczywiście, już przynoszę. – Na tacy, w porcelanowym ręcznie malowanym imbryku parzyła się herbata. Obok stały filiżanki, talerzyki i cukiernica. Leżały też srebrne łyżeczki i widelczyki. No i kryształowy talerz z posypaną cukrem pudrem i cynamonem szarlotką.

Miłosz postawił tacę na dębowym stole przykrytym robioną szydełkiem serwetą. Chciał rozstawić naczynia, lecz Basieńka go powstrzymała.

– Proszę pozwolić, że ja rozstawię. Gościa zawsze należy potraktować szczególnie. I proszę wybaczyć, ale Stasio, to znaczy mój mąż, musiał się chwilę zdrzemnąć.

– Oczywiście. Pani Basiu, jakież to fantastyczne mieszkanie. Nie spodziewałem się...

– Że my, starzy, możemy mieć w domu stare meble? – Zaśmiała się.

– Ależ skąd, nie spodziewałem się, że ktoś dzisiaj może pośród tych, jak to pani nazwała, starych mebli tak pięknie mieszkać i żyć. To niemal arystokratyczne wnętrza.

– Słusznie pan zauważył: niemal. A to robi różnicę. Ale kochamy to miejsce. Syn proponował nam wyjazd do siebie, do Szwajcarii, ale nie z meblami. Wyobraża pan sobie nas gdzie indziej?

Miłosz pokręcił głową.

– No właśnie, my też nie. Dlatego będzie pan musiał nas znosić jeszcze jakiś czas.

– A państwo mnie.

Zaśmiali się. Miłosz poczuł, że schodzi z niego napięcie całego dnia. Pani Basia okazała się wymarzoną rozmówczynią – błyskotliwą, dystygowaną, życzliwą. Pyszna szarlotka, której pochłonał kilka kawałków, aromatyczna

herbata i magiczne wnętrze pozwoliły mu oderwać się od męczącej rzeczywistości.

Wstał, podszedł do zdjęć zawieszonych na ścianie i zaczął się im przyglądać z uwagą.

– Intryguje mnie ta ściana. Powiedziała pani, że...

– ...to mapa naszego życia. Znajdzie tam pan naszą radość i spontaniczność, siłę i pewność, ale też roztargnienie i słabość. Powinność wobec ziemi, przywiązanie do rodziny, dramaty i skrywane tajemnice. Za każdym zdjęciem ukryta jest historia, czasem zupełnie inna, niż mogłoby się wydawać po starannie dobranych strojach, pozycjach, uśmiechach.

– To niesamowite, jak pani ubiera swoje myśli w słowa.

– Widzi pan, gdy tak się siedzi godzinami i wpatruje w tę ścianę, to mnóstwo myśli przychodzi do głowy. Ale to opowieści na wiele kolejnych naszych spotkań.

– Chętnie posłucham. A te obrazy i rysunki? Są piękne, ale jest w nich niepokój. To pani dzieła?

– Nie, nie moje. – Basieńka się zamyśliła. – Chce pan posłuchać ich historii?

– Jeśli tylko zechce ją pani opowiedzieć. – Usiadł ponownie przy stole.

– Wszystko zaczęło się w czerwcu trzydziestego czwartego. Ja miałam wtedy niespełna dwa lata. Mój młodszy brat dopiero się urodził, a starszy w marcu skończył cztery. Znam tę historię z przekazu taty. Mieszkaliśmy na Powiślu. Tata jako oficer często był nieobecny. Mama zajmowała się nami i domem. Do pomocy rodzice zatrudniali jakąś panią, ale tego dnia nie przyszła. Mama karmiła Henia, młodszego brata, ja spałam w łóżeczku, a Julek, starszy, bawił się gdzieś obok. Nikt nie wie, co właściwie się wydarzyło. Czy mama zmęczona zasnęła, czy po prostu nie zauważyła, w każdym razie Julek zniknął. Gdy mama się zorientowała, wpadła w panikę. Zniosła nas do sąsiadki i pobiegła go szukać. Gdy wróciła z Julkiem na rękach, nie była sobą. Płakała. Podobno strasznie płakała. I nie dawała go sobie wyrwać z rąk. Śpiewała mu kołysanki, a gdy ktoś chciał go zabrać, krzyczała.

Oczy Basieńki wciąż błądziły po rodzinnej mapie.

– Pani Basiu, jeśli to zbyt trudne, proszę nie mówić.

– Chcę to panu opowiedzieć. Widzi pan, Julek się utopił. Niedaleko nas była taka wiślana zatoczka. Płycizna. Ale dla Julka okazała się za głęboka. Gdy mama go znalazła, już nie żył. Miał otwarte oczy, ale nie żył. Ona ich nie zamknęła, tylko przybiegła z nim do domu i traktowała tak, jakby nic się nie stało. Nie pozwalała go pochować. Oszałała. Tata też był bliski obłędu, ale wiedział, że musi być silny dla nas i dla niej. Wierzył, że czas złagodzi jej ból, ale tak się nie stało. Do końca życia myślała tylko o Julku. My przestaliśmy dla niej istnieć. Zamknęła się w swoim świecie i wróciła do rysowania i malowania. To były jej pasje z młodości. Tata myślał, że to przywróci jej równowagę. Ale ona malowała tylko oczy. Prerażone oczy Julka, w które wpatrywała się godzinami po jego odnalezieniu.

To są jej rysunki i obrazy. Ma pan rację, że mnóstwo w nich niepokoję. Choć dla mnie jest w nich przede wszystkim cierpienie. Powiesiliśmy je, bo to pamiątka po mamie. Trudna, gorzka, ale jednak pamiątka. Widzi pan, to jedno wydarzenie zniszczyło naszą rodzinę. Jedno wydarzenie, a tyle cierpienia. – Zastygła w bezruchu, wpatrzona w ścianę. – Ale może starczy już tego – powiedziała, otrząsając się z chwilowego letargu.

Miłosz milczał.

– Panie Miłoszu, proszę wybaczyć śmiałość, ale muszę się panu do czegoś przyznać. Pan o tym nie wie, ale czasem się panu przyglądam. W pana twarzy jest coś, co intryguje mnie, odkąd się pan tu wprowadził. To ból. Jak człowiek doświadczył niewyobrażalnego cierpienia, to potrafi je dostrzec u innych. W panu jest ból. I wie pan, co myślę? Że dzisiaj nie miał pan ochoty na spotkanie. I gdybym nie wyszła, to minąłby pan po cichu nasze drzwi. Mam rację?

– Ale ja...

– Ale jest pan dżentelmenem, więc nie odmówił pan staruszce stojącej w progu swego mieszkania, i bardzo panu za to dziękuję – dodała z uśmiechem.

– Nie wiem, czy zostało jeszcze we mnie coś z dżentelmena, ale pani na pewno jest doskonałym psychologiem.

– Tak pan sądzi? W takim razie gdyby kiedyś chciał pan opowiedzieć mi swoją historię, to znajdę siłę, by jej wysłuchać, a może nawet upiekę kolejną szarlotkę.

– Kusząca propozycja, może skorzystam, ale dzisiaj, proszę wybaczyć, czas już na mnie.

Wstał. Jeszcze raz rozejrzał się po tym wyjątkowym wnętrzu. Zerknął na ścianę. Spojrzał w zastygłe, przejmujące swą bezradnością oczy, po czym podziękował, z atencją ucałował dłoń Basieńki i wyszedł.

W uszach ciągle dźwięczały mu niedawno usłyszane słowa: „Jedno wydarzenie, a tyle cierpienia”. Jedno wydarzenie.



Sęp działał nadszpiewanie szybko. Po niespełna dwóch dniach zadzwonił do Miłosza i poprosił o spotkanie. Miłosz przyszedł wcześniej. Był tak podekscytowany perspektywą poznania ustaleń Sępa, że chciał jak najszybciej być na miejscu. Usiadł w najdalszym kącie McCafe. Tutaj będą mogli spokojnie porozmawiać. Sęp zaskoczył go wyborem miejsca, ale może to nie był zły pomysł. Sądząc po powracającej co jakiś czas głośnie sprawie podsłuchów w jednej z warszawskich restauracji, wybór lokalu bez kelnerów i z całkiem zwyczajną klientelą był uzasadniony. Do tego stały gwar i niska średnia wieku gwarantowały brak zainteresowania omawianymi kwestiami –

bo cóż jego sprawy mogły obchodzić grupę licealistów, którzy rozemocjonowani rozmawiali o filmowej wersji *Inferno* Dana Browna, albo wpatrujących się w tablety studentów. A tym bardziej nie był nimi zainteresowany starszy mężczyzna w garniturze głośno dyskutujący z młodą kobietą o jej zatrudnieniu w charakterze psychologa przeprowadzającego badania kierowców. Na szczęście rozmowa przebiegała przy filiżankach pachnącej kawy, która ratowała sytuację. To zastanawiające, gdzie przeprowadza się teraz ważne spotkania. Za biznesowych czasów Miłosza to byłoby nie do pomyślenia. Sprawy służbowe wymagały odpowiedniej oprawy i warunków do rzeczowej rozmowy – najczęściej spokojnego gabinetu prezesa. Jak świat się zmienił!

Pojawienie się Sępa przerwało te rozważania. Miłosz zamachał do niego i uśmiechnął się na powitanie.

– Dzień dobry. – Sęp podał mu rękę, usiadł przy stoliku i wyciągnął z plecaka laptop.

– Opowiadaj – powiedział Miłosz. Czuł, jak wzbierają w nim emocje.

– Gdybym wcześniej dotarł do tego zdjęcia, które mi pan przyniósł, dzisiaj bylibyśmy na innym etapie śledztwa. Proszę popatrzeć. – Ustawił laptop tak, by tylko oni widzieli ekran. – To cała strona gazety wraz z artykułem. Zdjęcie zrobiono w dwa tysiące drugim. Gazeta, w której je zamieszczono, to efemeryda. Bardzo krótko była na rynku. Nie wiem, czy nie wytrzymała

konkurencji, czy zabrakło środków. Pierwsze egzemplarze, bezpłatne, trafiały między innymi do skrzynek pocztowych. Być może tak Zagórny wszedł w posiadanie tego zdjęcia.

Sęp był podekscytowany. Mówił szybko, jak dziecko, które ma wiele do przekazania i chce to zrobić w jak najkrótszym czasie, by niczego nie pominąć.

– Na szczęście nad zdjęciem zachował się fragment nagłówka strony. To niewiele, ale na podstawie dolnej części liter dało się ustalić, o jaki tytuł chodzi. A potem już poszło.

– Wiesz, kim jest facet na zdjęciu?

– Tak. To Zbigniew Figiel.

– Figiel? Następny z doskonałym nazwiskiem.

– Słucham?

– Nic takiego. Wiesz o nim coś więcej?

– Wtedy pracował w dochodzeniówce. Z tego, co wiem, nie zajmował się pańską sprawą. W każdym razie służbowo.

– Ale po godzinach już tak... – Miłosz się zamyślił. Przed oczyma przewinęły mu się obrazy z wizyty u Zagórnego. Dlaczego ten cały Figiel wdarł się w jego życie? Co było warte takiego ryzyka? Przecież Zagórny mógł zgłosić się na policję. Kto za nim stał? A może dalej stoi? A to Figiel, kurwa mać!

– Podobno jest już na emeryturze – kontynuował Sęp – i mieszka gdzieś pod Warszawą, ale adresu nie znam.

– Jest szansa, że zdobędziesz?

– Zrobię, co się da. Ale nie powiedziałem jeszcze o wszystkim. Proszę popatrzeć na tego człowieka. – Sęp wskazał na najwyższego z policjantów. –

Nie poznałem go w pierwszej chwili, bo na tym zdjęciu wygląda inaczej. Jakby przytył, no i ma brodę. To Konieczny. Pamięta pan? Pokazywałem panu na innych zdjęciach. Tych z sali sądowej.

– Pamiętam. Co sugerujesz?

– Wtedy, gdy przyszedłem do pana pierwszy raz, kilka dni po pańskim wyjściu z więzienia, zajmowałem się pana sprawą. Sprowokował mnie do tego materiał kolegi o najgłośniejszych morderstwach dwudziestego pierwszego wieku. W wielu wypadkach mordercy nie znaleziono albo nie

udało się wnieść aktu oskarżenia przeciwko głównemu podejrzanemu. Tymczasem pana proces był błyskawiczny. Przedstawiono niezbite dowody i wydano wyrok. Wzorcowa sprawa. Zbyt wzorcowa. Wróciłem do niej. Zacząłem przeglądać zdjęcia, zgromadzone materiały, nagrania. Z uwagą słuchałem tego, co mówił pan podczas rozpraw. Uwierzyłem panu. Wiem, to zaskakujące, ale ludzie się zmieniają, a może po prostu dorastają. Po tygodniach intensywnych prac wydawało mi się, że jestem bliski znalezienia odpowiedzi na swoje pytania. Byłem pewien, że to tylko kwestia czasu, a będę znał rozwiązanie zagadki. Ale utknąłem. Nie znalazłem ogniwa, które pozwoliłoby połączyć wszystko w całość. To człowieka boli, szczególnie gdy jest pewien, że tylko krok dzieli go od sukcesu.

Miłosz doskonale wiedział, o czym mowa. On też odczuwał ten rodzaj niepokoju, który mówił mu, że coś ważnego pominął, zbanalizował albo nie potrafi dostrzec oczywistych związków. Czasem myślał też o tym, że na siłę czegoś szuka, by nie przyznać się do pogoni za mrzonkami, ale tak naprawdę wciąż jest w punkcie wyjścia. Tu trzeba detektywistycznego umysłu, który powiąże ze sobą to, co na pierwszy rzut oka się nie łączy.

– Sugerujesz, że tych dwóch ma związek z moją sprawą? Figiel jest twoim ogniwem pozwalającym pogrążyć Koniecznego? A nie sądzisz, że to trochę naciągane? To, że pracowali w jednym wydziale, niczego nie przesądza.

– Niby nie, ale jeśli połączymy ze sobą fakty – ponadprzeciętne, wykraczające poza obowiązki służbowe, zainteresowanie Koniecznego pańskim procesem oraz sfalszowanie nagrania przez Figla i przymuszenie Zagórnego do podpisania ekspertyzy, to już się bardziej klei, prawda?

Miłosz pokiwał głową, choć nadal nie był przekonany.

– Rozumiem, że masz coś jeszcze.

– A jakże. Przenieśmy się teraz do stolicy. Kilka lat później do jednej z restauracji przy Alejach Jerozolimskich wszedł dobrze ubrany mężczyzna. Podeszedł do stolika w głębi sali, po czym wyciągnął broń i wymierzył w jednego z klientów. Nie strzelił, bo traf chciał, że przy stoliku za plecami napastnika siedziało dwóch policjantów z dochodzeniówki. Obezwładnili go, odebrali broń, wezwali odpowiednie służby. Nazwisk nie podano, ale ktoś z restauracji zrobił kilka zdjęć i puścił w obieg. Oto jedno z nich. – Sęp powiększył zdjęcie. – Konieczny i Figiel, superherosi ratujący świat.

– Pytanie, czy byli tam prywatnie, czy to jakaś zorganizowana akcja policji.

– Myśli pan, że komenda stołeczna by sobie nie poradziła? Potrzebowałyby pomocy? Przecież Figiel u nich nie pracował.

– No dobrze, znają się nie tylko zawodowo, ale też prywatnie. Powiedzmy, że obaj są zamieszani w sprawę, ale nadal nie wiemy dlaczego.

– I tu dochodzimy do sedna. – Powiększył kolejne zdjęcie. – Widzi pan tę kobietę?

– Tę wystraszoną i przytuloną do Figla?

– Tak. Zna ją pan?

– Nie. Raczej nie.

– To Danuta Kostrzewska.

– Powinienem kojarzyć?

– Tego nie wiem, ale jej obecność w restauracji jest dowodem na to, że wszyscy troje byli tam prywatnie. Nie jest policjantką. Nigdy nie była. A proszę teraz zerknąć na to zdjęcie. Poznaje pan tych ludzi?

Miłosz nie miał wątpliwości. Na zdjęciu, na tle logo Ultrateamu, stali między innymi jego obecni właściciele, Tomala i Gozdroń.

– A ta pani tutaj – Sęp wskazał na kobietę obok Gozdronia – to właśnie Danuta Kostrzewska. Jedna ze współwłaścicielk.

– Mylisz się. Sprzedaliśmy firmę tym dwóm.

– Tak, ale oni zapragnęli spółniczki i zrobili z niej współwłaścicielkę.

– Po co?

– Tak się składa, że Danuta Kostrzewska wcześniej nazywała się Figiel. Jest byłą żoną Zbigniewa Figla, a na tym poprzednim zdjęciu nie wyglądają na rozwiedzionych, prawda? W dodatku rozwiedli się bardzo sprawnie, bez orzekania o winie, zaraz po pańskim wyroku.

– Chyba nie z mojego powodu? – parsknął Miłosz.

– Pozwoli pan, że się nie zgodzę.

– Sugerujesz, że im chodziło o firmę? Że to oni zabili Kubę? Wojtka? Wmanewrowali mnie w to gówno?

– Zdecydowanie. Konieczny był zaangażowany w sprawę, mógł manipulować faktami. Figiel był poza nią, więc nikt nie mógł powiązać go ze śledztwem. Tymczasem to on zrobił główną robotę. Zajął się Zagórnym i nagraniem. Kto wie, czym jeszcze. Nie wiem, co nimi kierowało. Czy po

prostu chęć zysku, czy coś innego. Trzeba by przyjrzeć się dokładniej. Może to pralnia brudnych pieniędzy? Poszperam w ich życiorysach. Trochę pracy jeszcze przed nami, ale to moim zdaniem najsensowniejszy scenariusz.

– Mimo wszystko mam wątpliwości. Rozumiem, że Figiel czerpie korzyści z firmy poprzez umieszczenie w niej swojej byłej żony. Rozumiem też, że rozwód był konieczny, by nie powiązano go bezpośrednio z firmą. Może mieszka poza Krakowem, więc była żona odwiedza go do woli i nikt niczego nie podejrzewa. Zresztą kto zabroni dawnym współmałżonkom ponownie się zejść. I żyją sobie dostatnio z firmy, którą stworzyłem. Ale co zyskał na tym Konieczny?

– Od pańskiej sprawy rozpoczęła się jego kariera. Szybko awansował i ciągu kilku lat został komendantem głównym. To chyba wystarczająca zapłata.

– No nie wiem. Są łatwiejsze sposoby na awans niż taka zagmatwana intryga, która w dodatku nie musi się udać. A poza tym pozostawała jeszcze sprawa odkupienia firmy. Nie mogli mieć pewności, że zostanie sprzedana, i w dodatku w tak dobrej cenie.

– Ale to było do przewidzenia. Żadna z żon pana współników nigdy nie zajmowała się interesami. Niech pan sobie przypomni, najpierw był pomysł sprzedaży czy kupcy?

– Nie pamiętam, ale chyba pomysł.

– Otóż nie. To oni najpierw przekonali żony pana współników, że to dobre rozwiązanie w ich sytuacji, najlepsze z możliwych. A one wymogły na panu zgodę. Szczególnie pani Tomczyk, prawda?

– Skąd o tym wiesz?

– Nie docenia mnie pan. To wszystko naprawdę układa się w sensowną całość. Ale rozumiem pana wątpliwości. Za dużo sensacji naraz. Dam panu chwilę i zamówię coś do picia. Kawa?

– Herbata, jeśli można.

Sęp wstał i podszedł do kontuaru. Miłosz rozejrzał się po sali. Miejsce licealistów zajęło młode małżeństwo z trójką dzieci. Rozmowa o pracę dobiegła końca, ale chyba niedawno, bo nikt nie zdążył sprzątnąć pozostawionych filiżanek. Studentów z przeciwległego końca sali zmęczyła nauka. Otaczającą ich aurę intelektualnego wysiłku zastąpiły wybuchy śmiechu przeplatane opowieściami o wszystkim i o niczym. Nadal było

gwarno. Głosy zlewały się, tworząc mieszankę emocji, znaczeń, nastrojów. Jednocześnie każdy stolik był centrum osobnego świata, w którym żyli tylko ci, którzy go zajmowali. Oni dwaj też kreowali pewien świat, w którym Miłosz do końca nie mógł się odnaleźć. Musiał przyznać, że wersja Sępa była kusząca. Najważniejsze składowe wydawały się ustalone. Teraz wystarczyło przeświecić firmę, zdobyć dowody – jak to łatwo powiedzieć – i pójść z tym wszystkim na policję. Po drodze zadbać jeszcze o zaufanego adwokata i po sprawie. Ale Miłosz nie mógł się oprzeć przekonaniu, że to wszystko brzmi dosyć niewiarygodnie. Trzeba jednak przyznać, że to, co wydarzyło się w jego życiu, też takie było. A jednak to wszystko naprawdę się stało.

– Wśród wielu wątpliwości jedna rzecz zastanawia mnie teraz najbardziej – powiedział do Sępa, gdy ten stawiał na stole dwie duże filiżanki herbaty.

– Słucham – powiedział Sęp i zajął swoje miejsce.

– Powiedziałaś, że szukałeś ogniwa i że okazał się nim Figiel.

– Tak było.

– Jak to się stało, że dopiero teraz na niego wpadłeś? Nie chodzi mi o trop od Zagórnego i zdjęcie, ale o tę akcję w stolicy. Mogłeś mieć to ogniwo znacznie wcześniej. Wydarzenia z restauracji to sensacyjna historia. Musiała odbić się głośnym echem w mediach. Ty, który tak interesowałeś się Koniecznym, nie mogłeś o niej nie słyszeć – powiedział podejrzliwie.

– Tak jak powiedziałem, to było kilka lat po pańskim procesie. Wtedy nie zajmowałem się już pańską sprawą. Poza tym wszystko działo się w Warszawie, a nazwiska bohaterów nie były eksponowane w mediach. To był też dla mnie trudny czas. Wziąłem urlop i wyjechałem do mamy. Wróciłem dopiero, gdy... Ale mniejsza o to. Teraz też pewnie nie trafiłbym na te zdjęcia, gdyby nie przypadek. Kumpel z krakowskiej telewizji przygotowuje materiał na temat komendanta Koniecznego, taka laurka dla emeryta. I podzielił się znaleziskiem. Wiedział, że zainteresuje mnie coś, co go dotyczy.

Sęp zamilkł i chwilę nad czymś myślał.

– Panie Miłoszu, wiem, że nadal nie ma pan do mnie pełnego zaufania. Popełniłem błąd, przyznaję. Nie mogę tego zmienić, ale chcę pomóc panu oczyścić się z zarzutów.

– Dlaczego? – zapytał Miłosz, świdrując go wzrokiem.

– Bo wiem, że to się panu ode mnie należy. Byłem skurwysynem. Młodym, ale skurwysynem.

Ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy Miłosza.

– A teraz kim jesteś?

– Teraz? – Sęp zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział. – Teraz jestem ojcem.



Miał tyle nowych informacji, tyle przypuszczeń, którymi chciał podzielić się z Anką, ale nadal nie odbierała telefonów, nie odpisywała na esemesy. Martwił się o nią, a jej milczenie tylko wzmagало jego obawy.

Gdy następnego dnia telefon znowu nie odpowiadał, nie zastanawiając się, pojechał do niej. Jeżeli nie zechce z nim porozmawiać, trudno, ale musiał ją zobaczyć. Upewnić się, że nie wydarzyło się coś jeszcze.

Stał na podjeździe. W ogrodzie panowała martwa cisza. Przywodziła na myśl żalobę, która odbiera siłę do działania, wprowadza w letarg. Wszystko było zaniedbane, co jeszcze potęgowało złe wrażenie – niestrzyżony od dawna trawnik, wyschnięte krzewy hortensji, donice straszące suchymi kikutami pelargonii. Niemal nagie drzewa i nieuprzątnięte liście dopełniały obrazu. Każdy, kto znał Ankę, wiedział, że ogród to jej pasja, tymczasem jego obecny stan mówił coś zgoła innego. Tylko winobluszcz oplatający altanę był wyjątkowo dorodny, jakby brak uwagi ogrodniczki mu służył. Szkarłat liści spływał po drewnianych podporach, tworząc krwawe strugi, które rozlewały się u ich podnóża.

W cieniu altany na wózku siedziała opatulona kocem... Helena? Tak. To ona. Gdy widział ją po raz ostatni, była w dobrej formie. Życie potrafi zrujnować zdrowie nawet tak twardej kobiety. Przez głowę przemknęła mu myśl, że nie ma prawa zaburzać spokoju tego miejsca swoją obecnością, że nie ma prawa jej niepokoić, ale teraz ważniejsza była dla niego Anka. Nacisnął kłamkę furtki. Zamknięta. Wcisnął guzik domofonu. Helena nawet nie drgnęła. W oknie pojawiła się jakaś postać. W końcu otworzyły się drzwi i stanęła w nich... Nie, to nie była Anka. Kobieta owinięta grubym wełnianym szalem podeszła do furtki. Opuchnięte oczy, brak makijażu, naprędcę

związane włosy – trudno było nie zauważyć na jej twarzy zmęczenia i zatroskania.

– Dzień dobry, jestem przyjacielem Ani, czy zastałem ją w domu?

Spojrzała na niego nieufnie.

– Pamiętam panią z dawnych czasów. Pani jest kuzynką Ani, prawda?

Przytaknęła.

– Wiem o zaginięciu Michała. Chciałem się czegoś dowiedzieć, ale nie mogę się do niej dodzwonić. Martwię się.

– Ania jest w szpitalu.

– Boże, co się stało?!

Kobieta wbiła wzrok w chodnik. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

– Nie upilnowałam jej. Spałam na górze. Gdy zesłam, ona leżała nieprzytomna. Nie upilnowałam. A przecież po to u niej byłam, żeby nic się nie wydarzyło. Nie upilnowałam. Naprawdę nie chciałam. Byłam zmęczona, zasnęłam. A teraz ona... – mówiła powoli łamiącym się głosem. Mimo to sprawiała wrażenie, że chce o tym mówić.

– Ale co właściwie się stało?

– Popiła tabletki alkoholem. Dużo tabletek.

– Gdzie leży?

– Na Jakubowskiego.

Miłosz ruszył do samochodu, by jak najszybciej dotrzeć do szpitala.

– Proszę poczekać – zawołała za nim. Zatrzymał się. – Nie wpuszczą pana. Odwiedzać może tylko rodzina.

– Naprawdę? – zapytał, zrezygnowany, i wrócił do furtki. – Co mówią lekarze?

– Teraz stan jest stabilny. Potrzeba czasu. Ale wie pan, ja myślę, że ona czeka. – Zrobiła dłuższą pauzę. – Czeką na Michała. Jeśli Michał wróci, ona wróci razem z nim, jeśli odejdzie, ona też odejdzie. – Popatrzyła na Miłosa, jakby sprawdzała jego reakcję. – Wiem, to nieracjonalne. Ma mnie pan za wariatkę?

– Nie, nie śmiałym, w dodatku w tych okolicznościach. A co mówi policja? Coś wiadomo o Michale?

– Podobno mają jakiś trop, ale mnie nie powiedzą. To się chyba wiąże z firmą Jakuba.

– A może on jednak uciekł?

– Kto? Michał? Nigdy nie zrobiłby tego matce.

– Skąd ta pewność?

– Jakiś czas temu jeden z jego kolegów uciekł z domu. Rodzice odchodzili od zmysłów, a chłopak siedział gdzieś na działce kilka kilometrów za Krakowem i nic sobie z tego nie robił. Wtedy Michał powiedział mi, że w życiu nie zrobiłby czegoś takiego swojej mamie.

– Mówić można, ale przychodzi taki moment, że robi się coś zupełnie innego.

– Zanim Michał zniknął, Helena trafiła do szpitala. Michał pomagał Ani, odwiedzał babcię, choć się ostatnio nie dogadywali. Nawet gdyby coś strzeliło mu do głowy, wybrałby inny moment. Nie dokładałby Ani trosk. To dobry chłopak.

– Rozumiem.

– Boże, jak bym chciała, żeby to wszystko już się skończyło. Helena po udarze żyje w swoim świecie. Nie wiem, co rozumie, a czego nie kojarzy. Czasem zdaje mi się, że wymawia ich imiona. Jakby chciała zawołać Anię, Michała, Kubę. A może to tylko moje domysły.

– Dawno wyszła ze szpitala?

– Zabrałam ją kilka dni temu. I tak żyjemy tu w zawieszaniu, czekając na powrót Ani i Michała. Wie pan, jak trudno udźwignąć dwa, a właściwie trzy – popatrzyła na Helenę – wymykające się życia? Jeszcze teraz, tuż przed świętami, gdy człowiek tak dużo myśli o tych, którzy odeszli.

Drżała, ale to nie chłód tego jesiennego popołudnia był tego sprawcą.

– Przepraszam, nie powinnam. To z bezsilności. Nawet nie mam z kim porozmawiać. Zawsze, gdy tego potrzebowałam, przychodziłam do Ani, a teraz...

Miłosz zapisał jej na kartce swój numer telefonu.

– Proszę dzwonić, gdybyście czegoś potrzebowały albo gdyby coś zmieniło się u Ani.

– Dziękuję. Nawet pan nie wie, jakie to dla mnie ważne. Powiedział pan, że kojarzy mnie z dawnych lat, ale ja sobie pana nie przypominam.

Miłosz się zawahał.

– Ja jestem... Miłosz. Miłosz Zdebski.

Twarz kobiety nie drgnęła, ale oczy mówiły, że jego imię i nazwisko nie są jej obce. Może zastanawiała się, jak powinna zareagować? Może miała wyrzuty sumienia, że tak dużo mu powiedziała? A może po prostu uznała, że wszystko już zostało powiedziane?

Stali w milczeniu, przyglądając się sobie. W końcu Miłosz pożegnał się i wsiadł do samochodu. Jeszcze raz rzucił okiem na ogród, na siedzącą w bezruchu Helenę i na wciąż wpatrującą się w niego kuzynkę Anki. Zrobił to. Po raz pierwszy, odkąd wyszedł z więzienia, przyznał się do swojej tożsamości.

Choć było to tak zwyczajne, tak banalne, to jednak sprawiło, że poczuł, jakby narodził się na nowo. Ale na celebrowanie tego przyjdzie jeszcze czas. Teraz musi zrobić wszystko, by jego ponowne narodziny dla świata mogli celebrować też inni.



Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Myślał o Ance, o cierpieniu, którego nie potrafiła znieść, i stanie medycznego zawieszenia, w którym się znalazła. Miała przed sobą dwie drogi. Wierzył, że wróci na tę ziemską. Był zły na siebie, że wcześniej nie zdecydował się do niej pojechać. Może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Analizował wielokrotnie przedstawioną przez Sępa wersję zdarzeń. Jeśli Sęp miał rację, to poświęcono Miłozza dla mamony i kariery. Dla Figla i nowych właścicieli firmy stał się kluczem do sejfu, dla Koniecznego windą do najwyższych stanowisk. Skurwysyństwo. Wściekłość mieszała się z żalem, chęć zemsty potęgowały stracone lata, a potrzeba sprawiedliwości budziła sprzeciw wobec tych, którzy powinni ją gwarantować, tymczasem robili wszystko, by lawinę oszczerstw i oszustw uznano za prawdę. Im dłużej o tym myślał, tym większej nabierał pewności, że w tej historii nie ma miejsca na zniknięcie Michała. Porwanie go mogło zaszkodzić wszystkim zaangażowanym w sprawę. Niepotrzebne narażanie się na aktywność policji,

grzebanie w przeszłości, szukanie świadków – po cóż im to? Teraz? Gdy nikt już nie pamiętał o morderstwie? Gdy byli bezpieczni? Może Sępowi uda się ustalić jeszcze coś, co rzuci inne światło na tę sprawę, ale w tej chwili powiązanie zniknięcia Michała z morderstwem sprzed piętnastu lat wydawało się nielogiczne.

Co w takim razie się z nim dzieje? Porwanie dla okupu? Anka już dawno nie dysponowała większymi pieniędzmi. A może Michał był ofiarą jakiegoś wypadku i sprawca, bojąc się odpowiedzialności, ukrył ciało? Nie. O czymś takim nie chciał nawet myśleć. Pedofil? Michał to szesnastolatek, nie małe dziecko, które łatwo zaciągnąć do samochodu i wywieźć nie wiadomo dokąd. Może jednak uciekł? To najbardziej pożądana wersja wydarzeń, ale biorąc pod uwagę to, co powiedziała kuzynka Anki, nie całkiem realna. O co tu, do cholery, chodzi? Jeszcze raz prześledził informacje zapisane na stworzonej po wizycie u Zagórnego mapie, po czym umieścił na niej to wszystko, czego dowiedział się od Sępa. Wpatrywał się w nazwiska, relacje, informacje, sugestie, dorysowywał strzałki i szukał tego, czego być może nie dostrzegł wcześniej, ale na próżno. Szlag by to trafił! Utknął. Jeśli Sęp niczego nie znajdzie, nie ruszy dalej. A może najwyższy czas pójść z tym wszystkim na policję? Ma wystarczająco dużo dowodów i informacji, by oczyścić się z zarzutów, ale czy to, co wie, mogłoby w jakikolwiek sposób pomóc w odnalezieniu Michała? Wątpił. Da sobie jeszcze kilka dni i poszpera. Tylko gdzie szukać zaczepienia? Z braku innych pomysłów jeszcze raz zajrzał do poczty. Uważnie przeczytał mail Iwony. Brzmiał intrygująco, ale tak jak poprzednio w załączonych wpisach do kroniki nie dopatrzył się niczego nadzwyczajnego. Pod pierwszym mógłby się podpisać.

BYŁEM TU I NAJWYRAŹNIEJ MUSZĘ WRÓCIĆ...

P. R.

Kto przyjeżdża w Bieszczady, prędzej czy później w nie wraca. Ot, magia. Nic dziwnego, że złożył taką deklarację.

A drugi?

SĄ TAKIE CHWILE, GDY DUCHY BUDZĄ SIĘ, BY BRONIĆ SWYCH PRAW.

CHCIANO NARUSZYĆ ICH SPOKÓJ, WIĘC OCKNĘŁY SIĘ Z WIEKOWEGO SNU... – CHODZENIE PO GÓRACH BYWA

NIEBEZPIECZNE...

P. R.

Każdy, kto zabłądzi na bieszczadzskim szlaku, obawia się nocnego powrotu i obecności wszelkich biesów, czarów, niawek czy smertków, o niedźwiedziach i wilkach już nie wspominając. Być może jemu właśnie przytrafiła się taka przygoda. Kośława główka niedającego się nazwać stworzenia narysowana obok inicjałów mogła być tego dowodem. I choć autor artystą plastykiem na pewno nie był, to literackiego zacięcia nie można mu było odmówić. A to powinno raczej działać na jego korzyść, niż budzić podejrzenia. Iwona chyba za bardzo wzięła sobie do serca związek z panną Marple.

Zerknął jeszcze raz na skan z książki meldunkowej. Piotr Radecki... Piotr... Piotr Radecki. Miłosz powtarzał imię i nazwisko, licząc na to, że coś mu się skojarzy. Na marne. Internet też mu nie pomógł. Poszedł do sypialni. Po chwili wrócił ze zdjęciem, tym samym, które znalazł w jednym z kartonowych pudeł pierwszego dnia wolności. Trzej przyjaciele z osiedla, szkoły, uczelni. Stali obok siebie w bandanach zawiązanych pod szyją, z kilkudniowym zarostem, z plecakami na plecach, młodzi, szczęśliwi, uśmiechnięci. Na kogo patrzyli? Czy w ogóle zawracali sobie głowę tym, kto robił im zdjęcie? Uczepił się tego człowieka, jakby miał konkretny powód, a przecież to był przypadkowy turysta. Szukał jakiegoś ducha z przeszłości, tymczasem należało skupić się na teraźniejszości. Co poradziłoby mu Kuba i Wojtek, gdyby żyli? Popatrzył na ich twarze w poszukiwaniu tej braterskiej więzi, która przez tyle lat ich łączyła. Szukał jej w oczach, uśmiechach, gestach. Była tam, zatrzymana w czasie, zarchiwizowana, niedostępna dla tu i teraz. Już miał odłożyć zdjęcie, gdy zaintrygował go wyraz twarzy Kuby. Nie było w niej spontaniczności, beztroskiego wariactwa, które dało się wypatrzyć u nich dwóch. Uśmiechał się, to prawda, ale nie tak jak oni. W jego pozornej radości dało się dostrzec niepokój. Słońce padało z boku, nie mogło go razić. Zmrużone oczy sugerowałyby zatem, że nad czymś się zastanawia. Nad czym? Czyżby poznał fotografa? A może Miłosz zaczyna fantazjować jak Iwona? Dopatruje się czegoś, czego tam nie ma? Czas najwyższy odpocząć.



Stoi w oknie opuszczonego domu. Świat rozmywa się w rozgrzanym letnim powietrzu. W oddali widzi zniekształcone sylwetki, słyszy śmiechy i nawoływania. Na jego czole pojawiają się kropelki potu. Czuje lepkość całego ciała. Nagle w pokoju robi się czarno od gzów, komarów, drobnych muszek, które dotkliwie kęsa. Lgną do niego jak do padliny. Ogania się od nich, ale to prowokuje je do ataku. I to natrętne bzyczenie, które powoli zanika. Nie, to nie owady odpuściły. Pojawia się nowy dźwięk. Jeszcze go nie rozpoznaje, ale podświadomie się boi. Dźwięk jest coraz mocniejszy, coraz wyrazistszy. Odbija się od ścian pustego wnętrza. Już wie. Kilka par butów uderza miarowo o bruk. Wycofuje się. Siada w kącie i zastyga w pozycji dziecka, które boi się uderzenia. Insekty przylepiają się do jego ciała, wnikają w skórę. Ledwo słyszalne piski dobiegają do jego uszu. To szczury. Mnóstwo szczurów. Ale nie one są zagrożeniem. Nadal słyszy kroki. Coraz bliżej. Tuż obok. Milkną. Słyszy czyjeś głośne oddechy. Czuje na sobie zimne powietrze. To już nie jasny pokój w upalny letni dzień. To ciemna, zimna, zatęchła przestrzeń. Trupie palce zaciskają się na jego gardle. Nie może złapać powietrza. I te słowa: kto budzi duchy, nie zaśnie spokojnie. Echo powtarza je jeszcze kilka razy, odbijając się od wilgotnych ścian. Otwiera oczy. Widzi upiorne, drwiące twarze. Zna je wszystkie! Nie rozumie, dlaczego to właśnie one. Chce się uwolnić z uścisku. Chce krzyczeć. Nie może. Osuwa się na lodowatą podłogę. Resztkami świadomości rejestruje huk zamykanych metalowych drzwi i skowyt. Skowyt zamknięty we wnętrzu dziecięcego ciała.

Zerwał się z łóżka. Nasłuchiwał dźwięków, które jeszcze przed chwilą były tak wyraźne. Cisza. Podszedł do okna. Ani samochodów, ani przechodniów. Jakby świat był wymarły. Ale senne dźwięki i upiorne twarze wciąż tkwiły pod powiekami i uparcie niepokoiły uszy. Skoro sny biorą się z podświadomości, to co powinien wywnioskować z tego snu? Dlaczego nocne upiory miały tym razem właśnie takie twarze? Co powiedziały? Kto budzi duchy, nie zaśnie spokojnie? Duchy, ciągle te duchy. Czuł się zmęczony i półświadomy, jakby pijany snem. Poszedł do łazienki. Obmył twarz zimną wodą, oparł się dłońmi o umywalkę i spojrzał w lustro. Patrzył na swoją twarz. Jedną z tych, które widział. Dlaczego tam byli? Wszyscy trzej. I, do cholery, kto budzi duchy? Jakie duchy?! Myślał intensywnie, próbując zrozumieć to, co niezrozumiałe. W uszach wciąż dudniły mu kroki. Głęboko we wnętrzu rozlegał się skowyt.

Kroki. Skowyt. Robactwo. Twarze.

Twarze. Duchy. Robactwo. Pustka.

Pustka. Twarze. Szczury.

Szczury. Strach.

Strach. Milczenie.

Milczenie.

Boże! Czyżby dopamina pomogła wydobyć z ostatnich wydarzeń wszystko to, czego nie wydobyło logiczne myślenie? A jeśli... Wybiegł z łazienki. Włączył laptop. Z wydrukowanych skanów wybrał jeden. Wpisał tekst w wyszukiwarce. Gdy zobaczył wynik, serce podeszło mu do gardła. Jeszcze ulica! Jaka tam była, do cholery, ulica?! Nerwowo przerzucał kolejne kartki. Jest! Do diabła! Wiedział, gdzie to jest, ale łudził się jeszcze, że się myli. Jedno kliknięcie i mapa Krakowa z zaznaczoną lokalizacją pozbawiła go złudzeń. Wystarczyła chwila, by kronikarski wpis przestał się kojarzyć z bieszczadzskimi wyzwaniem, a nieporadny rysunek z sympatyczną postacią z górskich opowieści. Wykopywał z pamięci coraz to nowe szczegóły wydarzeń sprzed wielu lat. Tych samych, które mogły stać się początkiem rozłożonej w czasie lawiny zdarzeń. Tu nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności. Piotr Radecki – a więc tak się nazywał? Miłosz uświadomił sobie, że nie znał jego imienia ani nazwiska. Jeśli o nim mówili, to tylko używając ksywki. Czyżby Kuba go poznał? Na pewno! Stąd ten niepokój. Tylko dlaczego nic nie powiedział?! Nie był pewny? A może już wcześniej się spotkali i nie chciał ich denerwować albo uznał, że nie ma o czym mówić? Że lepiej udawać, że nic się nie wydarzyło? Nigdy się tego nie dowie. Podobnie jak tego, czy gdyby wtedy im powiedział, to wszystko potoczyłoby się inaczej.

Miłosz bez zastanowienia ubrał się i wybiegł z mieszkania.



Patrzyła na nagi stół. Był niczym otwarta księga, z której wyrwano kilka rozdziałów (tamte zapisano na innym stole, pod innym adresem). Od lat przykrywała go obrusem. Osłaniała nim wymalowane ślady dzieciństwa, ale

też ukrywała pod jego wzorami pozostawione na stole rany. Teraz, po raz pierwszy od lat, jakby czytała fragmenty swojej historii. Nie. To nie była sentymentalna podróż do przeszłości.

Patrzyła na plamę niebieskiego inkaustu, który wsiąkł głęboko w drewno. Boże, jak dawno to było! Jakże się wtedy bała, że mama krzykiem zmusi ją do szorowania stołu albo znowu wymierzy tę swoją wychowawczą karę, której nie da się ukryć pod ubraniem. W panice przykładała bibułkę, próbując zmniejszyć siną plamę, ale bibułka była zbyt mała. Znalaziona w kuchni ścierka również. W dodatku ją zniszczyła. Zalała też szkolny fartuszek i zeszyt, w którym z taką starannością kaligrafowała pierwsze litery. Ale mama była tego dnia wyjątkowo łagodna. Dowiedziała się, że jest w ciąży. W ten sposób brat, który pojawił się na świecie kilka miesięcy później, stał się jej wybawicielem. On też zostawił na stole swoje ślady. Pierwsze litery i cyfry na spodzie blatu, gdy bawili się razem w twierdzę. Przysłonili stół grubym brązowym kocem i przy świetle latarki szyfrowali wiadomość na wypadek śmierci – swoje inicjały i daty urodzin. Skąd przychodziły im do głowy takie zabawy? Dlaczego w tak oczywisty sposób już wtedy myśleli o śmierci? Nie wiedziała, ale miała pewność, że gdy byli razem, nawet ona nie wydawała się straszna.

Chciała przeciągnąć opuszkami palców po powierzchni stołu, ale nie mogła ruszyć rękoma. Patrzyła na drobne brązowe plamki na resztkach politur przypominające do złudzenia te, które pokrywały jej dłonie. Zestarzeli się oboje, oj, zestarzeli. Tak wiele ich łączy. Ten stół był niemym świadkiem życia kilku pokoleń jej rodziny. Przy nim spotykali się wszyscy podczas świąt, dzielili opłatkiem, częstowali święconką, a ona celebrowała te chwile, wiedząc, że za moment wszyscy zapomną, po co się spotkali, i czar pryśnie. Tylko dziadek, jak czarodziej z innego świata, miał zawsze tajemniczy eliksir, dzięki któremu i ona, i jej brat doświadczali magii tego niemagicznego miejsca. Jego opowieści pozwalały uwierzyć, że potwory karmią się strachem swoich ofiar. Wystarczy przestać się bać, by straciły swą siłę. Gdy odchodził, zostawił im zapas eliksiru, ale ten szybko się skończył. A może stracił swoją magiczną moc wraz z odejściem czarodzieja?

Opuchnięte nogi dokuczały jej coraz bardziej. Próbowwała poruszać nimi na tyle, na ile było to możliwe, ale to nie przynosiło ulgi. Podobnie jak zaciskanie i rozprostowywanie zdrętwiałych dłoni. Skupienie na wspomnieniach było sposobem na zapomnienie o fizycznych dolegliwościach. Zofia wyęczała wzrok i „czytała” dalej. Rozszyfrowywała każdą rysę, każde pęknięcie czy

przebarwienie. Czasem twarz jej jaśniała, jednak znacznie częściej pojawiał się na niej grymas bólu. Zamglonymi oczyma oglądała pojawiające się jak na zawołanie obrazy. Widziała niezadowoloną twarz matki, tę samą, która w rozmowie z obcymi ludźmi stawała się taka szlachetna i dobra. Słyszała jej piskliwe wrzaski, gdy coś poszło nie po jej myśli. Spoglądała na zobojętniałego ojca, który nigdy nie stanął w jej obronie. Czuła odór sfermentowanego alkoholu po pijackich ucztach męża, strach przed jego dotykiem i koniecznością współżycia. W uszach dźwięczał jej odgłos rozbijanego o stół szkła, które potem kaleczyło jej ręce i bosa stopy. Słyszała huk przewracanych mebli, rzucone bez zastanowienia przekleństwa i nieznoszące sprzeciwu żądania oddania ukrytych na czarną godzinę pieniędzy. Na czarną godzinę, czyli na większość jej życia. Te wszystkie obrazy tworzyły wartki strumień myśli i wspomnień uparcie żłobiący w sercu coraz głębsze bruzdy.

A te drobne wgłębienia jedno przy drugim? Powstały kilka miesięcy temu. Zszywała ze sobą dwa duże kawałki brezentu. On ją o to poprosił. Stare palce nie dawały rady przeciągnąć grubej igły, napałek gdzieś się zapodział, więc wbijała igłę, ile dała radę, a potem opierała o stół i naciskała obiema rękami na brezent, aż niemal cała igła pojawiła się nad nim. Potem trzeba było jeszcze wyszarpnąć najgrubszą część i przeciągnąć dratwę szewską na drugą stronę. A potem znów i znów. Maleńkie wgłębienia – czym były wobec pozostałych szram? Dowodem pracy i miłości. W nich nie kryło się niczyje cierpienie.

Teraz przypomniała sobie o jeszcze jednym śladzie. Znajdował się po przeciwnej stronie stołu, więc z jej perspektywy był niemal niewidoczny. To pozostałość po tamtym dniu. Tym, który zmienił wszystko.

A może wszystko zmieniło się znacznie wcześniej? Wtedy, gdy zaginął?



Biegał po osiedlu i próbował sobie przypomnieć, gdzie była ta piwnica. Zaraz. Szli dosyć długo. To musiało być następne osiedle. Odtwarzał w pamięci kolejne elementy przestrzeni, ale zmiany były tak duże, że nie miał pewności, czy jest w dobrym miejscu. Nic się nie zgadzało. Kilka razy wracał

do trzepaka i zaczął od nowa rozwiązywać tę topograficzną szaradę, ale ciągle trafiał w to samo miejsce. Problem w tym, że tam nie było bloku. Teren zajmowały plac zabaw, siłownia i niewielki skwerek obsadzony drzewami. Czyżby pamięć aż tak go zawodziła?

– Szuka pan czegoś? Może mógłbym pomóc? – zapytał starszy mężczyzna wyprowadzający psa.

– Od dawna pan tu mieszka?

– Od zawsze. – Uśmiechnął się.

– Widzi pan, szukam bloku. Wydaje mi się, że stał tutaj.

– A, mówi pan o tym, który wyburzyli?

– Wyburzyli?

– Tak, jakieś dziesięć lat temu był tu ogromny wybuch gazu. Kilka osób zginęło, wiele trafiło do szpitala. A potem na bruk. To znaczy miasto pomogło, ale wie pan, jak się traci wszystko, co się ma, na co się latami pracowało, i jeszcze nie można wejść i zabrać tego, co ocalało, to jakby trafić na bruk. A tu groziło zawaleniem, więc dzień i noc pilnowali, żeby nikt nie wchodził, aż wyburzyli.

– I nie postawiono tutaj nowego bloku?

– Postawiono, ale dalej. Tutaj zawsze brakowało miejsca dla dzieci czy choćby niewielkiego parku, więc wywalczyliśmy, żeby blok postawić na nieużytkach. Zresztą potem postawiono tam kolejne, więc liczba mieszkań się zwiększyła, a my zyskaliśmy dzięki temu nieszczęściu trochę przestrzeni.

Trop znowu wymykał się Miłoszowi z rąk. Był przekonany, że to może być miejsce, w którym odnajdzie Michała. W obliczu fiaska pozostawało odwiedzić Radeckiego.



– Czego? – zapytał mężczyzna w slipach i skarpetkach. Smród przetrawionego alkoholu kazał Miłoszowi odsunąć się od drzwi. – Czego, pytam?

– Zenuś – powiedziała do niego drobna kobieta o delikatnym, wystraszonej głosie. Dzwonek musiał ją obudzić, bo w pośpiechu zakładała szlafrok i próbowała przyglądać rozczochrane włosy. Miłosz zerknął na zegarek. Dochodziła siódma. Trochę wcześniej, ale jego cel był najważniejszy. – Połóż się, Zenuś. Proszę. Musisz się jeszcze przespać.

Mruczał coś pod nosem, ale posłusznie dał się zaprowadzić do pokoju. Zanim kobieta zamknęła za nim drzwi, Miłosz zdołał zauważyć na stole butelkę po wódce. Kieliszków nie było. To nie mógł być Radecki. Nie wyglądał na amatora górskich wycieczek kontemplującego uroki natury. Jeśli ten facet jeździł w góry, to na pewno nie po to, by po nich chodzić. Kobieta podeszła ponownie do Miłosza. W jej oczach było błaganie. W sylwetce przygnębienie. W drżących, zaciśniętych dłoniach strach, którego Miłosz jeszcze nie rozumiał.

– Pan w sprawie czynszu? – spytała cicho drżącymi ustami. – My wszystko zapłacimy. Obiecuję, ale chwilowo nie mamy z czego. Proszę jeszcze trochę poczekać. Ja już miałam odłożone pieniądze, ale dzieci ciągle chorują i znowu wszystko musiałam wydać na leki. Oliwka ma astmę, Grzesio – porażenie dziecięce, a Piotruś...

– Ale...

– Tak, wiem, że poprzednim razem obiecywałam, ale teraz będzie inaczej. Mąż dostał pracę. Bardzo dobrą pracę i wszystko uregulujemy, tylko proszę nam dać trochę czasu, to...

– Ale ja nie w sprawie czynszu – przerwał jej Miłosz stanowczym tonem. Inaczej nie był w stanie przebić się przez wypowiedziane w panice słowa. Chciał skrócić jej udrękę płynącą z przekonania, że stoi przed nią egzekutor należności przysłany przez właściciela. – Szukam Piotra Radeckiego.

– To pan nie od niego? Nie po czynsz? Naprawdę? – W oczach kobiety pojawiła się nadzieja.

– Naprawdę. Rozumiem, że on tu nie mieszka.

– Nie. My od niego wynajmujemy to mieszkanie. I zawsze płaciliśmy na czas, tylko ostatnio tak się porobiło. Ale pan nie po czynsz. To dobrze, Boże, jak dobrze – mówiła do siebie, jakby jeszcze nie docierało do niej, że egzekucja wyroku, którego spodziewała się od dawna, została wstrzymana. Nieważne na jak długo. Ważne, że teraz są bezpieczni. Że nie zostaną nagle bez dachu nad głową.

- A wie pani, gdzie go mogę znaleźć? Gdzie teraz mieszka?
 - Słucham?
 - Pytałem, gdzie mieszka.
 - Przepraszam. Taka rozkojarzona jestem. Gdzie mieszka? Gdzie on teraz mieszka... Nie wiem, ale kiedyś woziłam pieniądze na Nadbrzezie.
 - Pamięta pani numer?
 - Nie. Ale ja ten czynsz zapłacę, słowo honoru, że zapłacę.
 - A jakieś charakterystyczne elementy?
 - Słucham? – Zdawało się, że nie rozumie pytania.
 - Czy pamięta pani coś, po czym mógłbym poznać dom? – Miłosz się niecierpliwił.
 - Nie wiem.
 - Cokolwiek, proszę pomyśleć.
 - Żywopłot. Tak. Taki wysoki. I furtka. Też wysoka.
 - A dom? Jak wyglądał dom? – naciskał Miłosz.
 - Nie pamiętam. Proszę wybaczyć. Ja naprawdę... Przepraszam. – Znowu skuliła się w sobie. Twarz, która przez chwilę nabrała życia, traciła je teraz. Znowu zawładnął nią strach.
 - Znajdę. Dziękuję. – Próbował złagodzić ton.
 - Przepraszam. Bardzo przepraszam. Ale pan nie po czynsz. Jak dobrze. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Ja wszystko zapłacę, tylko muszę mieć trochę czasu. Zapłacę – mówiła, zamykając drzwi, jakby chciała przekonać samą siebie, że będzie dobrze. Że da radę. Że ochroni swoją rodzinę.
- Jak trudne musi być takie życie naznaczone ciągłym strachem, którego najwyraźniej nie dzielił z nią mąż. A może alkohol to jego sposób na radzenie sobie z bezsilnością, z tym, że nie potrafi zapewnić rodzinie bytu? Nie wszystko jest takie oczywiste, jakim się wydaje. Miłosz wiedział to aż za dobrze.
- Ale teraz to nie problemy tych ludzi były dla niego najważniejsze.
- Jeśli znajdzie Radeckiego, jest szansa, że znajdzie również Michała. Oby nie było za późno.



Żywopłot i wysoka furka. Tak powiedziała. Zatem wszystko wskazywało na to, że znalazł ten dom. Wymarzone miejsce dla ludzi, którzy cenią sobie spokój i intymność. Którzy chronią swoją prywatność przed wścibskimi oczyma sąsiadów i przechodniów. Fantastyczna przestrzeń dla dziecięcej wyobraźni poszukującej odpowiedzi na pytanie, co znajduje się po drugiej stronie. Baśniowa kraina pełna pastelowych barw? Tajemniczy ogród? A może mroczne komnaty czarnoksiężników? Gdyby był dzieckiem, chciałby znać odpowiedź na to pytanie. Chciał ją poznać również teraz, choć tym razem to nie ciekawość nim kierowała.

Rozejrzył się wokół. Duże działki pozwalały na usytuowanie domów daleko od siebie. Część z nich stanowiły okazałe wille zbudowane najwyżej kilka lat temu. Dom za żywopłotem zaliczał się do weteranów, ale w czasach swojej młodości był zapewne jednym z okazalszych. Świadczyła o tym jego wielkość, ozdobne gzymy, dachówka – wprawdzie omszała, z widocznymi ubytkami, ale prawdziwa dachówka. Atutem były wiekowe drzewa, których korony górowały nad domem.

Zarówno ulica, jak i dom sprawiały wrażenie opustoszałych. Może część mieszkańców wykorzystała wydłużony weekend i już wyjechała na rodzinne groby. Miłosz pomyślał o grobach swoich bliskich, ale wiedział, że muszą poczekać. To nie był czas na wspomnianie tych, którzy odeszli. Teraz należało walczyć o żywych.

Nie miał planu. Działał szybko, bez zastanowienia, pod wpływem emocji, wiedziony nową wersją zdarzeń, która nijak nie łączyła się z pierwszą. Z upływem czasu i z pojawianiem się z trudem wygrzebywanych z pamięci szczegółów rodząca się na nowo opowieść o przeszłości i teraźniejszości stawała się coraz bardziej dramatyczna. I choć Miłosz wciąż nie mógł uwierzyć, że ta historia zapoczątkowana kilkadziesiąt lat temu miała swoją kontynuację, to z trudem przychodziło mu szukanie obalających tę tezę argumentów. A to oznaczało, że robi się coraz goręcej. Na wszelki wypadek sprawdził, czy nóż i teleskopowa pałka znajdują się nadal w kurtce. Były. Nacisnął klamkę, ale furka ani drgnęła. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić, gdy usłyszał kobiecy głos.

– Nie ma jej.

Cholera. Nie teraz. Nie potrzebował pomocników ani świadków. Odwrócił się. Kilkanaście metrów od niego, przy wejściu na sąsiednią posesję, stała starsza kobieta. Na głowie miała wełnianą czapkę, ubrana była w długą spódnicę, ciepły sweter i serdak. W rękach trzymała wiadra napełnione wodą. Odstawiła je za płotem i zaczęła pocierać zmarznięte ręce.

– Pan do Fijki?

– Słucham? – zapytał niepewnie.

– Mówię, że jej nie ma. Bo pan do niej, prawda?

– Do państwa Radeckich.

– Czyli do Fijki. Od kilku dni jej nie widziałam. – Podeszła do Miłosza. – Musiała wyjechać. Pewnie na groby. Furtka zamknięta. Żywego ducha nie widać. Zresztą co tam za tymi krzakami można zobaczyć. Nieraz jej mówiłam, żeby je powycinała, ale kto tam mnie słucha. Dzisiaj to nawet do niej dzwoniłam, ale nie odbiera. Pewnie znowu komórka jej się zepsuła. Z komórką to ona nie poradzi. Nie to co ja. Mnie wnuki nauczyły, to poradzę. A jej niby kto ma pomóc? No bo przecież nie ten darmozjad. – Rozejrzała się, jakby to, co chciała powiedzieć, było wielką tajemnicą, i mówiła dalej ściszym głosem. – Bo widzi pan, ona tego swojego to za anioła całe życie uważała. Tylko by się nim chwaliła i chwaliła, a my tu wszyscy wiedzieliśmy, że... – Wyprostowała się, ściągnęła brwi, podparła się pod boki. – A pan to właściwie kto? Znajomy? Z rodziny? Policja? Bo mam nadzieję, że nie kolega tego... – Podniosła głowę i spojrzała na dom. – Tego, pożał się Boże, aniołka? – Przeszyła Miłosza spojrzeniem.

– Piotra Radeckiego? Nie, nie jestem jego kolegą.

– To i dobrze. Zresztą, co mnie obchodzi, kim pan jest. Ja tylko mówię, że jej nie ma. Bo widzi pan, rurę w nocy rozsadziło. Właściwie nikt nie wie gdzie, ale wody nie mamy. Sama z beczkowitzu już drugi raz niosę, a Fijka po wodę nie chodziła. No to wiadomo, że jej nie ma, bo przecież bez wody się nie da, prawda?

Miłosz pokiwał głową.

– A ten Radecki, widziała go pani może?

– Nie, jego chyba też nie ma. Pewnie razem gdzieś pojechali. Zresztą jego to ja rzadko widzę.

Miłosz nie silił się na rozmowę, tylko modlił się w duchu, by kobiecina już poszła.

– No to ja idę – powiedziała, jakby czytała mu w myślach. – Zaraz Moda na sukces. W niedzielę powtarzają wszystkie odcinki. Bo to wie pan, jak człowiek całymi dniami sam siedzi, to musi sobie czymś czas wypełnić. Jedni chodzą i paplają po próżnicy, ale nie ja. Co to, to nie. No to ja już sobie pójdę i w spokoju film obejrzę. Jaki to dobry wynalazek ten telewizor. Mam teraz nowy. Dzieci mi kupiły, żeby wszystko lepiej widziała. Bo ich stać. Szkoły pokończyli, samochody pokupowali, mieszkania mają. Nie to co ten. – Ponownie wskazała głową dom Radeckich.

– A ten Radecki to czym się zajmuje?

– A kto go tam wie. Fijka kiedyś to tylko o nim mówiła, ale to dawno było. Że taki mądry, że ciągle tylko się uczy i uczy. A jak jej stary umarł... Tak swoją drogą to jakaś dziwna ta śmierć była, ale ja się nie wtrącam, nie plotkuję... Odkąd stary umarł, to ona już niewiele mówi i ludzi unika. Nawet mnie, chociaż my się od dziecka znamy. Ale ja wtrącać się nie chcę. Swoją rodzinę mam i nie muszę się cudzą zajmować. A wie pan, że mój najstarszy to się na inżyniera wyuczył i pracuje teraz...

– A ten serial to się pani przypadkiem nie zaczął? – zapytał Miłosz z obawy, że nie uwolni się od natrętnej starszej pani, której wyraźnie brakowało rozmów z ludźmi.

– Mówi pan? No to ja lecę, bo tam dzisiaj dużo się będzie działo. A pan niech tu po próżnicy nie stoi, bo nic to panu nie da. Tylko pan zmarznie. Do widzenia.

– Do widzenia.

– A może coś przekazać, jak Konieczna wróci? – zawołała spod swojej furtki.

– Co?! Jak pani powiedziała?! – Miłosz podbiegł do niej.

– Nic, tylko grzecznie pytałam, czy czegoś nie przekazać, jak ją spotkam.

– Nie, nie to! Jak ją pani nazwała?!

– Jak to jak? Pomyliłam się. Co, pomylić się nie można? Radecka, chciałam powiedzieć.

– Konieczna! Tak pani powiedziała.

– To z domu, po mężu Radecka. Ale to nie powód, żeby tak na mnie naskakiwać – stwierdziła, zamykając w pośpiechu furtkę na skobel.

– A komendant Konieczny to rodzina?

– No pewnie, że rodzina. I my się też bardzo dobrze znamy, bo się tu wychowaliśmy, po sąsiedzku – dodała z naciskiem, jakby chciała zapewnić sobie tą informacją bezpieczeństwo. – To ja już lepiej pójdę, bo się pewnie zaczęło. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedział mechanicznie, nie patrząc na nią. Oszołomiony, nie mógł okiełznać piętrzących się w głowie myśli. Jeszcze przed chwilą był pewien, że idzie tropem dwóch odrębnych historii. Teraz znał łączący je szczegół. Szczegół, który wiele zmieniał. Jaki był jego wpływ na wszystko, co się wydarzyło? Rozwiązanie zagadki było tuż obok. Za żywopłotem.



Samolot schodził do lądowania. Słońce towarzyszące pasażerom przez ostatnie godziny zniknęło. Zastąpiły je gęste stalowe chmury. Wpatrywał się w tę złowróżbną ciemność za oknem i myślał o minionych dniach. Jeszcze wczoraj stał na przylądku Cabo da Roca na skraju urwiska i podziwiał teatralny spektakl żywiołów – zachodzące słońce oświetlało ogromne rozbielone fale zmagające się z wiatrem i skałami. Ta oceaniczna choreografia połączona z maestrią dźwięków natury robiła wrażenie na każdym widzu, sprawiała, że zapominało się o codzienności. Liczyło się tu i teraz. Ten pełen dynamiki widok nie budził grozy, ale zachwyty nad pierwotnością i siłą przyrody.

Stał, słuchał ryku oceanu, a jednocześnie czuł się bezpieczny. Wystarczyło dobrze się ubrać, stanąć w odpowiednim miejscu i fale, choć ogromne, nie mogły go dosięgnąć. Był znacznie wyżej od nich. Niczym pogromca żywiołów.

Tymczasem w samolocie nic nie zależało od niego. Był skazany na umiejętności pilotów, na pogodę, na zbiegi okoliczności. Ciekawe. Nigdy w ten sposób nie myślał. Wsiadał, leciał, lądował, żył. Skąd zatem strach? Czyżby się starzał? Ostatni raz bał się... Tak... wtedy. Ale gdy uświadomił sobie, że tak naprawdę nie ma innego wyjścia, strach minął. Zastąpiły go

determinacja i zimna kalkulacja – tylko tak mógł spełnić pokładane w nim nadzieje. I spełnił. Tak jak obiecał. Ale było, minęło. Nie ma do czego wracać.

Koła dotknęły mokrej płyty lotniska. Pasażerowie zaczęli bić brawo. Zawsze denerwował go ten zwyczaj, ale tym razem ręce same złożyły się do oklasków. Z ulgą rozpiął pasy i przygotował się do wyjścia. Jeszcze tylko wydobyć bagaż ze schowka, nie dać się wyprzedzić tym, którzy napierają z tyłu, potem precyzyjnie się między fotelami i będzie wolny. Nie. Zanim się uwolni, musi jeszcze minąć stewardesy uśmiechające się sztucznie. Nawet tu fałsz, wymuszona kurtuazja. Znał to aż za dobrze. Miał dość życia w świecie, w którym pod maskami kryły się pogardliwe spojrzenia, ironiczne uśmiechy, zaciśnięte z wściekłości zęby. Niejeden oczekiwał, że powinie mu się noga i będzie mógł zająć jego miejsce. Ale to już za nim. Czas nabrać dystansu.

Wszedł do rękawa i ruszył do hali przylotów, licząc na to, że nie będzie długo czekał na bagaż. To wpatrywanie się w kręcącą się taśmę frustrowało go. Czekasz, niecierpliwisz się, a potem rzucasz się na swoją walizkę. Nie chcesz, by ci umknęła. Nie chcesz ganiać za nią na oczach wszystkich pasażerów. Dlatego zazwyczaj siadał na ławce i czekał, aż wszyscy odbiorą bagaże, i zabierał swój jako ostatni. Ale dzisiaj było inaczej. Został złodziejem swojej walizki i wybiegł z lotniska. Wsiadł do taksówki. Chciał jak najszybciej dotrzeć do mieszkania. W drodze przypomniał sobie o telefonach i wzdrygnął się. Gdy wyjeżdżał, obiecał sobie, że nie będą mu przeszkadzały w wypoczynku. W firmie powiedział, dokąd jedzie, podał adres i numer stacjonarny. Gdyby chcieli, mogli się z nim skontaktować.

Nie chcieli.

Prywatnie też nikt nie powinien go niepokoić. Z tymi, z którymi chciał porozmawiać przed wyjazdem, porozmawiał i uprzedził, że będzie niedostępny. Nie zdecydował się jednak na zostawienie telefonów w domu. Były cały czas w walizce, tak na wszelki wypadek, gdyby zaistniała konieczność ich użycia. Wytrzymał. A teraz, gdy przyszedł czas, by włączyć oba, czuł się nieswojo. Jakby podświadomie bał się najgorszego. Może stąd ten irracjonalny niepokój od samego rana?

Włączył służbowy telefon. Nic. Spokój. Włączył prywatny. Kilka połączeń i nagranych wiadomości. Kto dzwonił? Ona nie. To najważniejsze. W takim razie wszystko pod kontrolą. A ten czego znowu chciał? Dobrze, że wyłączył telefon. Nie miałyby chwili spokoju, a przecież po to wyjechał. Wybrał na klawiaturze gwiazdkę, potem pięć, zero, jeden. „Masz dziesięć nowych

wiadomości” – zabrzmiał suchy, beznamiętny głos. Odsłuchiwał nagrane informacje. Z każdą kolejną jego twarz tężała, a gardło zaciskało się coraz mocniej. Z trudem przełykał ślinę. Patrzył za szybę, ale nie widział przesuwających się obrazów miasta. Przed oczyma miał sceny z przeszłości i wizję dramatycznej przyszłości. Wyjazd był błędem. Zachował się jak nieodpowiedzialny gówniarz. I jeszcze ten psychologiczny kretynizm z telefonami. Wyzwól się! Odetchnij! Nie daj się uwięzić swojej komórce! Trzeba było tu zostać i pilnować, by sprawy nie wymknęły się spod kontroli. A teraz? Teraz już wszystko jest inaczej.



Zbliżała się dziewiętnasta. Temperatura spadła o kilka stopni. Wiatr potęgował uczucie zimna. Światła latarni nikły między przydrożnymi drzewami. Wokół panował mrok – sprzymierzeniec Miłosza. Dzięki niemu mógł wrócić na Nadbrzezie i pod jego osłoną przyjrzeć się uważnie posesji Radeckich. Ale mrok był też wrogiem. Rozgościł się w głowie Miłosza i z każdą godziną oczekiwania na nastanie wieczoru rósł w siłę. Do tej pory był przekonany, że jest ofiarą cudzych planów. Teraz wiedział, że miał na nie ogromny wpływ, i choć nadal nie rozumiał eskalacji problemu z dalekiej przeszłości, to przerażenie związane z jego skutkami rosło z każdym docierającym do jego świadomości szczegółem. Role Radeckiego i Koniecznego z braku dostatecznej wiedzy nie były do końca jasne, nie miał też pewności co do roli Michała, ale czuł, że zbliża się do końca filmu, w którym reżyser nie przewidział happy endu. Musi zrobić wszystko, by to zmienić. Dlatego ani świadomość łamania prawa, ani niebezpieczeństwo, z którego zdawał sobie sprawę jak nigdy wcześniej, nie mogły go powstrzymać przed poznaniem tajemnic domu Radeckich vel Koniecznych.

Samochód zostawił kilkadziesiąt metrów dalej, w niewielkiej zatoczce, i ruszył w kierunku domu za żywopłotem. Liczył na to, że właściciele nadal nie ma. Sprawdził, czy furtka jest zamknięta, upewnił się, że w domu nie świeci się światło, po czym minął posesję i zniknął w gęstych drzewach porastających sąsiednią niezabudowaną działkę.

Doszedł do miejsca, w którym kończył się żywopłot, a zaczynało drewniane ogrodzenie. Deski nadszarpięte zębem czasu nie stanowiły przeszkody. Niektóre spróchniały i odpadły, inne ustępowały pod uderzeniem buta. Większym problemem były rośliny. Krzewy pozostawione bez kontroli rozrosły się, wypełniając szczelnie wszelkie ubytki w ogrodzeniu. Gdy przy użyciu noża przedarł się przez ich pierwszy rząd, wpadł w kolejne krzaki. Zanim się zorientował, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia, berberys pokaleczył mu twarz i dłonie. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że tutaj natura rozdaje karty. Osłonił głowę rękoma i nie zważając na kolce wbijające się w ubranie, przebrnął i przez tę przeszkodę, jakby pokonywał kolejne zasieki na polu bitwy, na którym miał stoczyć najważniejszą potyczkę. Wokół panowała ciemność. Oczy przyzwyczajone do mroku rozpoznawały kolejne elementy przestrzeni. Całość otaczały wysokie i rozłożyste drzewa poruszające się w takt świstu wiatru. Dostrzegł ławkę i duży stół ogrodowy, a także niewielki budynek, może komórkę albo garaż. Na jasnej elewacji domu wyraźnie odcinały się drzwi wejściowe, do których prowadziły wysokie schody. W oddali czekały psy, od czasu do czasu słychać było odgłos przejeżdżających samochodów. Konary drzew poruszały się rytmicznie w takt wzmagającego się szumu wiatru.

Chciał ruszyć w stronę schodów, ale prawą nogą zaczepił o płożące się po ziemi rośliny i poleciał jak długi na ziemię. Jęknął z bólu. Próbując osłaniać twarz, upadł całym ciężarem na rękę. Potłukł dotkliwie kolana. Dłonie wcześniej podrapane kolcami teraz paliły od otarć powstałych na kamieniach.

Nagle otworzyły się drzwi domu. Więc jednak ktoś tu był?! Pojawił się niedawno czy był również rano? Radecki? A może Konieczny? Szczupły mężczyzna średniego wzrostu szedł w kierunku Miłosza. Nie zapalił światła, nie włączył latarki. Szedł pewnie w ciemność. Dokąd? To się okaże. Miłosz zastygł w bezruchu. W duchu dziękował naturze, że go powstrzymała. Gdyby nie upadek, wpadliby na siebie przy drzwiach. W ułamku sekundy zapomniał o bólu. Adrenalina zadziałała jak środek znieczulający. Mężczyzna minął go o metr i poszedł w głąb ogrodu. Miłosz odczekał chwilę, po czym uwolnił nogę, podniósł się najciszej, jak potrafił, i ruszył za nim. Szlak wytyczał wyłożony betonowymi płytami chodnik. Wiatr wiał mu w twarz, dzięki czemu porywał ze sobą dźwięki mogące zdradzić jego obecność. Mężczyzna nie odwracał się, szedł szybko. Na pewno nie podejrzewał, że ktoś go obserwuje. Nagle zniknął Miłoszowi z oczu. Księżyc, do tej pory ukryty, przebił się przez gęstą warstwę chmur i oświetlił ogród. Kilkanaście metrów przed sobą Miłosz

zobaczył szkielet rozległej starej szklarni. Kiedyś musiała wyglądać inaczej, teraz pozostały po niej tylko ramy i wysoki na kilka metrów komin. Miłosz podszedł ostrożnie, uważając, by nie oświetlił go blask księżyca. Ukryty w cieniu drzew, nasłuchiwał najdrobniejszych dźwięków, które mogłyby świadczyć o obecności mężczyzny. Na próżno. Tamten zniknął.

Bluszcz, który szczelnie obrastał szkielet szklarni, zwieszał się gęstymi girlandami i błyszczał w świetle księżyca. Płóżył się po ziemi, okrywając dorodnymi liśćmi nie tylko wnętrze szklarni, ale też przylegające do niej rabaty. Baldachimy jeszcze kwitnących lub już przekwitłych kwiatów gęsto okraszały jego pędy. Wokół roznosił się ledwo uchwytny, ale dający się rozpoznać zapach padliny. Drzewo Ozyrysa przygotowywało się na Święto Zmarłych. Znał dobrze tę roślinę. Zwykle oplatała stare nagrobki, skłaniała do refleksji nad przemijaniem, nad śmiercią. Nagle z zamyślenia wyrwał go niepokojący dźwięk. Nasłuchiwał w skupieniu, licząc na to, że pojawi się po raz kolejny. Nie zawiódł się. Teraz dźwięk był dłuższy, przeciągły, ale zmieszany z szumem wiatru był nie do określenia. Miłosz ruszył w jego kierunku. Wyłożona płytkami chodnikowymi ścieżka schodziła niżej i zakręcała ponownie w kierunku szklarni. Znowu dał się słyszeć ten przeciągły dźwięk, coraz wyraźniejszy. Miłosz stanął w miejscu. Nad nim górował ozdobiony bluszczem komin. Przed sobą miał schody i drzwi. Bluszcz panoszył się i tutaj, ale ktoś wyciął jego zdrewniałe łodygi, by odsłonić wejście. Kotłownia? Jasne! Mężczyzna musiał zniknąć właśnie tu. A jeśli przyszedł w nocy w to miejsce, to znaczy... Dźwięk się powtórzył. Księżyc zniknął za chmurami. Znowu zapanowała ciemność.

Miłosz uchylił delikatnie drzwi. Za nimi znajdowało się niewielkie pomieszczenie. Wszedł. Smród stęchlizny utrudniał oddychanie. Zza kolejnych drzwi sączyło się czerwone światło. Tajemniczy dźwięk znowu się powtórzył. Miłosz miał wrażenie, że wszedł do przedsionka piekła. Złowróżbny, szatański, głęboki głos powtarzał jedno słowo. Zmieniał natężenie, przeciągał sylaby, szeptał bądź krzyczał. Jego brzmienie bolało, paraliżowało ciało i serce.

– Maandzaaroo... Man-dża-ro... Mandżaro!

Nieokreślony strach, który czuł tamtego poranka, powrócił. Powrócił po wielokroć.



Jest upalny letni dzień. Samo południe. Kilka dni wcześniej odebrali świadectwa. Wszyscy z wyróżnieniem. Jak zwykle. Za dwa miesiące będą uczniami najstarszej klasy. Ósmaki to siła i władza.

Ale na razie są wakacje. Za chwilę mają się spotkać pod trzepakiem. Mandżaro ma sprawę niecierpiącą zwłoki, dlatego pierwszy jest na miejscu. Perełka też. Paragon znowu się spóźnia⁸.

– Trudno być prawdziwym detektywem, gdy nie potrafi się przyjść na czas – komentuje Mandżaro, gdy Paragon wpada zmachany na miejsce.

– Mandżaro, mów, o co chodzi, bo marudzisz jak baba – odgryza się.

– Chłopaki, Marsjanin ciągle za mną łązi. Chowa się za krzakami, śledzi mnie. Już mu przecież mówiliśmy, że nie chcemy go w paczce. Nie dociera do gówniarza. Normalnie coś mu odpaliło. Ja mam go już serdecznie dosyć.

– No, wkurzające to jest. Ale on chyba przede wszystkim chodzi za tobą. Może mu się podobasz?

– Spadaj, Perełka.

– No dobra, dobra, żartowałem przecież. To co robimy?

– Mam plan. Zaprowadzimy go do bazy. Byłem tam wczoraj. Nic się nie zmieniło. Nadal dostępna. Wystarczy kłódka.

– Po co? – dziwi się Paragon.

– Bo tam, idioto, są drzwi, które trzeba zamknąć.

– Ale właściwie co ma piwnica do Marsjanina? – docieka Paragon.

– Ten jak zwykle nie kapuje. Pójdziemy tam. On na bank polezie za nami. Możemy udawać, że chcemy mu coś pokazać. Żeby nie widział, gdzie idziemy, zawiążemy mu oczy. A potem... no wiecie.

– Jesteś pewny, że pójdzie? – pyta Perełka.

– To naiwniak, na stówę.

– A dzisiaj już za tobą łąził?

– Nie, dlatego poczekamy tutaj, aż się pojawi.

Siedzą na trzepaku, z nudów machają nogami, potem grają w noża i w hacele.

– Chłopaki, on chyba nie przyjdzie. Dajmy spokój. Szkoda wakacji na to głupie czekanie.

– Jesteś pewien, Perełka? No to patrz. – Mandżaro wskazuje kępkę krzaków obok śmietnika. Zza nich wychyla się głowa w zielonej kaszkietówce. – Patrzcie i uczcie się. Marsjanin! – Chłopak nie reaguje. – Marsjanin! Chodź do nas. Może przyjmujemy cię do paczki!

– Naprawdę? – Słysząc głos zza śmietnika.

– Naprawdę, ale musisz tu przyjść!

Podchodzi wolno, nieufnie. Jest młodszy od pozostałych, prawie dziecko. Oni czują się niemal dorośli.

– Słuchaj, Marsjanin, przyjmujemy cię do paczki, ale musimy zrobić to w naszej bazie – mówi Mandżaro poważnym głosem. – Ponieważ jesteś jeszcze żółtodziobem i nie wiemy, czy możemy ci ufać, zawiążemy ci oczy. Jak będziemy na miejscu, zdejmujemy chustkę. Umowa stoi?

– Stoi! – odpowiada dumny, że dostąpi zaszczytu i pozna kwaterę główną Klubu Młodych Detektywów.

– A czy będę mógł mieć inne przezwisko?

– Jak zasłużysz, to będziesz miał.

– Bo ja... – mówi nieśmiało Marsjanin.

– Co ty? – niecierpliwiał się Mandżaro.

– Bo ja przeczytałem książkę kilka razy i wiem, że Marsjanin do mnie nie pasuje.

– Pogadamy o tym później. Perełka, Paragon, zawiążcie mu oczy. Tylko pamiętaj, Marsjanin, jak okażesz strach, wylecisz, zanim cię przyjmujemy.

Perełka i Paragon prowadzą Marsjanina przez osiedle i z trudem powstrzymują śmiech.

Wchodzą do jednego z bloków i kierują się do piwnicy. Jest nieco inna niż wszystkie. Poza komórkami dla lokatorów ma jeszcze dodatkowy korytarz, do którego prowadzą metalowe drzwi zamykane na zasuwę i kłódkę. Za nimi jest niewielkie pomieszczenie i kolejne metalowe drzwi, ale te zamyka się, przekręcając umieszczone na nich ogromne koło. Jakby zamykało się jakąś śluzę. W pomieszczeniu nie ma okna, ale jest system wentylacyjny. Są tego pewni, bo w ramach pracy Klubu Młodych Detektywów przesiadywali tu godzinami i żyją.

Wchodzą. Zapalają światło. Okręcają Marsjanina kilka razy, jakby zamierzali się bawić w ciuciubabkę. Chłopak upada. Mandżaro wyciąga z kieszeni kilka kawałków sznurka. Związują mu z tyłu ręce i sadzają pod ścianą. Związują mu też nogi.

– I co, myślałeś, że zamierzamy się z tobą zaprzyjaźnić? Pogięło cię? Coś ty sobie, gówniarzu, wyobrażał? I dlaczego tak się do nas przyczepiłeś? Czego za nami łazisz? Posiedzisz tu sobie trochę ze szczurami, to ci się odechce dręczenia starszych kolegów. I pamiętaj, nie drzyj się, bo i tak nikt cię tu nie usłyszy. Wszystko zamknięte na głucho. Chłopaki, wychodzimy, żeby nam szczury nóg nie poobgryzały.

Mandżaro mruga porozumiewawczo do pozostałych i podaje im kawałki sznurka.

– Patrzcie, jaki wielki. I jaki ma długi ogon, obrzydlistwo! – woła Perełka i dotyka sznurkiem nóg Marsjanina. Chłopiec kuli się, ale nie woła, nie płacze, nie prosi, żeby go wypuszczono.

Tylko chustka na oczach staje się coraz wilgotniejsza. Po chwili wilgotnieją spodenki.

– Ej, chłopaki, posikał się! Ja cię kręcę, co za tchórz! Zeszczął się w gacie! – Głośny śmiech i drwiny Paragona odbijają się od ścian. Wtórują mu pozostali.

– My teraz idziemy. Przyjdziemy, jak zmądrzejesz – komenderuje Mandżaro.

– Chłopaki, a czego on się nie odzywa? – szepce Perełka. – Taki honorowy?

– Nie chrzań. Dlatego że honorowy, to płacze i szczy w gacie? Weź, przestań. Lepiej posmyraj go jeszcze po nogach. Paragon, ty też.

– Jakie wielkie szczury! Chłopaki, spadajmy. A ty, Marsjanin, siedź tu cicho, to nic ci się nie stanie.

Gaszą światło. Wychodzą. Zamykają za sobą drzwi i przekręcają do oporu umieszczone na nim koło.

– Mogliśmy mu ściągnąć tę opaskę. Tam i tak jest ciemno – mówi Paragon.

– Nie pękaj, opaska bardziej go wystraszy i skończy się łożenie.

Zamykają kolejne drzwi na skobel i kłódkę. Wychodzą z budynku. Każdy z nich wraca do siebie. Mija wieczór i noc.

Przed siódmą Perełka i Paragon przybiegają do Mandzaro.

– Wypuściłeś go?

– Nie, a co, pali się?

– To wyjrzyj przez okno. Milicja przeszukuje osiedle, jakaś kobieta płacze. To chyba jego matka.

– Dobra, poczekajcie chwilę, zaraz się ubiorę.

– Tylko klucza nie zapomnij, idioto.

Wpadają do piwnicy. Marsjanin leży na podłodze, pochlipuje.

– Ty, Marsjanin – mówi Mandzaro. – Wypuścimy cię, bo gacie musisz zmienić, ale pamiętaj, jeśli komuś piśniesz choć słówko, to zamkniemy cię znowu, ale wtedy to już na wieczność. Kapujesz?

Chłopiec nie odpowiada.

– Kapujesz!?! – wrzeszczy.

– Tak – szepce Marsjanin, z trudem powstrzymując łzy.

– Głośniej, nie słyszałem!

– Tak! – powtarza.

Wyprowadzają go na górę. Ściągają opaskę.

– Tylko pamiętaj! – Mandzaro cedzi przez zęby, po czym daje mu kopniaka na pożegnanie. Perełka i Paragon robią to samo.

Marsjanin już nie płacze, tylko odwraca się i patrzy. W jego zmrużonych oczach odwykłych od światła widać dramat ostatnich kilkunastu godzin, strach i panikę. Ale jest coś jeszcze, czego nie potrafią rozszyfrować. Oni, młodzi detektywi, nie rozumieją tego wzroku. Marsjanin wychodzi, a oni stoją, nie wiedząc, co robić dalej. Teraz to oni naprawdę zaczynają się bać.



Strach – wtedy naprawdę go poznali. Najpierw przeraziły ich jego upiorne, choć takie błękitne, oczy. Potem bali się, że Marsjanin nakabluje. Później, że milicja szybko ich znajdzie i będą mieli kłopoty w domu i w szkole. Wzorowi uczniowie okazaliby się chuliganami. Jednak Marsjanin najwyraźniej nie pisał słówka. W dodatku zniknął. Nigdy więcej nie widzieli go ani na osiedlu, ani w szkole. Gdy strach minął, zachwycali się swoją skutecznością. Potem zapomnieli. Ale on nie zapomniał. I wrócił wtedy, gdy nikt się go nie spodziewał.

– Maandzarooo... – Po raz kolejny tuż za drzwiami zabrzmiał ten nieludzki głos.

Miłosz miał wrażenie, że powietrze i ściany wpadają z nim w rezonans, jakby wtórowały ukrytej w nim nienawiści i rozumiały zawarte w nim motywy.

Miał dosyć koszmarów, które męczyły go niemal każdej nocy, ale teraz pragnął, żeby był to jeden z nich. Wtedy wystarczyłoby otworzyć oczy, by zobaczyć bezpieczną przestrzeń mieszkania. Ale to byłoby zbyt proste. Ten koszmar działał się na jawie. W dodatku za jego sprawą. I trzeba się było z nim zmierzyć.

Miłosz na wszelki wypadek przymknął wejściowe drzwi, by nie zdradził go nagły ruch powietrza, i delikatnie uchylił kolejne. Gęste od odoru moczu i stęchlizny powietrze z całą mocą uderzyło go w nozdrza. Stał w bezruchu i przez powstałą szparę próbował dostrzec, co się dzieje za drzwiami. Serce biło mu jak oszalałe, mięśnie napięte do granic możliwości nie pozwalały ciału nawet na chwilę wytchnienia.

Wyteżał wzrok, by w mgłę czerwonego światła dostrzec jakieś szczegóły. Pod ścianą opodal pieca leżał człowiek. Czarna skórzana kurtka, glany – to musiał być Michał! Ręce i nogi miał związane. Oddychał płytko i szybko, ale żył. Ta świadomość sprawiła, że Miłosz poczuł nagły przypływ energii i siły, a przede wszystkim wiary, że jeszcze wszystko może się dobrze skończyć. Tak wiele zależało teraz od niego! Obok Michała leżał wywrócony kubek. Woda nie wsiąkała w podłogę. Stała w zagięciu rozłożonego na niej brezentu.

– Zsikaleś się! Oooo, jak mogłeś, wielki Mandzaro! A może wielki mazgaju! – Szyderczy śmiech rozbrzmiewał w kotłowni. Biła z niego pewność siebie. – Głupcze! Po co wróciłeś? – Pobudzony Radecki chodził po pomieszczeniu, co chwila uderzał o ścianę metalowym prętem. – Już było po

wszystkim, ale nie, ty musiałeś wrócić i zmać mój spokój! Zmać ich spokój!

Nagle Radecki wysunął przed siebie lewą rękę, jakby kogoś odsuwał.

– Wiem, co mam robić. Nie musisz mnie pouczać!

Miłosz otworzył drzwi nieco szerzej, ale nie zauważył, by w pomieszczeniu był ktoś jeszcze. Z kim on rozmawiał? Boże, z nikim! Miał urojenia! A skoro tak, to był niebezpieczny i nieprzewidywalny. Nagle przysunął się do ściany i osłonił lewą ręką twarz. W prawej nadal trzymał pręt.

– Dlaczego mnie bijesz?! – Teraz nie był już demonem, ale zaszczutym, wystraszonego człowiekiem. – Nie poniżaj mnie, nie zasłużyłem na to. – Twarz skrzywiła mu się w grymasie. – Odejdź! Nie mów do mnie tak! Nienawidzę, jak ktoś tak do mnie mówi...! Nie! Nie zsiąłem się...! Udowodnię ci i zrobię to, o czym mówisz!

Co on, do diabła, zamierza zrobić?! Cholerny szajbus! Miłosz nie zastanawiał się. Wbiegł do pomieszczenia i rzucił się na Radeckiego, licząc na to, że uda mu się go obezwładnić. Ale Radecki w ułamku sekundy zmienił się nie do poznania. Jakby w momencie zetknięcia się ich ciał ponownie przeobraził się w przerażające monstrum. Ich spojrzenia się spotkały. Miłosz znowu poczuł się jak tego poranka, gdy go wypuszczali z piwnicy. Porażony złowieszczym błękitem oczu Radeckiego, stracił rezon. Ta chwila wahania wystarczyła, by Radecki odrzucił pręt, odepchnął Miłosza, po czym złapał go za ramiona i z nadludzką siłą cisnął na ścianę. Miłosz poczuł rozsadzający ból w czaszce i osunął się na podłogę. Jak przez mgłę widział jeszcze Radeckiego sięgającego po pręt. Słyszał głucho uderzenia o ścianę, dźwięk osypującego się na podłogę gruzu i oddalające się zwierzęce wycie. Słyszał i czuł coraz słabiej. W końcu stracił przytomność.



Zatrzymał się przed domem. Był zmęczony. Nie tyle kilkugodzinną podróżą, co rosnącym niepokojem. Gdyby Fijka odebrała choć jeden z jego kilkunastu telefonów, byłby uspokoił myśli. Nie odebrała. Tłumaczył sobie, że problemy z telefonem to u niej codzienność, ale tym razem to nie pomagało.

W radiu wybrzmiał Mazurek Dąbrowskiego. Poczł doniosłoość chwili. Oto Rzeczpospolita celebryje rozpoczęcie kolejnego dnia. Jak on go rozpocznie? Chciałby, żeby Fijka podbiegła teraz do bramy, jak to zwykła robić, gdy oczekiwała jego przyjazdu. Dzięki temu wiedziałby, że wszystko jest w porządku. Tak niewiele, by móc nazwać tę chwilę wyjątkową. Ale tym razem Fijka nie wiedziała, że przyjedzie, dlatego nie zdziwiła go ciemność panująca w domu i na podwórku. Wysiadł. Furtka zamknięta. I dobrze. Zawsze jej powtarzał, by nie ułatwiała życia nieproszonym gościom. Grzeczna siostrzyczka. Wrócił do samochodu po klucze. Z siedzenia pasażera wziął też niewielkie pudełko z nowym telefonem – prezentem, który kupił jeszcze przed wylotem do Portugalii.

Wszedł na podwórko. Minął huśtawkę, relikł przeszłości, który sprawiał, że się uśmiechał, ale nie tym razem. Ruszył do drzwi. Uchylone. Serce zabiło mu mocniej. Wbiegł do środka i zapalił światło. Porozrzucane ubrania i zabłocona podłoga w przedpokoju sprawiły, że niepokój przerodził się w strach o Fijkę. To pedantka. Nie położyłaby się spać, gdyby wszystkiego nie wyszorowała, nie poskładała, nie umieściła na swoim miejscu. Zajrzał do kuchni. Niepozmywane naczynia, pootwierane szafki, na stole garnek i rozlany wokół czerwony barszcz, na podłodze rozrzucone kawałki sznurka. Zawołał ją. Odpowiedziała mu dojmująca cisza. Zawołał po raz kolejny i kolejny. Bez skutku. Otworzył drzwi do sypialni i wbiegł do środka. Zapalił światło, ale było tak nikłe, że w pokoju panował półmrok. Starannie pościelone łóżko przyozdobione haftowanymi poduszkami nie służyło tej nocy do spania. Na oparciu dębowego krzesła wisiała czarna atlasowa sukienka i grafitowa koronkowa chustka. Podobną widział w trumnie swojej matki położoną tuż przy jej siwych, kręconych włosach. Czarne wypastowane czółenka stały pod krzesłem. Zimny pot zrosił mu czoło. Na karku poczuł powiew chłodu.

Pobiegł do dużego pokoju. Coś zachręściło pod butami. Zapalił światło. Koraliiki różańca – drobne, drewniane, zabarwione na czerwono różyczki – rozpadły się pod jego ciężarem. Taki sam różaniec Fijka przywiozła też dla niego z Jasnej Góry. Wziął, żeby nie robić jej przykrości, ale nigdy z niego nie skorzystał. Wszedł dalej. Odsunął wiklinowy parawan i wtedy ją zobaczył. Siedziała przy stole przywiązana do krzesła. W jej otwartych oczach zastygł strach. W ubranie wsiąkła wylana zupa, tworząc czerwone nieregularne wzory. Talerz zatrzymał się w fałdach fartucha. Pudełko z prezentem wypadło mu z rąk prosto na kawałki roztrzaskanego telefonu. Panika i przerażenie ogarnęły jego ciało i umysł. Jego siostrzyczka, jego Fijka. Drżącą dłonią szukał tętnicy

szyjnej. Jeszcze raz. Widać nie trafił w odpowiednie miejsce. Może na nadgarstku. Co jest? Znowu nie trafił?! Zwykle nie miał z tym problemu. Tak bardzo chciał wyczuć tętno, że ignorował to, co było oczywiste. Wezwałyby pogotowie, ale telefon zostawił w samochodzie. Tymczasem każda sekunda była na wagę życia. Przez chwilę pomyślał o procedurach. O niezacieraniu śladów, o niedotykanii czegokolwiek, ale teraz miał w dupie wszelkie procedury. To jego siostra. Musi chociaż spróbować. Przesunął nogą kawałki rozbitego wazonu i zalany obrus. Zrzucił talerz z jej nóg. Rozwiązał ją i położył na podłodze. Płakał i uciskał, ignorując plamy opadowe na dłoniach i stopach. Mokre ubranie przyklepało mu się do rąk. Krzyczał do niej i nadal uciskał. Przez kilkadziesiąt minut walczył o jej oddech. Napięte do granic wytrzymałości mięśnie słabły. Z każdą chwilą coraz bardziej docierała do niego świadomość, że to nic nie da. Że już po wszystkim. Przestał. Zamknął oczy Fijki, po czym wziął ją w ramiona, przytulił i zapłakał. On, rosły, dojrzały mężczyzna, gliniarz z krwi i kości, płakał jak dziecko. Chciał, by go objęła, by powiedziała, że wszystko będzie dobrze. By znowu ukryli się w swojej twierdzy, z której zawsze wychodzili silniejsi, bo czuli swoje wsparcie. Nie ma już twierdzy! A wszystko przez tego... Zacisnął zęby. Wstał. Zaniósł Fijkę do sypialni i położył na starannie pościelonym łóżku – przygotowanym przez nią katafalku. Przeżegnał się. Zrobił to dla niej, bo sam dawno nie czuł takiej potrzeby. Zdecydowanym ruchem otarł łzy rękawem. Nie zadzwonił na policję. To nie miało teraz sensu. Teraz musiał go znaleźć. Sięgnął po pistolet. Odbezpieczył.

– Gdzie jesteś, popierdoleńcu?! Gdzie jesteś?!



Ocknął się. Z trudem otworzył oczy. Głowa mu pękała. Miał wrażenie, że boli go każdy skrawek ciała. Nie mógł się poruszyć. Związane ręce i nogi ścierpły. Oddychanie sprawiało ból. Rozejrzał się wokół. Radecki siedział na stołku zwrócony twarzą do nich. W dłoniach trzymał jakiś przedmiot i czyścił go kawałkiem materiału. Michał nadal leżał na podłodze. Jego przyspieszony oddech wypełniał ciszę. Miłosz dopiero teraz mógł mu się przyjrzeć. Patrzył na jego wymizerowaną, rozpaloną gorączką twarz, na jego kręcone, niemal

czarne włosy, na młodzieńczy zarost, charakterystyczny dołek w brodzie i zaczynał rozumieć, dlaczego Radecki go porwał. Michał wyglądał jak Kuba w jego wieku. Byli niemal identyczni. Zatem Radecki nie mścił się na Michale za Kubę. Myślał, że Michał to Kuba! Stąd ta wściekłość, że uniknął kary. Teraz chciał dokończyć to, co zaczął lata temu, i nie popełnić błędu, dlatego tak długo trzymał tu Michała i dlatego wybrał takie miejsce. Cholera! Był bliski realizacji swoich planów. Na szczęście nie wiedział, kogo jeszcze udało mu się uwięzić. Miłosz był wściekły na siebie, bo gdyby chociaż zawiadomił Sępa, dokąd się wybiera i co odkrył, mógłby liczyć, że prędzej czy później ktoś ich znajdzie, a tak byli skazani tylko na siebie. Pieprzony detektyw! A wszystko dlatego, że jako szczeniaki zrobili coś, co nie powinno im nawet przyjść do głowy. Ta świadomość bolała najbardziej. Łatwiej być ofiarą niż zмагаć się z poczuciem współudziału we wszystkim, co się wydarzyło i wydarza. Łatwiej szukać zbrodniarza niż pojąć, że sterowało się jego rękoma. Śmierć Kuby, więzienie, dramat Anki i Heleny, porwanie Michała i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze – we wszystko był zamieszany. Chuligański wybryk, który wszyscy trzej traktowali na początku jako dobrą zabawę, stał się zarzewiem pożaru, który trawił od lat ich świat. Płonął w oczach Anki, gdy mówiła mu o swoim strachu. Płonął w sercu Heleny, gdy w sali sądowej pluła mu w twarz. Dał się dostrzec na uwiecznionej na zdjęciu twarzy Kuby. Ćmił się w wyrzutach sumienia Zagórnego. Spopielał każdego dnia udręczoną duszę Miłosza i nie dał się goić ranom zadany pogardzonemu ciału. Ale płonął też w Bogu ducha winnym małym chłopcu – małym Radeckim, którego cała wina polegała na tym, że imponowali mu trzej starsi koledzy, którym zaufał. Płonął wciąż w jego urojeniach, działaniach, w tym diabolicznym głosie. Naznaczył jego życie. To oni obudzili w nim potwora. Boże! Jedno wydarzenie... – przypomniał sobie słowa Basieńki. Jedno wydarzenie, szczeniacki wybryk, a tyle cierpienia.

Tylko jak zgasić ten pożar? Ręce i nogi miał związane. Nawet jeśli adrenalina znieczuli obolałe ciało, nic nie zwojuje. Jeszcze raz rozejrzał się po kotłowni. Poza starym żeliwnym piecem i stołkiem, na którym siedział Radecki, nie było niczego, co zazwyczaj znajduje się w takich miejscach. Żadnego materiału na opał, żadnych łopat, papierów, wiader. Przestrzeń była niemal sterylna. No i ten brezent na podłodze. To miejsce zostało starannie przygotowane na... Nagły dźwięk przeładowywanej broni uświadomił mu sens tej staranności. Z brezentu można wszystko zetrzeć, nic nie wsiąknie w beton. Żadnych śladów, żadnych świadków. Nie tak wyobrażał sobie

zakończenie prywatnego śledztwa. Rozwiązał zagadkę, znalazł Michała, był tak blisko zamknięcia tego rozdziału, tymczasem życie ich obu miało się zakończyć w jakiejś kotłowni na obrzeżach Krakowa. Co miał robić? Związany, był bezbronny.

– Wiem, zaraz to zrobię... Nie, mylisz się...! Potrafię! – Radecki znowu mówił do swoich urojeń.

Ta scena zastanowiła Miłosza. A może jednak będzie mógł się bronić? Pomysł był szalony, ale w tej sytuacji nawet szaleństwo było lepsze od bierności.

Przypomniał sobie wskazówki instruktora. *Wysokość, barwa, siła – to wasza moc albo słabość, wasza dostojność albo małość, wasza boskość albo poddańczość.* Nie było czasu na rozluźnienie i otwarcie krtani, na przygotowanie do uaktywnienia dolnych rezonatorów. Teraz trzeba było zapomnieć o bólu, o strachu, o tym, że nie ma czasu na próby, i grać w tej cholernie trudnej sztuce. Czekał na dogodny moment, by włączyć się do gry.

Radecki wstał. Obiema rękami objął pistolet i oplótł kciukami rękojeść.

– Udowodnię ci, że potrafię! Patrz! – krzyczał Radecki. Podniósł pistolet do góry, a potem wymierzył w Miłosza.

To był ten moment. Punkt kulminacyjny.

– Wystarczy! – Pierwsze słowo Miłosza nie wybrzmiało tak dobitnie, jak chciał. Nabrał powietrza i wycedził przez zęby stanowcze i rozkazujące: – Wystarczy!

Radecki zmarszczył brwi, ale nie zmienił pozycji.

– Widzę, że stać cię na wielkie rzeczy. Właśnie taki jesteś mi potrzebny. – Miłosz mówił powoli, z namaszczeniem, niskim, gardłowym głosem, licząc na to, że dla Radeckiego stanie się postacią z jego urojeń.

Radecki patrzył podejrzliwie na Miłosza i nad czymś się zastanawiał.

– Kazałeś mi siebie zabić za wszelką cenę i pokazać, że mogę. A ja mogę. Udowodnię ci to!

– Już nie musisz. Widzę, że jesteś silny. Silniejszy niż oni. Zaslugujesz na inny pseudonim.

– Zasłużę, jeśli zrobię to, co mi kazałeś. Tak mówiłeś. Zapomniałeś?

– Przeszedłeś próbę. Teraz czekaj na kolejne. – Miłoszowi coraz trudniej przychodziło panowanie nad emocjami.

– Piffff! – Radecki wydał z siebie odgłos strzału i podniósł pistolet do góry. Szaleńczy śmiech znowu rozbrzmiewał w kotłowni. – Mogę wszystko, jestem wielki!

– Jesteś wielki dzięki mnie! Sam nie dałbyś rady! Rozwiąż mnie, a pokażę ci, co jeszcze potrafisz.

Radecki patrzył chwilę na Miłosza, po czym odłożył pistolet i się nachylił. Zaczął rozsupływać węzeł sznura, którym związał Miłoszowi nogi. Po chwili przestał. Popatrzył na niego i gwałtownie wstał. Znowu chwycił pistolet.

– Mylisz się. Nie jesteś mi potrzebny. Jestem wielki i bez ciebie. Udowodnię ci to. – Skierował pistolet w stronę Michała.

– Nie możesz tego zrobić!

– Dlaczego?

– Bo jest nieprzytomny. Nie udowodnisz w ten sposób swojej wielkości, ale okażesz się tchórzem.

– Nie jestem tchórzem! Rozumiesz?! Nie jestem!

– Wiem, dlatego nie zabijesz go w tej chwili. Zaufaj mi!

– Nie wierzysz mi?! Mówisz tak, żebym tego nie zrobił, a wtedy znowu powiesz, że jestem nikiem!

Miłosz czuł, że nie panuje nad nim. Widział, jak jego oczy mrużą się, a wskazujący palec coraz mocniej naciska na spust.

– Nie rób tego! – krzyknął rozpaczliwie Miłosz.

Huk wystrzału rozdarł powietrze.

Po chwili zawtórował mu kolejny.



Siedzą razem przy stole. Jest parne sierpniowe popołudnie 2001 roku. Zbiera się na burzę. Może i dobrze. Powietrze się poprawi. Łatwiej będzie oddychać. Na stole półmisek, a na nim łazanki z kapustą. Robi je tylko dla Andrzeja. Nikt inny za nimi nie przepada. Za to Andrzej nie lubi zup, więc Fijka nawet mu nie proponuje. Siedzą i rozmawiają o wszystkim i niczym.

Lubią te swoje pogaduszki, ploteczki, wspominki, ale spokój Fijki tym razem zaburza niepokój o syna. Znowu jest taki obcy. Znowu jest gorzej. Wrócił ten czas, w którym boi się o niego bardziej niż zwykle, ale też boi się o siebie. Tak. Trudno to przyznać matce, ale boi się własnego syna.

Nagle Piotr staje w drzwiach. Fijka czuje ulgę. Wrócił, więc jest bezpieczny. Ona również, bo Andrzej jest obok. Wstaje, by pójść do kuchni i nalać synowi zupy, ale oniemiała, nie może się ruszyć z miejsca. W jego dłoni widzi pistolet. Andrzej zrywa się, pewnym ruchem chwyta siostrzeńca za rękę i uderza nią o stół. Pistolet spada na blat. Andrzej wykręca mu rękę i obala go na podłogę, siada na nim okrakiem, po czym zakłada kajdanki, a nogi związuje wiszącym na krześle szalem. Na dłoniach Piotra dostrzega zastygłą krew.

Piotr się śmieje. Ale to nie jest zwyczajny śmiech. Znowu ten nie jego głos.

– Zrobiłem to! Zrobiłem!

– Co ty, do kurwy nędzy, zrobiłeś?! – krzyczy Andrzej.

– Co ja zrobiłem? Zaraz... Co ja zrobiłem? Duchy się obudziły. Obroniłem je! Udowodniłem, że jestem wielki.

– Co ty, kurwa, mówisz?! Coś ty zrobił?!

– Oni naruszyli ich spokój!

– Jacy oni?! O kim ty mówisz?!

– Duchy prosiły mnie o to. Bronilem ich praw. – Śmiech satysfakcji nie milknie.

Dzwoni służbowa komórka. Andrzej słucha z niedowierzaniem.

– Dobrze. Zaraz jadę – mówi do telefonu, po czym zwraca się do Piotra: – Byłeś na Prądniku? W biurowcu?

– Wysoko... Tam gdzie duchy... – Jego chichot drażni uszy.

– Zabiłeś kogoś?! – krzyczy Andrzej.

– Obroniłem je! Bronilem ich spokoju.

– Czyjego, do diabła?!

– Duchów...

– Gdzie bronileś tego spokoju?! Kurwa, gdzie?! – Uderza głową Piotra o podłogę. Rozsadza go wściekłość. Fijka podbiega, krzyczy, próbuje go odciągnąć od syna.

– Tam, wysoko.

Andrzej wstaje. Nerwowo chodzi po pokoju.

– Fijka, muszę jechać. Niech on tu leży. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy go rozwiązać. On jest niebezpieczny.

Fijka nie rozumie, co się dzieje. Płacze. Siada na podłodze przy synu. Gładzi go po głowie.

– Co on zrobił? – pyta Andrzeja łamiącym się głosem.

– Nie wiem, kurwa, ale boję się, że...

W powietrzu przetacza się grzmot. Uderzenie jest tak silne, że cały dom drży. Mimowolnie się kulą. Tylko Piotr chichocze. Nagłe porywy wiatru, gwałtowny deszcz i kolejne grzmoty są niczym wobec nawałnicy w sercach Fijki i Andrzeja.

– Ratuj go... On jest chory. To dobre dziecko. Ratuj go. Słyszysz? Błagam. Zrób to dla mnie!

Fijka wstaje, podbiega do brata i ukrywa się w jego ramionach. Łzy płyną po jej twarzy. Wie, że Andrzej nie akceptuje tej prośby, ale wie też, że ich więź jest niepowtarzalna, a twierdza, którą dzięki temu zbudowali, ochroni ich nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Andrzej głaszcze ją, po czym odsuwa delikatnie od siebie i patrząc jej w oczy, mówi:

– Obiecuj mi, że go nie rozwiązesz. To ważne. Obiecujesz?

– Tak... Obiecuję – odpowiada cicho, przetykając łzy.

Andrzej znika za drzwiami. Pochłania go burza. Fijka wie, że wiele od niego wymaga. Może zbyt wiele. Ale bezgranicznie mu ufa i kocha go jak nikt. Znowu siada przy swoim synku. Rozwiązałyby go, ale skoro Andrzej zabronił, nie robi tego. Jej spracowane dłonie głaszczą jego głowę. Patrzy przed siebie, kołysząc się rytmicznie w przód i w tył. Nuci kołysankę.

Przed oczyma przesuwają się jej obrazy z dalekiej przeszłości. Widzi małego ślicznego chłopca, który z radością obdarowuje ją kwiatami zerwanymi w ogrodzie, który cieszy się z każdej piątki, opowiada z zaangażowaniem o podwórkowych przygodach z kolegami. Aż do tej feralnej nocy. Samo wspomnienie budzi w niej ten sam paniczny strach, który dusił ją wtedy i nie pozwalał złapać powietrza. Przypomina tamtą nieprzespaną noc i dramatyczne wizje tego, co mogło się wydarzyć. Pamięta

też swoją bezbrzeżną radość, gdy pojawia się nagle na osiedlu cały i zdrowy. Tuli go do piersi i nie chce wypuścić z ramion, by znowu go nie stracić. A potem przychodzi to, co zaburza jej szczęście na zawsze. Piotruś zamyka się w sobie, nie chce mówić o tym, co się stało, nie chce chodzić do szkoły. Przeprowadzają się ponownie do rodziców, by mógł zacząć kolejny rok w nowym miejscu. Ale on mimo to budzi się w nocy z krzykiem. Piżama, pościel, łóżko są coraz częściej motywy, co wzmacnia agresję ojca. Radość i spontaniczność Piotrusia przeradzają się najpierw w bezradność, apatię, a potem bunt i nienawiść. Wiele lat później widzi, jak przygląda się nieprzytomnemu ojcu, który leży na schodach z rozciętą głową. Moczy rękę w wypływającej na beton krwi i smaruje nią najpierw twarz ojca, a potem swoją. Widzi jego pełne nienawiści oczy, gdy karawan znika za żywopłotem, i słyszy jego złowroźny śmiech. Po raz pierwszy dowiaduje się o jakichś duchach i ich zaburzonym spokoju. O tym, że on im ten spokój zwróci, bo jest jednym z nich. Ogania ją przerażenie. Wizyty u lekarzy wzmagają strach. Nie może do końca pojąć nowej terminologii. Słyszy: psychoza, zespół stresu pourazowego, urojenia, schizofrenia, halucynacje, ślizgawka myśli. Przygniatają ją pojawiające się sugestie. Schizofrenogenni rodzice, destrukcyjne relacje w rodzinie, dewiacja komunikacyjna – w nich ukryte są wszystkie skrywane rodzinne tajemnice, dlatego Fijka nie chce i nie potrafi przyznać lekarzom racji. Przecież nikt jak ona nie kocha swego synka. Nikt jak ona nie pragnie jego szczęścia. Jest pewna, że tajemnica jego choroby tkwi w tym, czego nie mówi, w tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Piotruś spędza kilka tygodni na oddziale psychiatrycznym. Fijka wierzy, że wszystko będzie dobrze. Gdy synek wraca do domu, pilnuje leków, dba o niego i robi wszystko, by skończył szkołę. Ale gdy staje się dorosły, domaga się swobody. Ona nie ma już nad nim kontroli. Prosi, sugeruje, podpowiada, ale to już nie jest mały chłopiec. Nie słucha jej tak jak kiedyś. Fijka wie, kiedy nie bierze leków. Tak bardzo się wtedy zmienia. Tak bardzo jest obcy. Jak teraz. Znowu mówi o duchach, znowu słyszy jakieś głosy.

To dobre dziecko, które ktoś skrzywdził, dlatego potrzebuje pomocy i ona mu ją zapewni. Tak jak to robiła zawsze.



Sygnal karetki mieszał się z krzykami pracujących na miejscu ekip. Światła kogutów i policyjne lampy rozganiały mrok. Siedział na schodach rodzinnego domu, zgarbiony, bezsilny, zrezygnowany. Twarz miał zbielełą od bólu. Nie docierały do niego dźwięki, nie obchodziły go światła. Patrzył przed siebie ogłuszony tym, co się wydarzyło. Zamknął się w świetle, który już należał do przeszłości. Ile by dał, żeby to wszystko się nie stało! Ale nieopuszczający go obraz zastygłych w bezruchu oczu Fijki i dźwięczący w uszach huk wystrzału nie pozwalały nawet na chwilę ponieść się ułudzie.

Huśtawka rytmicznie poruszała się na wietrze, wydobywając z łańcuchów delikatne skrzypnięcia. Odwrócił się, wabiony znajomym dźwiękiem.

Raz i dwa, raz i dwa. Podnoś wyprostowane nogi do góry, a potem nachylaj się i chowaj je pod siebie. Świetnie. Dasz radę. Będiesz umiał sam się huścić! Jak duży chłopiec!

Tak do niego wołała. Słyszy ją teraz. Jakby nadal chciała być obok i trzymać go za rękę. Zofia, Zofijka, Fijka. Dzięki niej nauczył się tylu rzeczy. Była dla niego najlepszą siostrą, ale też matką i ojcem. To ona kręciła dla niego kogel-mogel, który zawsze będzie mu się kojarzył z niepowtarzalnym smakiem dzieciństwa. To ona robiła dla niego papierowe czapki i uczyła go składać samoloty. Przytulała, gdy się bał. Oprowadzała go wśród drzew i opowiadała niesamowite historie o mieszkających w nich stworzeniach, które strzegą ich korzeni, by zawsze miały siłę wypuścić nowe pędy. Ona, nie mama, śpiewała mu kołysanki, gdy zasypiali w kryjówce pod stołem. Miała w sobie tyle siły i cierpliwości. Mimo wszystko. Gdy obroniła go przed tamtymi chłopakami z ulicy, stała się też najlepszym kumplem i przyjacielem. Wtedy obiecał, że gdy dorośnie, zawsze będzie jej bronił. Że niezależnie od okoliczności stanie po jej stronie. Nie tak to miało wyglądać! Nie potrafił powstrzymać łez. Nie chciał.

Gdyby piętnaście lat temu postąpił inaczej, gdyby zachował się profesjonalnie, ona dzisiaj by żyła. Jak on wtedy ze sobą walczył. Ale złożona kiedyś obietnica sprawiła, że skapitulował jako policjant. Wygrał w nim brat. Dla niej, nie dla Piotrka, usunął to, co mogło do niego doprowadzić. Wiedział, że Figiel to skurwysyn, który dla kasy zrobi wszystko, i się nie mylił. Zapłacił mu za milczenie podwójnie – gotówką za przeróbkę nagrania i informacją dotyczącą możliwości okazynego kupna firmy. Nie bał się, że Figiel wygada. Zbyt dużo zyskał, a za sfałszowanie dowodów zbyt wiele by stracił. Nie musiał się zatem nim martwić. Nie martwił się też o broń. Ukrył ją tam, gdzie

nikt nie zaglądał – w kotłowni, która po śmierci dziadka przestała komukolwiek służyć. Z czasem bluszcz osłonił swoimi pędami wejście i założył naturalną pieczęć, tak brutalnie teraz zdartą. Ale było coś, czym wtedy się martwił. W pośpiechu przegapił ten przeklęty blister z tabletkami. Musiał zrobić wszystko, by zlekceważono ten trop. Leki na sen może przyjmować każdy, Tomczyk również. Nikt nie kwapił się, by dokładniej przeczytać ulotkę. No i udało się. Tak usilnie pracował nad wrobieniem Zdebskiego, że niemal uwierzył w jego winę. Potem jeszcze zatroszczył się o to, by w więzieniu odpowiednio go potraktowano. To miało zakończyć sprawę. Tak przynajmniej mu się zdawało. Gdyby nie obraz siostrzeńca wychodzącego z biura Tomczyka z uśmiechem na twarzy i z pistoletem w dłoni, czułby, że sprawa skończona. Ale Piotrek, choć zniknął z zapisu kamery, pozostał w jego głowie na długie miesiące i spędzał mu sen z powiek. Bo przecież skoro był zdolny zabić, to Fijce również mogło grozić niebezpieczeństwo. Lekarz zwracał im uwagę na to, że to podstępna choroba, która przechodzi z jednej postaci w drugą, co utrudnia leczenie. Pocieszał, że będą okresy spokoju, w miarę normalnego funkcjonowania, ale nie wiadomo jak długie. Po nich znowu pojawią się paranoje, które mogą się nasilać, prowadzi do agresji, a wtedy chłopak stanie się niebezpieczny. Wiedzieli to aż za dobrze. Umówili się, że Fijka będzie dawała znać, gdyby stan Piotrka się pogarszał. I dawała. Wtedy przyjeżdżał, opłacał wizyty u najlepszych psychiatrów, pilnował leczenia. Dlaczego, do cholery, teraz nic nie powiedziała? Przecież dzwonił do niej przed wyjazdem. Już wtedy musiało być źle, a mimo to kazała mu jechać. Mówiła, że zasłużył na odpoczynek. Dopiero teraz dotarło do niego znaczenie jej ostatnich słów.

Odpocznij. Tyle dla nas zrobiłeś. Odpocznij. Dziękuję ci za wszystko. Do zobaczenia... Do zobaczenia za jakiś czas...

Żegnała się z nim, a on tego nie zrozumiał. Zostawił ją samą w najtrudniejszym momencie i nigdy sobie tego nie wybaczy. Ta sukienka, chustka, buty... Szykowała się na śmierć. Poddawała się. Jak musiała się bać. Czy wiedziała o chłopaku zamkniętym w kotłowni? Gdyby wiedziała, nie pozwoliłaby na to. A może dlatego nie żyła? Boże, co tu się wydarzyło? Ukrył twarz w dłoniach.

– Przepraszam, siostrzyczko. Przepraszam... On już nikogo nie skrzywdzi... – wyszeptał, łkając.



Patrzył za odjeżdżającą karetką. Jej światła raniły mu oczy. Dźwięk jej sygnału rozsadzał uszy. Boże, tak by chciał, aby Michał był bezpieczny. Wbrew Ozyrysowi, wbrew kartce z kalendarza, która tego dnia dawała pierwszeństwo zmarłym. Za kilka godzin cmentarze rozświetlą się tysiącami płonących zniczy, ale on chciał dziś świętować ponowne narodziny. Swoje i Michała. Nieważne, że strój nie ten, głowa owinięta bandażem, a ciało posiniaczone. Nieważne, że stłuczone żebra nie pozwolą na wyśpiewanie pełnym głosem „Sto lat”. Ważne, żeby spełniło się urodzinowe życzenie, które zwykło się przywoływać podczas zdmuchiwania świeczek na tortcie. Tym razem bardzo proste życzenie – żyć, zwyczajnie żyć. Śmierć była i nadal jest blisko, zbyt blisko, by nie traktować jej z należytą powagą. Zbyt blisko, by nie zrozumieć, jak wielką wartość ma życie, nawet takie popaprane jak jego. Zbyt blisko, by nie drzeć o Michała. Ale nadal tliła się nadzieja.

Nie byłoby jej, gdyby nie Konieczny...

Czy był mu wdzięczny? Oczywiście. A co do winy, leżała po obu stronach.

...są takie chwile, gdy duchy budzą się, by bronić swych praw.

Chciano naruszyć ich spokój, więc ocknęły się z wiekowego snu...⁹

Tak. Obudzili te przeklęte duchy, ale przyszedł czas, by ponownie zasnąć. Tym razem snem wiecznym.

Teraz, gdy znał szczegóły, wszystko wydawało się takie oczywiste. Tymczasem gdy życie podsuwało mu podpowiedzi, nie potrafił ich wykorzystać. Te oczy namalowane przez matkę pani Basieńki, jej komentarz do wydarzeń i cierpienia, które się z nimi wiązało, skany przysłane przez Iwonę, ostatnie spotkanie z Madonną przywołujące w pamięci niedokończoną spowiedź wystraszonego nastolatka. Ale w najczarniejszych snach nie powiązałyby tamtych wydarzeń ze śmiercią Kuby.

– Panie Zdebski, nie ułatwiaj nam pan pracy. – Sznajder stanął obok. Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Miłosza. Palili w milczeniu, patrząc przed siebie.

– Pewnie pan jeszcze nie wie, ale aresztowaliśmy prezesów Ultrateamu. Myśleliśmy, że mają coś wspólnego z porwaniem młodego Tomczyka, a trafiliśmy na największą w kraju pralnię brudnych pieniędzy.

Miłosz nie odpowiedział.

– Dotarliśmy też do Zagórnego, ale później niż pan. Gdyby chciał się pan kiedyś przekwalifikować...

Na twarzy Miłosza pojawił się ironiczny uśmiech.

– Rozumiem, że z policją nie chce pan mieć wiele wspólnego. Ale proszę mi wierzyć, nie jesteśmy tacy źli. A czarne owce i błędne decyzje zdarzają się w każdym zawodzie. – Popatrzył znacząco na Koniecznego siedzącego kilkanaście metrów dalej na schodach domu. – To nie zrekompensuje panu straconych lat, ale proszę mi wierzyć, życie wymierzyło mu najsroższą karę.

Przydeptał niedopałek i ruszył w stronę domu Radeckich. Po chwili się odwrócił.

– Musi nam pan opowiedzieć tę część historii, którą zna tylko pan. Tę, która doprowadziła pana tutaj. I jeszcze jedno. Proszę podziękować mecenasowi. Gdyby nie on, kto wie, co jeszcze by się wydarzyło. Niejaki Figiel – na brzmienie tego nazwiska Miłosz popatrzył zaciekawiony w stronę Sznajdera – od kilku dni siedzi w areszcie. Wysłał do mecenasa anonimy z pogrózkami pod jego i pańskim adresem. Dzięki mecenasowi udało się go namierzyć. Nie mówiliśmy panu o tym. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej. W trakcie śledztwa okazało się, że to on nakłonił Zagórnego do podpisania fałszywej ekspertyzy, ale to zapewne też pan wie. – Uśmiechnął się. Dźwięk telefonu przerwał rozmowę. – Sznajder, słucham... Rozumiem. Dziękuję za informację, doktorze. Do zobaczenia.

Schował telefon do kieszeni i zwrócił się do Miłosza.

– Przynajmniej w tym pana wyprzedzę. Dzwonili ze szpitala, w którym leży pani Anna. Właśnie odzyskała przytomność.

– Boże, oby Beata miała rację.

– Kto?

– Nieważne. – Miłosz uśmiechnął się do siebie i zaciągnął papierosowym dymem, który wypuszczał powoli, prawie z namaszczeniem.

– Panie Miłoszu, proszę pamiętać, że czasem warto nam zaufać. Dzisiaj miał pan naprawdę dużo szczęścia. Ale gdyby nie ono... – Sznajder pokręcił głową i odszedł do swoich obowiązków.

Miłosz obserwował błyskające koguty, uwijających się śledczych, karawany czekające na sygnał, że można zabrać zwłoki. Tak kończyła się

historia mieszkańców domu za żywopłotem, z którą wiązało się tak ściśle jego życie. Czy kiedykolwiek byli tu szczęśliwi? Czy żywopłot dawał im poczucie bezpieczeństwa, spokoju? Od lat tworzył tylko pozory, skrywał rodzinne tajemnice. Pozwalał na powolną destrukcję, uzależniające przekonanie, że tak trzeba, że tylko tak można żyć. Cichy współnik zbrodni. Żywy płot, a tak bardzo martwy. Niby można go wyciąć, ale jak to zrobić, gdy rósł latami, stał się nieodłącznym towarzyszem właścicieli domu. Bez niego poczuliby się słabi, odarci z prywatności, nadziei. Kto porzuci taką symbiozę z żywopłotem, który rozrastał się w nim przez lata? Kto się na to odważy?

EPILOG



Dotarł do szczytu. Odetchnął głęboko górskim powietrzem i rozejrzał się wokół. Patrzył na bieszczadzki worek, na Rozsypaniec, na Przełęcz Bukowską. Wędrował wzrokiem to w górę, to w dół, chłonąc nieograniczoną niczym przestrzeń. Przejrzyste powietrze pozwalało dostrzec nawet odległe szczyty Gorganów. Zamknął oczy, twarz zwrócił ku słońcu i napawał się zapachem majowych połonin. Wiatr jak zawsze grał swoje melodie, dając ukojenie od dźwięków i zgiełku miasta.

Otworzył oczy i usiadł na drewnianej niskiej ławce. Próbował wyobrazić sobie kurierów zmierzających przez Halicz na Węgry i przierzucanych w tym miejscu polskich oficerów. Opowieści o nich snuł pan Józef w długie letnie wieczory, gdy razem siedzieli przy ognisku. Dlatego dzisiaj przyszedł właśnie tu, na szczyt ulubionej góry pana Józefa. Przyszedł tu, by się z nim spotkać. Wyciągnął z plecaka lnianą torbę. W środku znajdował się brulion. Ot, duży zeszyt, ale z niezwykłą zawartością – historią życia człowieka, który był dla niego legendą. I list. Zwyczajną kartkę zapisaną drżącą ręką na szpitalnym łóżku. Wtedy, gdy Iwonie wydawało się, że jego stan się poprawia, on najwyraźniej czuł, że wędrówka dobiega końca. I pisał. Odszedł przed świtem tej samej nocy, gdy Miłosz, Michał i Anka powrócili do życia.

Ten list był dla Miłosza niczym wiadomość z odległego świata. Wzruszenie ścisnęło mu gardło, dłonie drżały. Łzy utrudniały mu czytanie.

Szpitalne łóżko rzeszowskiej kliniki, świt 29 października 2016 r.

Miłosz – Przyjacielu!

Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Dlatego tak dobrze się rozumiemy, mimo znaczącej różnicy wieku. To sprawia, że właśnie Tobie chcę powierzyć swoją tajemnicę.

Mnie również oskarżono. Tak. Nie dziw się. Takie rzeczy zdarzają się dużo częściej, niż mogłoby się wydawać, ale dostrzegamy je dopiero wtedy, gdy

zdarzają się nam. Wydano na mnie wyrok. Skazano na banicję. I nie zrobił tego sąd na podstawie niezbitych dowodów. Zrobili to ludzie. Taki wyrok najtrudniej uchylić. Nie da się żyć, gdy na każdym kroku bolą cię spojrzenia innych. Gdy oczy krzyczą, choćby nawet usta milczały. Gdy masz wrażenie, że wszyscy wokół chcą odkazić przestrzeń, którą zbrukałeś swoją obecnością. Przeprowadzić deratyzację. Wszyscy – sąsiedzi, znajomi, nieznajomi, a nawet rodzina.

Dziewczyna, która mnie oskarżyła, stała się w ich oczach niemal świętą. Ja zyskałem miano lubieżnika – to było jedno z łagodniejszych słów. Żona wymogła na mnie przepisanie domu i dała do zrozumienia, że takiego ciężaru nie zniesie, a przed ludźmi nie będzie mnie bronić, bo wtedy i ona stanie się współwinna moich grzechów. Przepisałem. Potem sprzedałem to, co mi zostało, i uciekłem. Ja, który swoim studentom mówiłem, że trzeba walczyć, bo bez walki jesteśmy skazani na klęskę, na zapomnienie, na wynarodowienie. Ja, który jak mantrę przywoływałem Termopile, uciekłem. Nie starczyło mi sił i odwagi, by walczyć. Na uczelni powiedziano, że muszą dbać o dobre imię, o nieposzlakowaną opinię, więc sam powinienem zrozumieć. Starłem się. Nie zrozumiałem.

Tak znalazłem się tutaj i stałem się panem Józefem. Prostym człowiekiem, którego ta ziemia i ci ludzie przyjęli. Nie byłem pierwszy ani ostatni, więc nikt nie dociekał, nie szukał, nie sprawdzał, kim właściwie jestem. Z czasem tak wrosłem w to miejsce i tak przywykłem do nowej tożsamości, że wystąpiłem o zmianę imienia i nazwiska i uzyskałem ją. Dzisiaj naprawdę jestem Józefem Trombitą.

Ty swoją historią, swoją walką, która, jestem pewien, będzie zwycięska, przypomniałeś mi o mojej kapitulacji. Zazdroścę Ci odwagi. Zazdroścę Ci determinacji i siły. Mnie tych cech w kluczowym momencie zabrakło, ale z perspektywy lat czuję, że dobrze się stało. Tu naprawdę jestem szczęśliwy. Żyję jak prosty człowiek, bo prostota jest lekarstwem na wszystkie troski. Prostota – nie prostactwo.

Moja historyczna i filozoficzna dusza nie pozwoliły się dłużej więzić. W brulionie spisałem całe swoje życie, ale też refleksje nad nim, przemyślenia na temat ludzi, świata, tych gór. Może zechcesz je kiedyś przeczytać.

A teraz jeszcze jedno. Rodzina nigdy mnie nie szukała. W każdym razie nic o tym nie wiem. Moją rodziną są ci, którzy do mnie przez lata przyjeżdżali.

Ty, poprzez podobieństwo doświadczeń, szczególnie.

Dlatego ja, Józef Trombita, nieprzymuszony i w pełni władz umysłowych, zapisuję swoją ziemię, dom i wszystko, co się w nim znajduje, właśnie Tobie, Miłoszowi Zdebskiemu. Poczuj tu, co znaczy prawdziwa wolność, i znajdź swoje szczęście. I pamiętaj, nie trzeba go szukać zbyt daleko. Tuż obok znajdziesz kogoś, kto Cię przygarnie, zrobi herbatę, obetrze łyżę, nie rozliczając za popełnione grzechy. Tylko naucz się patrzeć i zauważać to, co istotne.

Do zobaczenia gdzieś, kiedyś...

Józef Trombita

Poruszyło go to wyznanie pana Józefa i całkowicie zaskoczył jego testament. Czy dzisiaj, znając całą historię, pan Józef powiedziałby, że zazdrości Miłoszowi odwagi, determinacji i siły?

Nie zaprzepaści tego daru, nauczy się patrzeć i zauważać to, co istotne. Może tu, w jego chacie, łatwiej przyjdzie mu uporać się z ograniczeniami, które wciąż go pętają?

Wstał, spakował plecak i ruszył dalej. W drogę.

Podziękowania



Historia Miłosza Zdebskiego pojawiła się w mojej głowie nagle i była tak intrygująca, że nie potrafiłam i nie chciałam jej uciszyć. Wyobraźnia poprowadziła mnie po krakowskich ulicach, nadbużańskich łąkach i bieszczadzkich szlakach do ostatnich słów powieści. Jednak sama wyobraźnia to nie wszystko. Nie pokonałabym długiej drogi od pomysłu do realizacji, gdyby nie życzliwość tych, którzy w odpowiednim momencie podali mi rękę i pomogli dźwigać ciężar historii.

Dziękuję Michałowi Pawłowi Urbaniakowi za wiarę w moje możliwości, ogromną pomoc warsztatową i stworzenie, wraz z „Pasją pisania”, wirtualnej przestrzeni, która stała się dla mnie magicznym ogrodem literatury, miejscem spotkań z fantastycznymi ludźmi i rozmów do późnej nocy, nie tylko o książkach.

Dziękuję Tomaszowi Lubaczewskiemu za konsultacje prawnicze, Justynie Dalentce za możliwość korzystania z bogatej biblioteczki psychologa, Beacie Wronowskiej za niepowtarzalną umiejętność podnoszenia na duchu i Marcie Gruszczyńskiej za odpowiedzi na ważne pytania.

Dziękuję Tomaszowi Sidorowi – wiceprezesowi Biura Ekspertyz Sądowych w Lublinie, za ciepłe przyjęcie, dzielenie się wiedzą i pomoc w oczyszczeniu Miłosza z zarzutów.

Dziękuję całemu zespołowi Wydawnictwa MUZA SA, a w sposób szczególnie redaktor Małgorzacie Burakiewicz, za zaufanie, życzliwość i profesjonalizm.

Z całego serca dziękuję mojemu mężowi i dzieciom za cierpliwość, wyrozumiałość i miłość niezależnie od tego, jak dużo czasu spędzałam przed laptopem zamknięta w domowej bibliotece. Jasiu, Olu, Przemku – zawsze byliście i będziecie dla mnie najważniejsi!

Maria Biernacka-Drabik

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz

- 1 K.I. Gałczyński, *Zaczarowana dorożka*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986, s. 106.
- 2 Jak wyżej.
- 3 *In dubio pro reo* – zasada w procesie karnym zakładająca, że niedające się usunąć wątpliwości rozstrzyga się na korzyść oskarżonego.
- 4 J. Janicki, *Nieludzki doktor – opowieści bieszczadzkie*, Bosz, Lesko 1997, s. 65.
- 5 Motto Biura Ekspertyz Sądowych w Lublinie.
- 6 *Curantes iura iuvant* (łac.) – Prawo sprzyja tym, którzy o nie dbają.
- 7 *Da mihi factum, dabo tibi ius* (łac.) – Daj mi fakt, a dam ci prawo.
- 8 Chłopcy nadali sobie przezwiska bohaterów książki Adama Bahdaja *Wakacje z duchami*.
- 9 A. Bahdaj, *Wakacje z duchami*, Siedmioróg, Wrocław 2002, s. 139.